

almanach karpacki

ISSN 1230-5898

jesień 1993



7

P
Ł
A
J



Wielka Rada Karpackiego Plaju

Adam Bartosz
Jerzy Czajkowski
Teodor Gocz
Antoni Kroh
Roman Reinfuss
Ryszard Remiszewski
Zofia Szanter
Piotr Szucki
Tadeusz Trajdos
Wiesław Wójcik

„Wielkie rzeczy dzieją się, gdy się spotykają
ludzie z górami”

ALMANACH KARPACKI

PÓŁROCZNIK
TOWARZYSTWA KARPACKIEGO



Plaj to droga do wnętrza, do serca gór. Droga, którą od wieków kroczyły całe pokolenia ich mieszkańców zamykając w jej kształcie sumę swoich doświadczeń. Można na niej odnaleźć oprócz śladów kierpców i racie, także ślady podkutych butów pierwszych turystów czy rzuconych tu przez kolejną wojnę żołnierzy. Droga, na której w sposób ukryty, czytelnym tylko dla wtajemniczonych zapisana jest historia gór.

Chcemy, żeby i nasz „Plaj” stał się taką właśnie swoistą drogą wprowadzającą czytelnika w świat gór w przestrzeni i w czasie.



redakcja:

Paweł Luboński
Tadeusz Andrzej Olszański
Andrzej Wielocha

adres:

01-355 WARSZAWA
ul. W. Czumy 12 m. 18
tel. (0-2) 665-34-59

ISBN 83-85258-06-X
ISSN 1230-5898

ZAWARTOŚĆ TOMU

Od redakcji	3	
Sztuka pogórzy	6	Tadeusz Chrzanowski
Uwagi o naturze kulturowych pograniczy	22	Zdzisław Skrok
Działo się w Boryni	31	
Maria Magdalena pokutuje	38	Tadeusz M. Trajdos
Kurniawa w Karpatach	61	Tadeusz Studziński
Vivant nartae!	89	Piotr Szucki
Moje powroty w Czarnohorę	124	Joanna Tyska-Kobylińska
Wiersze	142	
Wycieczka na Spisz	145	Tadeusz M. Trajdos
Festiwal Kultury Karpackiej	150	
Wywiad z "Orkiestrą pod wezwaniem św. Mikołaja"	154	
Abstracts	160	

Wydawca:
Towarzystwo Karpackie
ul. Śmiała 47/2
01-526 Warszawa

Układ graficzny:
Andrzej Wielocha

Redakcja techniczna i skład:
Paweł Luboński

Zdjęcie na okładce:
W Górach Gîrbova (Rumunia)
Jerzy Montusiewicz

„Płaj” będzie ukazywać się w cyklu jesienno-wiosennym, w listopadzie-grudniu oraz w maju-czerwcu.

Cena subskrypcji dwóch pierwszych tomów (jesień 93 i wiosna 94) wynosi 60 tys. zł. Subskrypcję przyjmujemy do końca maja 1994 r. Wpłaty prosimy kierować na konto: **Towarzystwo Karpackie, 1629-8699-132 PKO XII Oddział w Warszawie** z dopiskiem na odwrocie: „Płaj”. Publikacje po ukazaniu się prześlemy pocztą bez dodatkowych opłat.

Warunki subskrypcji dwóch następnych tomów podamy w „Płaju” nr 8 (wiosna 94).

„Płaj” jest w sprzedaży m.in. w następujących punktach:

Gliwice: Księgarnia „U Piotra”, ul. Arkońska 8

Kraków: Księgarnia „Pod Wierchami”, ul. Jagiellońska 6/6a — Sklep Górski „Wierchy”, ul. Szewska 6

Sanok: Muzeum Budownictwa Ludowego

Warszawa: „Sklep Podróżnika”, ul. Grójecka 46/48 — Sklep Turystyczny „Paker”, ul. Twarda 2/4

Zagórz: Księgarnia „Bosz”, Plac Kolejowy 1

Zakopane: Księgarnia Górską, Dom Turysty PTTK, ul. Zaruskiego 5

Sprzedaży wysyłkowej poza subskrypcją nie prowadzimy. Ponadto z zalem informujemy, że nie dysponujemy już żadnymi egzemplarzami numerów 1-4 „Płaju”; nie możemy więc spełnić próśb o ich przesłanie.

OD REDAKCJI

Drogi Czytelniku!

Oddajemy do Twoich rąk pierwszy numer Almanachu Karpackiego „Płaj”. Ściślej, pierwszy regularny numer, gdyż jak się nietrudno przekonać, nosi on numer siódmy. Poprzednie były jednak nieregularną serią publikacji wydawanych nieraz w odstępach paroletnich. Odtąd „Płaj” będzie ukazywał się dwa razy w roku, wiosną i jesienią.

Czym będzie ten nowy „Płaj”? Chcielibyśmy, aby spełniał trzy podstawowe założenia.

Po pierwsze, aby był pismem rzeczywiście ogólnokarpackim. Aby były w nim obecne wszelkie zagadnienia związane z tymi górami, zarówno w planie tematycznym — od przyrody i ekologii poprzez historię i etnografię po literaturę piękną i wspomnienia turystyczne, jak i w planie przestrzennym — od Bratysławy po Żelazne Wrota. A także — aby wśród autorów nie zabrakło przedstawicieli żadnego kraju i narodowości Karpat.

Po drugie, aby swym poziomem merytorycznym zasługiwał na miano czasopisma popularnonaukowego — z akcentem na drugą część tego słowa.

Po trzecie wreszcie, aby był pismem żywym. A więc nie wyłącznie trybuną dla fachowców udzielających nauk zwykłym śmiertelnikom. Także miejscem, gdzie będzie można stawiać pytania, komentować wydarzenia, dzielić się swoimi wątpliwościami czy spostrzeżeniami. Chcemy uprawiać coś, co na swój własny użytek nazwalibyśmy krajoznawstwem twórczym, a może lepiej — dociekliwym. Samo poznawanie terenu, rejestrowanie zjawisk nam nie wystarcza, chcemy poznać i zrozumieć ich przyczyny, a jednocześnie — na miarę naszych możliwości — współkształtować karpacką rzeczywistość.

Zdajemy sobie sprawę, że pierwszy numer daleko jeszcze odbiega od tych górnych założeń. Po części wynika to z naszej niecierpliwości, pędu ku

temu, by jak najprędzej „coś się zaczęło dziać”, z braku długotrwałych i odpowiednio fundamentalnych przygotowań. Po części zaś — może — jest to skutek konfrontacji cokolwiek megalomańskich koncepcji z prozą życia i rzeczywistymi możliwościami zespołu redakcyjnego. Jak by nie było, ostateczne oblicze „Płajowi” nada dopiero życie. Możesz mieć udział w jego kształtowaniu i Ty, Szanowny Czytelniku i Potencjalny Autorze. Liczymy na Twoją krytyczną opinię o naszej pracy, na propozycje godnych poruszenia tematów, a zwłaszcza — na artykuły do opublikowania.

Jedno musimy jednak zastrzec na wstępie. Jedynym wynagrodzeniem będzie satysfakcja oraz słowa wdzięczności redakcji. Przy niewielkim nakładzie „Płaju” (na razie 1000 egz.) oraz mizernych możliwościach finansowych Towarzystwa Karpackiego nasi autorzy nie mogą liczyć na honoraria, podobnie jak nie otrzymują ich redaktorzy i pracownicy techniczni. Koszty publikacji są i tak wystarczająco wysokie z powodu cen papieru i druku.

Serdecznie dziękujemy tym, którzy uznali, że w nasz pomysł warto zainvestować, i wpłacili „prenumeratę przyjaciół”, czyli wielokrotność sumy subskrypcji. Ich nazwiska znajdują się na honorowej liście Przyjaciół Karpackiego Płaju. Ponawiamy apel do potencjalnych kolejnych ofiarodawców: jeśli możecie — pomóżcie. Na starcie każdy grosz się liczy.

Dziękujemy także zwyczajnym subskrybentom. Ich liczba nie jest jeszcze imponująca, ale każda nowa wpłata dodaje nam wiary w celowość naszych działań.

Redakcja

* * *

W kwietniu 1989 roku w Słonnem koło Dubiecka odbyła się popularnonaukowa sesja przewodnicka organizowana przez Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich i Oddział Międzyuczelniany PTTK w Warszawie. Jej pomysłodawcą i kierownikiem organizacyjnym był Tomasz Staniszewski, zaś środków finansowych dostarczył Wydział Kultury Fizycznej i Młodzieży Urzędu Wojewódzkiego w Przemyślu.

W trakcie sesji przedstawiono cały szereg interesujących referatów, które miały być później opublikowane w specjalnym wydawnictwie. Niestety publikacja ta nigdy się nie ukazała. Aby więc dorobek sesji nie przepadł całkowicie, postanowiliśmy, za zgodą organizatorów sesji, najciekawsze referaty opublikować na łamach „Płaju”. W niniejszym tomie zamieszczamy dwa z nich, a mianowicie prof. Tadeusza Chrzanowskiego *Sztuka Pogórzy* i Zdzisława Skroka *Uwagi o naturze kulturowych pograniczy*.

O ile pierwszy nie wymaga rekomendacji ani komentarzy, o tyle przy drugim należy się Czytelnikowi kilka słów wyjaśnienia, dlaczego znalazł się w „Płaju”, mimo że właściwie Karpat nie dotyczy. Otóż rzeczywiście nie dotyczy ich bezpośrednio, jednak przedstawione w nim rozważania nad specyfiką pograniczy odnoszą się do sytuacji, które spotykamy w Karpatach na każdym kroku. Można by zaryzykować twierdzenie, że całe Karpaty są właściwie jednym wielkim pograniczem, obszarem przejściowym w wielu płaszczyznach i wymiarach — kulturowym, etnicznym, przyrodniczym. Wydawałoby się, że karpackie granice przebiegają najczęściej góorskimi grzbietami, jednak już nawet po pobieżnym przyjrzeniu się dostrzegamy, jak złudne, naiwne i wręcz mylące jest to przekonanie. Tylko sztuczne granice administracyjne dają się poprowadzić wyraźną linią, prawdziwymi granicami są zaś całe obszary, na których sąsiadujące ze sobą elementy przenikają się wzajemnie, tworząc często nową, wyjątkową jakość. Te graniczne obszary, pogranicza właśnie, występują nie tylko w wymiarze przestrzennym, ale także, co w Karpatach jest szczególnie częste, w wymiarze duchowym. Dlatego też publikacja tego artykułu wydaje się nam szczególnie potrzebna.

Tadeusz Chrzanowski

SZTUKA POGÓRZY

Zdaję sobie sprawę z tego, żeście mnie, i nie tylko mnie, zaprosili na Wasze spotkanie, by pooglądać zabytki przeszłości, tak jak oglądaliście i oglądać będziecie pochylone starością kościoły i cerkwie, zdemolowane dwory i ostatnie relikty wiejskich chat. Cóż bowiem możemy Wam przekazać, skoro na dobrą sprawę wszystko już przekazaliśmy, a to trochę, co pozostało, przekazemy wkrótce. O ile oczywiście zdążymy. Przy okazji spotkań takich jak obecne owi zabytkowi uczeni zwykli prezentować jakieś syntetyczne zagadnienia dotyczące regionu, ale gdy zacząłem zastanawiać się nad tym, co mógłbym tu przedstawić, doszedłem do przekonania, że wszystko było już omawiane, że kurczą się owe obszary syntez, choć wcale nie oznacza to, by nie pozostawało wiele ugorów oczekujących zbadania. Jest wręcz odwrotnie, pomimo nieustannych badań, ugorów wokół nas jest sporo, zwłaszcza że historia sztuki jako dyscyplina uczy, iż nieustanna zmienność metod badawczych, perspektyw ujęć i nowych odkryć lub ustaleń powoduje, że syntezy mogą funkcjonować z grubsza w okresie jednego pokolenia, a później trzeba je zastępować nowymi. To jednak z kolei nie oznacza, bym wzywał tu do braku szacunku dla zaprzyszłych uczonych i ich osiągnięć. Są to bowiem, jak się okazuje, nadal nie wyzyskane złoża informacji; jest bowiem owa moja dyscyplina jak sito, co nieco dziurawe: przesiewa się i przesiewa, by otrzymać „sztukę cenniejszą niż złoto”, a tu tym czasem przez zbyt duże oka wysypuje się wiele bezcennej treści i raz po raz z pokorą trzeba do tych przesianych materiałów powracać, by odkrywać bezcenne okruchy.

W sytuacji, jaką tu zarysowałem, doszedłem do wniosku, że wypadnie mi zrobić to, co niegdyś sam wykpiwałem, to znaczy zgromadzić nieco uwag nad postulatami badawczymi, nad sferą zagadnień pozostających odłogiem, wskazać na pewne zazębiaenia zjawisk i wezwać Was — jako tych, którzy na co dzień, na bieżąco przemierzacie te fascynujące okolice — abyście starali się dojrzeć pojedyncze fakty w kontekście szerokiej perspektywy kulturowej. To przecież do was należy przyszłość!

Zanim jednak przejdę do właściwej wypowiedzi, słuchacze zechcą mi wybaczyć małą głosę wspomnieniową, jak już bowiem zaznaczyłem, jestem w wieku, gdy więcej się już wspomina niż wypomina, nie mówiąc już o przypominaniu (sobie), bo z tym wobec nieuchronnych postępów sklerozy — najgorzej.

Otóż, jaka była moja styczność z omawianym tu obszarem? Bardzo wyrywkowa i starożytna zarazem. Wyobraźcie sobie, że pierwsze prace inwentaryzacyjne, które tu prowadziłem, były w ogóle niemal pierwszymi w mojej „karierze” inwentaryzatora zabytków. Takową bowiem rozpocząłem latem 1954 r., a już w następnym roku udałem się na rowerach wraz z moimi kolegami — Marianem Korneckim i Janem Sankiem, by zinwentaryzować powiat przemyski, przy pomocy najprymitywniejszych aparatów fotograficznych i wielkiego zapалу. Że wyniki nie były może najwyższej naukowej próby, to inna rzecz — na szczęście do dziś zalegają w maszynopisie i ktoś, kto kiedyś opracuje je do druku, będzie miał z nimi sporo kłopotów, zarazem jednak znajdzie w nich informacje bezcenne, dotyczące bowiem obiektów już nie istniejących, a więc *sui generis* nekrologii zabytków. Oczywiście mógłbym państwa cały wieczór zabawiać relacją o tej wyprawie, zaiste egzotycznej, ta piękna bowiem ziemia nie ostygła jeszcze wtedy od ognia naszej wojny domowej, od dramatu wysiedleń miejscowej ludności ukraińskiej, a wzdłuż tras naszej wędrówki więcej było pokrzyw otaczających miejsca po ludzkich sadybach niż żywych ludzi i ich schronień. Gdy dziś proponuję studentowi (studentce) jakiś teren oddalony od większych miast, słyszę pełne oburzenia protesty, że to tak daleko, że niewygodny dojazd, i myślę: Mój Boże, gdybyśmy my wówczas byli tacy jak oni dziś, to by Instytut Sztuki PAN nawet tych maszynopisów z nekrologami zabytków nie zgromadził.

W dziesięć lat później, to znaczy w 1964 i 1965 r., z kolei inwentaryzowałem z Ryszardem Brykowskim dawny powiat gorlicki. Warunki bytowe i robocze były nieporównanie lepsze: nie musieliśmy sypiać po stodołach, a poruszaliśmy się przy pomocy mej prywatnej warszawy, która z niezrównaną cierpliwością znosiła kamieniste drogi i gliniaste połoniny, niemniej i ta wyprawa należała też do wspomnień, których się łatwo nie traci. Zwłaszcza, że obie dotyczyły młodości i dojrzałości mówiącego te słowa.

A poza tym moje czy nasze (z Marianem Korneckim) wypadki to były już trasy zaplanowane i poświęcone jednemu zagadnieniu, np. plastyce gotyckiej na obszarze diecezji przemyskiej. Tak więc moja znajomość terenu jest bardzo niepełna, bardzo wyrywkowa i dlatego również nie zdecydowałem się podjąć żadnego zagadnienia w syntetycznym ujęciu. I tyle jako wstęp i wyjaśnienie, a także coś w rodzaju ukłonu wobec własnej przeszłości.

Teraz zaś podstawowe pytanie: czy jest jakaś szczególna specyfika owych Pogórzy, które — towarzysząc Karpatom — ciągną się na znacznych obszarach południowej Małopolski i dawnego województwa ruskiego? Odpowiedź jest oczywista: specyfiką jest ów niepowtarzalny krajobraz i zrosnięte z nim dzieje pogranicza kulturowego. Od chwili bowiem, gdy Kazimierz Wielki włączył do korony ziemie ruskie, co przyspieszyło proces latynizacji tych obszarów, nawarstwianie się — w wyniku kolejnych fal kolonizacyjnych — nowych jakości etnicznych wytworzyło tu właśnie ową niepowtarzalną atmosferę styku i wzajemnego przenikania. Historycznie mamy to zjawisko już za sobą, przeorane zostały te obszary w rozmaity sposób, głównie jednak poprzez przesiedlenia ludności łemkowskiej i bojkowskiej, więc zamiast pogranicza kulturowego otrzymaliśmy praśne pogranicze polityczne, co z jednej strony przyczyniło się do degradacji obszarów w pewnym sensie obecnie „kresowych”, z drugiej — do zaniknięcia owego wyznacznika kulturowego, którym było sąsiedztwo wieloetniczne (nie należy bowiem zapominać o populacji żydowskiej, tak licznej w miastach i miasteczkach tego regionu). To co dokonywało się na styku dwóch metropolii podkarpackich: Krakowa i Lwowa, przeobraziło się w egzystencję stabilizowaną „metropoliami” w rodzaju Rzeszowa, Sanoka, Przemyśla i Krosna.

Ale to nasza, właśnie nasza rola ocalać, przynajmniej od zapomnienia, swoistość kulturową regionu, z którym jesteśmy związani lub który wybraliśmy z potrzeby serca.

Tak więc w pierwszym rzędzie chciałbym zwrócić uwagę na refleks człowieka, a co za tym idzie, na odbicie, jakie historia kultury i cywilizacji odciska na dziele sztuki czy architektury. Jesteśmy w błędzie, gdy domagamy się od takiego dzieła, aby było obrazem swej epoki, by — jak pisał Conrad — oddawało sprawiedliwość widzialnemu światu, ono bowiem może tylko być tego świata refleksem, ale za to jakże nieraz wymownym! I dlatego Max Dvorak domagał się, by historia sztuki była historią ducha, a marksistowskie czy socjologizujące metody (Hauser) narzucały badanie podłoża społecznego jako podstawowego czynnika kształtującego twórczą działalność człowieka. Mnie osobiście całkowicie wystarcza, by historię sztuki pojmować i uprawiać jako jedną z gałęzi historii kultury. A równocześnie kulturę rozumiem bardzo szeroko, mieszcząc w niej wszelką działalność ludzką wykraczającą poza czystą fizjologię, ukoronowanie zaś widzę w badaniu myśli ludzkiej.

Stąd nawoływałem do widzenia zabytków poprzez nawarstwienia kulturowe. A tu właśnie, na kolejnych archipelagach Pogórzy, to nawarstwienie ujawnia się w różnolitości i bogactwie, którego pozazdrościć mogą obszary, gdzie zabytków jest więcej i większe są z czysto artystycznego punktu wi-

dzenia. Źródła rozumienia, bo o rozumienie przecież chodzi, a nie tylko ekscentryczną ekscytację, sięgają korzeniami do literatury, do historii, do artystycznych penetracji i wreszcie do właściwej sztuki w jej rozlicznych przejawach.

Poezja staropolska, co starałem się uzasadnić w jednym ze swych szkiców o sarmatyźmie, w nikłym stopniu zajmowała się światem widzialnym: to była poezja czysto osobistych uczuć, problematyki politycznej, moralizatorska i satyryczna, obracała się w świecie obyczaju raczej niż w świecie obrazów. Stąd nie należy oczekiwać od niej realizacji dokładnych, podobnie jak malarstwo polskie, aż niemal po wiek XIX, nie interesowało się wyglądem i zachowaniem ludzi jako zbiorowości, uprawiając albo tematykę religijną albo portret, a zaniechując relacji „wziętych z życia”.

Nie oznacza to jednak, byśmy mieli przechodzić obojętnie obok najskromniejszych nawet przyczynków. Jednym z najwybitniejszych poetów obszaru, o którym mowa, był oczywiście Wacław Potocki, średniozamożny szlachcic z Łużnej pod Bieczem. Ten gaduła, satyryk i jeden z niewielu uprawiających w tamtej epoce epikę (*Wojna Chocimska*) w liczebnie sporej spuściźnie pozostawił zaledwie wzmianki o tym, co stanowiło wyjątkowość lub codzienność rodzinnych stron. Opiewał więc wieżę ratuszową w Bieczu — ważna informacja, jak ceniono sobie podówczas monumentalność architektury, nieczęsta w tych okolicach. Napomknął z uznaniem o kasztelu w Szymbarku, ale zaraz nasuwały mu się skojarzenia z problemem wystawności i rozrzutności. Krzywił się też na tak modne wówczas wille, które sobie możni tego świata budowali w podmiejskich okolicach. I nagle to moralizatorskie gderanie przekształca się w najczystsza poezję „ziemiańskiego czasu”. Proszę wybaczyć, że zacytuję ten fragment, ale szczególnie darzę go sympatią:

*„Niech zdrów taki mieszka w Belwederze, komu
Wiozą do ucieznego co potrzeba domu,
Co nań sto wsi, a tysiąc pługów, nie Podgorze,
Czarną, tłustą, zawiską rzedzinę gdzieś orze.
Mnie wesoły Belweder, śliczna perspektywa,
Kiedy równa ulega pod pszenicą niwa,
Albo kłosa rumieńcem zapalone żrałem
Lekkim wieniem zefirów kołyszą się wałem;
Kiedy uszykowane szeregami kopy
Pojazdu swego z pola czekają do szopy.
Kościół we wsi: kiedy chcę, rachuję się z duszą,
Nie dbam, choć mnie zegary, choć dzwony nie głuszą.*

*Kompas znakiem południa, kogut posłem świtu,
I sen, i obiad zawsze wedle apetytu.
A kiedy matki z swymi łączą się jagnięty,
Znieś organy, znieś wszystkich muzyk instrumenty,
Nie usłyszysz tak różnych i głosów tak wiele;
Co kto lubi, mnie inszej nie trzeba kapele.
Cóż oczom piękniejszego może być pozoru,
Gdy sto kroków pożytecznych wracając z ugoru,
Jako więc Bachusowi słodkim winem grona
Napętniwszy zdojone przynoszą wymiona?
(...)
Mnie tylko zdrowia, kiedym nikomu nie dłużny,
Póki Bóg żyć nazaczył, w mojej trzeba Łużnej."*

Z wiersza tego przebija owo typowo sarmacko-ziemiańskie poczucie piękna gospodarnego, ale Wacław Potocki potrafił też ironizować na temat swej ziemi, o czym świadczy *Inwentarz podgórskich majątności*, w którym poza szeregiem charakterystycznych spostrzeżeń o nieurodzajności gleb itp. znalazła się toponomastyczna igraszka: zestaw zadziwiających nazw wiosek pomiędzy Bieczem a Grybowem.

Ta nie zawsze urodzajna gleba, te nieprzebyte w wielu miejscach lesiste góry rodziły talenty jędrne i zarazem fascynowały przybyszy. W XVI w. wywiódł się z Przemyśla Stanisław Orzechowski, a z Biecza Marcin Kromer, najwybitniejszy z trójki uzdolnionych braci (czwarty był już tylko lokalnym pijaczkiem, sprawiającym niemało kłopotu dostojnemu warmińskiemu biskupowi). Wiemy, że Żurawica jest ważną stacją kolejową, ale kto pamięta, że proboszczował tu Stanisław Orzechowski, który przyjacielowi z sąsiedztwa — też plebanowi — udzielił ślubu, poczem sam się ożenił, co ściągnęło nań klątwę biskupa Dziaduskiego (jego płyta nagrobna zachowała się w katedrze). Orzechowski odwołał się do Rzymu, a Rzym dokonał majstersztyku dyplomatycznego. Ponieważ nie mógł stworzyć precedensu w zakresie celibatu księży (do dziś problem nie stracił na aktualności!), a nie chciał tracić wysmienitego antyreformacyjnego polemisty, nie zajął żadnego stanowiska i pozostawił rzeczy ich własnemu biegowi: Orzechowski zachował żonę i nie przestał walczyć z reformatorami (w jednym ze swych pism porównuje polemikę do orężnego starcia), a potem Madame Vanitas pogrzebała krnąbrnego plebana i jego żonę, a pisma ostały się ku podziwowi następnych pokoleń.

Oczywiste jest to, że Marcin Kromer, najznakomitszy w całym „złotym wieku” historyk, pochodził z nie tak dawno spolszczonej rodziny niemiec-

kiej. Bardziej zdumiewają polonizację Niemców w wieku XIX, kiedy państwo przestało istnieć i funkcjonowała tylko kultura Polaków. Mało kto już pamięta, że Wincenty Pol był synem austriackiego urzędnika, urodził się w Lublinie, a wychował na jednego z najbardziej patriotycznych poetów doby romantyzmu i do tego zafascynowanego sarmacką tradycją (*Mohort*). I mało kto pamięta, że ten poeta i uczony zarazem był także dyletantem-architektem i wedle jego projektu przebudowano zamek w Lesku, nakładając na średniowieczne mury klasycystyczny kostium.

Już poza obecną granicą, na galicyjskiej prowincji przyszli na świat w rodzinie poczmistrza, zubożałego szlachcica, dwaj bracia Łozińscy. Walery, zmarły za młodu w następstwie pojedynku, nie zdążył w pełni rozwinąć literackich skrzydeł, a jednak *Zaklęty dwór* pozostał żelazną pozycją, kanonem lektur w zakresie neosarmackiej literatury minionego wieku, a powinny nimi być także inne jego powieści (*Szaraczek i karmazyn*, *Czarny Matwij*). Władysław też początkowo parł się literaturą piękną, ale badawcze zamięłowania powiodły go na właściwą drogę. Stał się właśnie historykiem sztuki i kultury, historykiem życia miast i dworów. Jego *Życie polskie w dawnych wiekach* miało już kilkanaście wydań i będzie mieć następne. A swoistym bestsellerem historyczno-skandalicznym stało się *Prawem i lewem* — owoc wieloletnich studiów archiwów sądowych w Przemyślu, Sanoku i innych miastach.

Bez *Prawem i lewem* nie ma prawdziwej znajomości całego regionu i nawet tam, gdzie zabytki są mało atrakcyjne lub też wcale ich nie ma, nazwy ożywiają postacie, które dawno odeszły: nie tylko te wybitne, pozytywne jak Fredrowie, negatywne jak Diabeł i Diablęta Stadniccy, ale i drugoplanowe, lecz ze krwi i ciała, jak Dydyńscy, Drohojowscy, Przerembscy, Korniaktowie, Jaksmaniccy, Tyrawscy i tylu, tylu innych.

Kiedy przyjeżdżam do Przemyśla i zza zakrętu szosy wyłania mi się najeżona wieżami sylweta, najpiękniejsza polska reduta, przypominam sobie ów fragment z *Prawem i lewem*, który powtórzę z niewielkimi skrótami: Andrzej Fredro „trzymał sobie Murzyna, wielką osobliwość w tych czasach, zwłaszcza na Rusi, a ten Murzyn, który przejął miejscowe obyczaje i był graczem na szable, w burdach swego pana brał czynny i wybitny udział...” Pewnego razu Fredro napotkał pogrzeb, a gdy tłum nie pozwalał mu się przezeń przecisnąć „...dobył szabli i wraz z hajdukami przepłaszać zaczął lud zgromadzony na pogrzebie. Przy tym zająsci musiało się coś dostać niektórym z towarzyszy i czeladzi Fredry, a osobiwie dwom z nich, szlachcicowi Wijowskiemu i owemu Murzynowi, bo uniesieni gniewem za doznany despekt obaj rzucili się za orszakiem pogrzebowym, który już wszedł był do cerkwi, a Murzyn jak czarny diabeł wpadłszy między nabożnych, poczał siec na wszystkie strony,

w czym mu wtórował Wijowski. Jeden z kryłozan ruskich odniósł ranę, zgromadzeni pouciekali z cerkwi; poszli za ich przykładem i księża, ale uchodząc, zamknęli za sobą szybko cerkiew na klucz, a w niej także obu napastników, Murzyna i Wijowskiego, sami zaś pobiegli na zamek po hajduków starościńskich. Widząc to Fredro i Jaksmanicki rzucili się na odsiecz zamkniętym i nim księża ruscy powrócić mogli z zamku ze strażą, rozbili drzwi do cerkwi i uwolnili obu swych towarzyszy". Scena niewiarygodnego filmu.

Łoziński zajmował się tylko czasem panowania Zygmunta III, ale barwność towarzyszyła i poprzednim, i następnym okresom dziejów. Same bowiem zabytki tych okolic pobudzały fantazję pisarzy i artystów. Sprawą aż nadto znaną jest fakt umiejscowienia *Zemsty* Fredry w ruinach Odrzykonii, a *Grobu Nieczui* Kaczkowskiego w Zagórze (pisarz był synem administratora fredrowskich dóbr Cisna). Można by zapewne wykazać wiele dalszych tego rodzaju inspiracji.

Naszą wiedzę, tę poszerzoną o żywe, choć oddalone w wiekach postacie, wzbogacają wspomnienia, relacje z podróży, pierwsze próby naukowe. Wymieniam tu znów tylko przykładowo opisy okolic Dubiecka Franciszka Karpińskiego, pamiętniki „zdeklasowanego” szlachcica Łusakowskiego i głuchoniemego malarza Franciszka Ksawerego Preka lub wspomnienia F. W. Dmochowskiego: *Pisma... byłego wachmistrza w wojsku pięciu różnych mocarstw, dziś majstra krawieckiego w Przemyślu* (wyd. A. E. Koźmian, 1843).

Badaczy w pełnym tego słowa znaczeniu wyprzedzili artyści, zwłaszcza odkąd od strony angielskich romantyków napłynęła ku nam moda na typ *voyage pittoresque*, a zapotrzebowanie na ilustracje „starożytności narodowych” jako też miejsc malowniczych lub historycznie ważnych spowodowało podejmowanie rozmaitych inicjatyw wydawniczych. Jednym z pierwszych, który na terenie Galicji zastosował nie znaną jeszcze wówczas technikę litografii, był — i to też jakże znamienne — austriacki urzędnik o niewyraźnym, zapewne czeskim pochodzeniu. Nosił typowe dla monarchii austriackiej snobistyczne nazwisko: Emanuel Krotochville von Kronbach, był starostą cyrkułu nowosądeckiego i z tego właśnie cyrkułu wydał cykl interesujących, a dla historyka sztuki wręcz bezcennych widoków.

W latach dwudziestych powstała we Lwowie bardzo wzięta firma litograficzna Józefa Pillera, dla której pracowała cała gromadka artystów, takich jak Zygmunt Bogusz Stęczyński, Gorczyński, Auer, Lange i inni. Pojawił się też — jak kometa — zapoznany artysta doby romantyzmu Kielisiński, ale do jego twórczości chcę jeszcze powrócić później.

Zainteresowania z pogranicza folkloru prowadziły na Pogórze ludzi takich jak bracia Matlakowscy, których rola w propagowaniu tzw. stylu zako-

piańskiego dobrze jest znana. To byli właściwie pierwsi badacze, którzy — równolegle z Glogerem, działającym głównie na Podlasiu, pierwsi zajęli się architekturą drewnianą, architekturą wsi i miasteczka, i pierwsi wciągnęli w krąg badań cerkwie i domy podcieniowe. Zjawiskiem dość niezwykłym był architekt, profesor Politechniki Lwowskiej Jan Karol Sas Zubrzycki, który neogotyckim kościołami i budowlami publicznymi rzecz można zalać całą niemal Galicję. Niszcząc zabytki pod budowę własnych dzieł, równocześnie rejestrował je rysunkami i publikował w rozlicznych „uczonych” dziełach. Nacjonalistyczny szowinizm Zubrzyckiego odbiera jego działalności naukowej wartość, ale dokumentacja ilustracyjna pozostaje dla nas bezcenna.

I wreszcie chciałbym złożyć hołd dwu ludziom, którzy zasłużyli się dla omawianego tu obszaru szczególnie. Wymieniam tylko dwóch, jakkolwiek liczbę ich można by nieskończenie pomnożyć. Ci dwaj są jednak dla mnie wzorem: pierwszy solidnego zapachu, budującego na solidnych informacjach, drugi pewnego rodzaju romantycznego nawiedzenia i owego przysłowiowego lutu szczęścia, który badaczowi terenowemu musi towarzyszyć jak karta graczy, nawet gdyby był szulerem. Mam oczywiście na myśli Mieczysława Orłowicza i Franciszka Kotulę. Orłowicz był pierwszym i — obawiam się — zarazem ostatnim autorem przewodników, które objęły całą Polskę, nawet w jej przedrozbiorowych granicach, i podawały informacje rzetelne, nawet wówczas gdy trudno się zgodzić z autorem w ocenie. Oto w jego *Ilustrowanym przewodniku po Galicji* (Lwów 1914) na stronie 266 czytamy: „Kalwaria Paławska. Ani barokowy kościół Franciszkanów (XVIII w.), ani żadna z 42 kaplic rozrzuconych po okolicznych wzgórzach nie przedstawia wartości artystycznej”. Dziś tak byśmy już nie napisali, choć rzeczywiście tutejsza Kalwaria ustępuje pod względem artystycznym swej starszej i słynniejszej siostrzycy — Kalwarii Zebrzydowskiej. Ale abstrahując od takich właśnie ocen, Orłowicz podawał informacje sprawdzone, a sam od siebie wiele nowego wносił, rzeczywiście bowiem przemierzał obszary, które miał potem opisać w przewodniku. Faktem jest, że jego przewodniki, z owym galicyjskim na czele, stoją u mnie na honorowym, to znaczy podręcznym miejscu w bibliotece, obok *Katalogów Zabytków* i innych wydawnictw inwentarzowo-słownikowych. A poza tym ileż w tej książeczce owego zwietrzałego „bukietu” Kakanii, czyli nieboszczki monarchii habsburskiej w jej galicyjskiej edycji. Oto np. informacje o Jaśle: „Oddalenie od dworca 1/2 km, dorożka 80 h—1 K. Hotele: „Krakowski” (dobry), 30 pokoi 1,60 do 6 K, „Grand” (drugorzędny) 10 pokoi 2—6 K. Restauracje: w Hotelu Krakowskim, Józefa Dunaja (ul. 3 Maja) i na dworcu. Pokój do śniadań Jana Dymnickiego i Marksa Kögla. Kawiarnia w Hotelu Krakowskim (muzyka) i Figuły. Mleczarnia

tow. Wyzwolenie. (...) Z nowszych gmachów ładniejsze: Kasa Oszczędności, gimnazjum, a wreszcie Rada Powiatowa, gdzie w r. 1900 w czasie manewrów mieszkał cesarz”.

Franciszek Kotula był etnografem, w pewnym sensie samoukiem, człowiekiem niezwykle czynnym (Muzeum w Rzeszowie wiele mu zawdzięcza) i niestrudzonym badaczem-wędrowcą. Wykaz jego prac jest obszerny, a choć czasem niektóre jego hipotezy są chybione, niemniej ogólna wartość dorobku ogromna, zwłaszcza że przecież to, co widział czy zanotował, w przeciwnym razie nie zostałoby dostrzeżone czy zanotowane. Błądząc po Rzeszowskim Pogórzu Franciszek Kotula wychwycił wiele pojedynczych, niezwykle zjawisk, jak też dostrzegł pewne ogólniejsze sprawy. Pamiętam, jak mi kiedyś profesor Reinfuss — pochodzący z Przeworska, a związany swymi badaniami przedwojennymi z Łemkowszczyzną — powiedział: „Ten Kotula to ma szczęście! Żeby to ja miał takie jak on! Gdzie tylko wyruszył — wpadała mu w oko jakaś rzecz czy zdarzenie, za którym ja musiałbym wiele lat tropić...”

Do czego zmierzam, mówiąc tu o rzeczach oczywistych i znanych zapewne wszystkim obecnym? Do tego, że musimy starać się widzieć poszczególne zabytki nie jako jednostkowe fakty, a więc że jestem przeciwko „widzeniu oddzielnemu”, które niegdyś Tuwim imputował „strasznyemu mieszczaństwu”. Zjawiska zawarte w starodawnych budowlach czy dziełach sztuki mieszczą się ZAWSZE w kontekście szerszym, są osadzone w tkance dziejów i mogą być rozpoznawane rozmaicie, np. poprzez mecenyaty wybitnych osób czy instytucji (założywszy, że zbiorowość może być mecenasem poprzez swych reprezentantów). Oczywiście najbardziej nęcący jest mecenat możnych tego świata, ot chociażby Krasickich czy Fredrów. Krasiczyn będzie jeszcze przez kolejne pokolenia stanowił temat rozpraw i analiz, nie mówiąc bowiem o oryginalnej i w ówczesnej Europie absolutnie nie spotykanej koncepcji architektonicznej, dochodzi także bardzo istotny program, a raczej programy, bo i zamku jako całości, i kaplicy, niestety barbarzyńsko wyprutej z dawnej świetności przez kolejnych okupantów. Interpretacja żmudnie ostanianych i konserwowanych sgraffit, zarówno o tematyce religijnej jak i świeckiej (cykl „monarszy” na dziedzińcu, cykl zwierzęco-symboliczny na elewacji północnej).

Ale Krasiccy to nie tylko Krasiczyn. W pałacu w Dubiecku chyba mieszka jeszcze do dziś pani, która w prostej linii dziedziczy tradycje zakorzenionych tu rodów. Po wojnie były tu częściowo zachowane fragmenty dawnej kolekcji (obecnie w zbiorach krakowskich muzeów). Do tych zbiorów należał niegdyś zbiorowy portret rodziny Krasickich, namalowany w roku 1573 przez Mikołaja Tereńskiego, a obecnie przechowywany w przemyskim Muzeum Diecezjalnym. Cóż za frapujący, choć może nie malarsko, dokument:

portret nieboszczyka małżonka uobecnia jego sarmacką osobę w licznym gronie, w którym już jednak sarmatyzm ubiorów zderza się z cudzoziemszczyzną. „Królowa-Matka” siedząca przy stole ukazuje widzowi rozłożony na nim abrys drewnianego, dwuwieżowego kościoła parafialnego, którego sylwetę możemy ponadto dostrzec przez umieszczone z boku okno. Ten — jak wolno z tej skromnej dokumentacji wnioskować — niezwykle ciekawy barokowy kościół drewniany wyprzedza Szalową, Jasienicę Rosielną czy Jaćmierz. Zaś młodzieniec we fraczku i peruczce to nikt inny, tylko sam przyszły król poetów epoki króla Stasia — Ignacy Krasicki.

Napisano pracę o mecenacie biskupa Aleksandra Fredry, ale kiedy powstanie analogiczna o pompatycznym ukoronowaniu baroku — o działalności biskupa Wacława Hieronima Sierakowskiego? A gdzie prace o mecenatach mieszczań, chociażby szkocko-krośnieńskiego rodu Porcujuszów, dzięki którym wewnątrz fary w Krośnie ma ten niepowtarzalny, sarmacko-kwiecisty charakter? Kościół zaś w Bliznem jest jedną z niewielu potwierdzonych zbiorowych fundacji chłopskich, ponieważ jego malowidła ściennie były sprawiane — każda scena przez jedną rodzinę, a wymienione tu nazwiska do dziś znane są w tej rozległej wsi dawnego brzozowskiego klucza biskupiego.

Wspominałem o fascynacjach tymi obszarami ludzi, którzy gdzie indziej się rodzili i przez przypadek raczej zawitali w te strony. Chciałbym nieco szerzej przedstawić jeden taki przykład. Zaczniemy jednak od miejscowości: co współczesnemu Polakowi mówi nazwa Medyka? Oczywiście przejście graniczne, duża stacja kolejowa. Po pałacu Pawlikowskich nie zostało ani śladu, a ze wspaniałego niegdyś parku-ogrodu nędzne niestety resztki. I jest w jakimś sensie skandalem, że to niezwykle środowisko nie znalazło jak dotychczas monografa. Rozpoczęta przez Gwalberta I dynastia owocowała niezwykle talentami ludzi, którzy włączyli się w najrozmaitsze działalności: gospodarcze, kolekcjonersko-muzealne, bibliofilskie, teatralne, związała się ta familia z Zakopanem, Stanisławem Witkiewiczem i wspaniałą choć krótką historią stylu zakopiańskiego (Willa pod Jedłami). Sypnęło wśród Pawlikowskich literatami i artystami, bo środowisko to ściągało innych, m.in. Grottgera i całą plejadę lwowskich artystów.

Ten jednak, o którym pragnę tu kilka słów powiedzieć, urodził się w kieleckich Mieronicach w 1808 r. i rozpoczęte na warszawskim uniwersytecie studia przerwał idąc do powstania listopadowego. Później przedostał się do Galicji i znalazł przytułek właśnie w Medyce. Kajetan Wincenty Kielisiński spędził tu zaledwie kilka lat (1834–39) jako bibliotekarz, Pawlikowskich następnie opuścił, by resztę życia spędzić u Działyńskich w Kórniku (także w roli bibliotekarza). Jest to absolutnie nie doceniony grafik polski minio-

nego stulecia, a jego maciupęńkie, miniaturskie niemal akwaforty odznaczają się specyficznym nastrojem, gładka zaś linia posłusznie i wiernie odtwarza to, co artystę zafrapowało. Był on zaś ciekawym i chłonnym obserwatorem — scen rodzajowych (wiele rysunków i grafik powstaniowych), zabytków — od pieczęci i numizmatów, które wybornie kopiował, aż po krajobrazy i architekturę. I nie posiada do dziś zadowalającej monografii, a tylko wzmianki w opracowaniach i artykułiki.

Otóż pięć lat spędzonych w Medyce — gdzie, jak ze spuścizny graficznej wynika, bynajmniej nie siedział tylko wśród regatów, ale sporo wędrował, sporo zwiedzał — przyniosło niezwykle cenny zespół dokumentacji rozmaitych zabytków galicyjskich. Ciekawe jednak, że w mniejszym stopniu upamiętniał dzieła wybitne i cieszące się sławą, że w etnograficzny jakby sposób szukał malowniczości budownictwa wiejskiego, melancholijnego nastroju ruin, spokojnie falujących krajobrazów. Rysował więc samą Medykę, pałac, oranżerie, gumna, miejscowy kościół i cerkiew, notował widoki znad Sanu i w pewnym sensie stał się pierwszym odkrywcą takich nie dostrzeganych przedtem fenomenów, jak architektura synagog i cerkwi. Synagogi zarejestrował trzy: w Sassowie, Przeworsku oraz tę, która jako jedyna istnieje do dziś, w Lesku. Zafascynowały go również okoliczne cerkwie: wśród akwafort znajdujemy widoki dziesięciu cerkwi drewnianych, z których po naszej stronie przetrwała już tylko jedna i to w złym stanie — w Poździaczu.

Do zespołu graficznego doliczyć należałoby dość liczne rysunki, przede wszystkim zaś niezwykle interesujący szkicownik zachowany we wrocławskim Ossolineum, gdzie typy ludowe z Gorgan mieszają się z obrazkami rodzajowymi ze Lwowa (sporo typów żydowskich), a także z przerysami nagrobków ormiańskich. Dlaczego do dziś nikt nie zatroszczył się, by wydać te materiały, które dotyczą krajobrazów Galicji, a zwłaszcza ziemi przemyskiej?

Można by snuć jeszcze wiele podobnych uwag i glos, wciąż bowiem zabytki Pogórzy nie są dostatecznie opracowane i rozpoznane i wciąż także nie docenione. Niech mi będzie więc wolno na zakończenie wypowiedzieć kilka dalszych truizmów. Niedocenienie tutejszych zabytków — z wyjątkiem działalności ośrodka sanockiego, który uczynił sporo dla znajomości budownictwa drewnianego i sztuki cerkiewnej — wynika być może stąd, że na całym tym rozległym obszarze nie ma w gruncie rzeczy zabytków o jakiejś szczególnej wartości europejskiej: fara w Bieczu jako przykład późnogotyckiej architektury, manieryzm Krasiczyna i Dynowa, barokowa architektura przemyskich kościołów, neogotyckie pałace w Zagórzanach i Tyczynie są raczej „egzemplarzami gatunku” niż dziełami wybitnymi na szeroką skalę. A jednocześnie upierałbym się przy bardzo wysokiej ocenie zachowanych tu budowli, po-

nieważ tworzą one enklawy architektury „rodzimej” (angielskie *vernacular* lepiej niż *rodzimość* oddające sens pojęcia) o absolutnie oryginalnej formie i niepowtarzalnym uroku.

Wspominałem o wnętrzu fary krośnieńskiej, pełnej wanitatywnych wątków, a zarazem kwitnącej radością życia: same w sobie poszczególne składowiki to sztuka mimo wszystko prowincjonalna, przeciętna, ale ileż w niej wigoru, ileż niespodziewanej oryginalności. W tymże Krośnie to samo da się powiedzieć o zespole nagrobków i o kaplicy Oświęcimów kościoła franciszkańskiego, o zabudowie mieszczańskiej...

Szczególne bogactwo prezentują Pogórze w zakresie sakralnej architektury drewnianej: o cerkwiach nie wspomnę, mówił o nich wnikliwie Jerzy Tur, ale pamiętać trzeba koniecznie o drewnianych kościołach, które zaliczają się do najbardziej wyjątkowych w skali kraju i konkurują z grupą podhalańskich w pewnym sensie zwycięsko, ponieważ ukazują nam o wiele większą różnorodność. Przypominam hasłowo: Haczów — największa realizacja drewniana epoki gotyku w skali kraju, a może Europy, i do tego odkryta w niej późnogotycka polichromia. Gotycko-renesansowa architektura i znakomite wystroje malarskie prezentują nie tylko słynna Binarowa, ale i wspomniane już Bliźne, a dalej Polna czy Brzeziny. Niestety, nie do odżałowania jest spalenie przez szaleńca kościoła w Libuszy, zabytku, którego wyjątkowość stawiała go bezpośrednio obok podhalańskiego Dębna. Ale ponadto mamy tu niezwykle dużą grupę barokowych świątyń drewnianych i znów — Szalowa to szczególnie wykwit urody, ale zapomnieć nie należy o Jasienicy Rosielnej, o Jaćmierzu, Witkowicach, a także o przechylonych ku klasycyzmowi Rożnowicach.

Specyfika Pogórze to ich różnorodność, bazująca na wielości etnicznej, na przebiegach szlaków handlowych, na tym, że nieustannie pojawiali się tu ludzie nieprzeciętni, współtworzący kulturę regionu. I zapominać nie należy o tym, że omawiany obszar jest wycinkiem, że granica z 1945 r. jest o tyle sztuczna, iż dzieli region kulturowo jednolity. A nie jest to z mojej strony żadna tendencja rewindykacyjna, uznaję polityczne prawa Ukraińców do obszarów zamieszkałych przez nich, ale uznaję także nasze, polskie prawa do widzenia tej wspólnoty historycznej, którą stanowią ziemie dawnego województwa ruskiego, jako naszą wspólną własność. I dlatego fakt, że Dobromil, że Felsztyn — siedziby Herburtów, że Kołomyja Stanisława Vincenza i grupy „malarzy Huculszczyzny”, że Drohobycz — stolica nafty, najpiękniejsza cerkiew bojkowska oraz miejsce urodzenia i śmierci Bruno Schulza, są fizycznie niedostępne lub trudno dostępne, nie zmienia faktu, że one istnieją we mnie jako niezbędna część składowa kulturowego obszaru towarzyszącego północnemu biegowi Karpat.

I tym wezwaniem pragnąłbym zakończyć swą przydługą wypowiedź o sztuce Pogórzy, w której niczego odkrywczego powiedzieć nie zdołałem, ale przynajmniej starałem się uświadomić „jedynowłasność” tego obszaru, gdzie tak wiele i tak niepotrzebnie wyniszczono i gdzie wciąż jeszcze panuje ten niezwykle, czarowny nastrój kulturowego styku, sąsiedztwa i syntezy.

Odpowiedzi na pytania

Panie profesorze, co to były pokoje śniadankowe? Tyle o nich słyszałam, czasem w aspekcie pikantnym, ale nie wiem dokładnie, o co to chodziło.

To było po prostu coś w rodzaju dzisiejszego baru, gdzie się dostawało przekąskę i napitek, gdzie było łatwo zawrzeć znajomość, różnego rodzaju, i w dziedzinie biznesu, i w dziedzinie seksu. To jest galicyjski odpowiednik bistro francuskiego, gdzie można szybko zjeść, przekąsić, obgadać sprawę czy zawrzeć znajomość.

Gdzie są dostępne materiały z inwentaryzacji powiatu przemyskiego?

W Warszawie przy ul. Długiej 28. Tutaj muszę wyjaśnić jedną rzecz. Po pierwsze, w roku 1954 obowiązywał nas przepis, że zabytkiem jest to, co powstało przed 1850 rokiem. W związku z tym nie uwzględnialiśmy tego, co dla nas dzisiaj jest oczywistym zabytkiem. Ale do tego wniosku, że nonsensem jest stawianie jakichś granic czasowych, musieliśmy sami niejako dojść, przekonać o tym samych siebie. Dzisiaj uważam, że zabytkiem jest coś, co powstaje w tym momencie. Jeżeli ma pewne walory poznawcze, jeżeli ma coś, jakiś ładunek informacyjny do przekazania, to tym samym może stać się zabytkiem. Oczywiście nie mówię tutaj o jakichś typowych blokach czy typowych domkach jednorodzinnych, ale o tym, co ma jakieś ambicje, co próbuje coś więcej wyrazić poza samym schematem. W związku z tym to nasze opracowanie jest bardzo ubogie, bo nie obejmowało bardzo wielu dworów czy kamienic przemyskich. Przecież Przemysł jest niesłychanie bogatym miastem, jeśli chodzi o architekturę eklektyczną i secesyjną. To jest osobne zagadnienie, które już dawno powinno być opracowane. Dotyczy to też Jarosławia i Sanoka. Natomiast walorem naszego opracowania jest to, że na gorąco opisaliśmy to, co było, na przykład w Trójcy, Łódzince, Brusce, Leszczawie i w wielu innych miejscowościach. Tych obiektów już dzisiaj nie ma, a ikony zostały pokradzione.

Jak długo obowiązywał ten przepis z 1954 roku?

Jego życie zniosło. W momencie, kiedy zaczęły być organizowane sesje poświęcone sztuce drugiej połowy wieku XIX, sztuce ok. 1900 roku, sztuce XX wieku, kiedy tacy historycy sztuki jak Tadeusz Jaroszewski zrobili rzeczywiście bardzo wiele dla wylansowania neogotyku czy eklektyzmu. Poza tym kryteria estetyczne nieustannie się zmieniają. Bardzo charakterystyczną rzeczą jest to, że przeważnie każda kolejna nadchodząca epoka przede wszystkim dyskwalifikuje bezpośrednio ją poprzedzającą. Dlatego długo trzeba było czekać na rewindykację baroku w XIX wieku, dopiero gdzieś w latach siedemdziesiątych wieku XIX zaczęto nobilitować barok, potem mieliśmy taką anatemę rzuconą na secesję. Jeszcze niedawno podobnie mówiono na temat dwudziestolecia międzywojennego, że jakieś tam style dworkowe, funkcjonalizmy, a dzisiaj to się z aplauzem przyjmuje. Po prostu każda epoka ma swoje wartości, trzeba je tylko umieć dostrzec i ocenić. No i oczywiście najwięcej oporu budziło zawsze budownictwo wiejskie, budownictwo, można powiedzieć, prymitywne. Uważano, że to jest coś gorszego. I właśnie dlatego wydawało mi się, że warto tutaj zwrócić uwagę na Kielisińskiego, ponieważ on przed Glogerem dostrzegł niezwykłość i różnorodność architektury małopolskiej, wiejskiej, cerkiewnej, kościołów drewnianych. Nie znam żadnej jego ryciny z Przemyśla. Ciekawa rzecz, Przemyśl go nie interesował, a cerkiewki pod Przemyślem go interesowały.

Dlaczego cerkiew w Poździaczu nie jest arcydziełem konserwacji, dlaczego mimo że jest taka ładna z zewnątrz, jest źle zakonserwowana?

Mnie się wydaje, że tam popełniono pewien błąd, wyciągając na zewnątrz ostatki zrębu kopuły. To było niegdyś zaszalowane. Ostatki były zawsze widoczne pod tymi przydachami, ale nie na górze. Jeszcze od strony zewnętrznej nie miałbym wielkich zastrzeżeń, ale to, co zrobiono w środku, w ogóle nie ma z żadną konserwacją nic wspólnego. Jest to po prostu zohydzenie wnętrza. W 1954 roku w Poździaczu widziałem piękny, rokokowy ikonostas, ołtarzyki boczne, ołtarz w sanktuarium i jeszcze jakieś ikony. To wszystko zostało oddane do cerkwi w Grąziowej w skansenie w Sanoku i tam na szczęście ocalał ten ikonostas, ale wewnątrz Poździacza straciło raz na zawsze swój urok. No bo to odeskowanie w stylu zakopiańsko-tyrolsko-huculskim jest wołające o pomstę do nieba. Na przykład w kopule są dwa krzyżujące się podciąg i nawet one są odeskowane. Tego rodzaju podciąg były zazwyczaj ładnie opracowane, oprofilowane, to są efekty niepowtarzalne, a jak się to wszystko zadeskuje, to jest jakiś kiepski pawilon GS.

Konserwując teraz zabytki ludowe stara się je jak gdyby podciągnąć wyżej, tzn. żeby zatraciły tę swoją ludowość, tę surowość. Dodatkowo wylewa się beton, np. w Posadzie Rybotyckiej to obetonowanie dookoła cerkwi. Nie wiem, jakie funkcje ma to spełniać?

Tam są założone ławy cementowe, które ściskają całe fundamenty, ponieważ cerkiew „rozjeżdżała się”. Zawsze w czasie konserwacji jest pewna dążność do ulepszania, my ulepszamy naszych poprzedników. Niestety, dzisiaj konserwatorzy przeważnie nie znają architektury, którą się zajmują, i robią wobec tego rzeczy żalosne, po prostu żeby było ładniej. Poza tym u nas konserwacja polega przeważnie na tym, żeby rozebrać i zbudować coś lepszego. Niestety.

Czy część zwana babinicem jest ściśle związana z liturgią i czy jest to część kruchty?

Tak, babiniec to jest ta tradycja wschodnia izolowania kobiet od mężczyzn. Tak naprawdę to się nazywa w greckim *prenaos* — przednawie. Proszę zwrócić uwagę na analogie między synagogą a cerkwią. W synagodze miejsce dla kobiet jest też oddzielone od tego, w którym gromadzą się mężczyźni. Czasem jest to przystawiona z boku parterowa przybudówka, czasem na piętrze, czasem otwarta loggia. W meczetach też była izolacja. I taka była również w cerkwi, z tym że nie była tak absolutna, ponieważ były też te przeźrocza, przez które można było wyglądać, a nie tylko wejście łączące przednawie z nawą. W całej liturgii wschodniej jest o wiele więcej elementu mistycznego niż w zachodniej. Przecież w Kościele łacińskim istniało też coś w rodzaju ikonostasu, było to tzw. lektorium, które było powszechnie stosowane w epoce romańskiej, później jeszcze sporadycznie w gotyckiej. Przegrodzenie prezbiterium i części nawowej przydaje pewnego znamienia tajemnicy obrzędowi dziejącemu się za tym przegrodzeniem. Tylko że w Kościele prawosławnym przeszło odwrotną koleję, od stosunkowo lekkiego wydzielenia arkadami, w których wieszano ikony i kotary, przeobraziło się w ogromną ścianę, gdzie pozostawały tylko niewielkie prześwit i możliwości otwarcia drzwi carskich wrót w czasie liturgii.

Czy te lektoria istniały również w kościołach polskich?

Tak, są ślady zachowane w kościele Panny Marii na Piasku we Wrocławiu, w kolegiacie w Kołobrzegu, w Kamieniu istnieje jeszcze do dziś w formie kutej kraty ten przedział, istnieje w Kwidzynie i zapewne jeszcze w kilku innych kościołach. To jest ten krąg zachodni. Zresztą lektoria były najpowszechniejsze na północy Europy. Krajem, gdzie najdłużej utrzymywały się, była Flandria, gdzie budowano je aż po schyłek XVI wieku.

Czy w Polsce można mówić o czymś takim jak manieryzm?

Moje przekonanie co do manieryzmu jest takie, że w odróżnieniu od innych stylów był to zawsze styl tylko i wyłącznie elity, nigdy nie miał cech uniwersalnych. Nie przeniknął wszędzie, był tylko stylem dworu, wyższych sfer kościelnych, stylem można powiedzieć arystokratycznym. W związku z tym w Polsce można mówić o manieryzmie w niektórych przypadkach bardzo wielkiego wyrafinowania. Będzie tu należał i Krasiczyn, i Krzyżtopór. Natomiast oprócz manieryzmu jest coś, co jest paramanieryzmem, coś, co polega na tym, że przyswojenie renesansu, baroku czy manieryzmu jest często zespolone z presją rodzimości (angielskie *vernacular*), jest czymś niezwykłym. Mówiło się i mówi dotychczas o renesansie lubelskim. Ja się pytam, co to za renesans? Na kościec gotyckiej architektury nałożona jest dekoracja bardzo dziwna, nie znajdująca analogii nigdzie w Europie — te stiukowe listwy, które przypominają raczej sklepienie sieciowe, późnogotyckie raczej niż renesansowe. Tak, że czy to jest manieryzm czy renesans, czy też coś pośredniego, właśnie w kategorii tego *vernacular*, tej rodzimości jakiejś? Tak samo, jeśli chodzi o kazimierzowskie kamienice, czy są one aż świadomym manieryzmem, czy może te „pierniki” są wyrazem właśnie takiej swojskości — tak sobie murowano, tak sobie stiuki robiono, tak podobało się robić. Natomiast brakuje tu tego, co jest w manieryzmie włoskim, to jest tego ogromnego wyrafinowania, świadomości tego, że jeżeli się coś buduje, to robi się zabawę z porządkami i ustawia je na głowie, rozmija osie — jednym słowem czyni te wszystkie sztuczki, które są charakterystyczne dla drugiej połowy XVI w. To samo dotyczy manieryzmu północnego, właśnie niderlandzkiego, z jego tak abstrakcyjną dekoracją, dziwaczną, wywodzącą się z maswerku raczej niż z renesansowych wzorów. My w Polsce mieliśmy dwa manieryzmy, bo jeden przychodził przez Gdańsk, a drugi, manieryzm włoski, szedł znowu od południa. Czołowym jego przedstawicielem był Gucci, który w takich realizacjach jak pałac w Książu jest manierystą w stu procentach.

Zdzisław Skrok

UWAGI O NATURZE KULTUROWYCH POGRANICZY

NA PRZYKŁADZIE OBSZARÓW OBECNEJ POLSKI NA WSCHÓD OD WISŁY

Zjawisko kulturowej pograniczności wynika przede wszystkim z podstawowej cechy ludzkiej kultury — jej różnorodności. Badania archeologiczne i etnograficzne wykazują, iż już u zarania ludzkości różnorodność ta osiągała wysoki stopień i wyrażała się zarówno na płaszczyźnie materialnej, poprzez zróżnicowanie form narzędzi, ozdób, domostw, grobów itp., jak i w sferze duchowej, w aspekcie obyczajów, języków, mitów i wyobrażeń religijnych. Perspektywa historyczna wskazuje również, iż w dziejach kultury ludzkiej dominuje tendencja do niwelowania owej różnorodności, do eliminacji entropii kultur. Pierwszym jej objawem było pojawienie się wielkich, zunifikowanych cywilizacji epoki neolitu i żelaza, powstanie wielkich kręgów kulturowych: śródziemnomorskiego, bliskowschodniego, indyjskiego, chińskiego i mezoamerykańskiego. Ostatnim przejawem tego procesu jest powstanie ogólnoswiatowej, współczesnej nam cywilizacji mass mediów, komputerów i plastyku, mającej swe korzenie w Europie i Ameryce Północnej. W naszych czasach różnorodność kultur zostaje ostatecznie zdławiona, co pociąga za sobą również zanikanie kulturowych pograniczy, sfer przenikania się i asymilacji różnorodnych treści. Jest to jednak ciągle zjawisko świeże. Pod cienką warstwą cywilizacji zunifikowanej istnieje nadal — choć już tylko w formie zabytków i przeżytków — tkanka historycznie ukształtowanych różnorodności, istnieją nadal obszary kulturowych pograniczy, trwa — choć w ukryciu — dawna różnorodność.

Wymieniony w tytule obszar Polski należy tu do najbardziej interesujących w całej Europie. Wisła, tworząca oś i kręgosłup naszego kraju, już w staro-

żytności była uważana za rzekę graniczną, arterię oddzielającą europejską Germanię od azjatyckiej Sarmacji. W średniowieczu, wraz z chrystianizacją państw słowiańskich, na wschód od Wisły rozciągała się strefa styku i przenikania dwóch odrębnych obrządków chrześcijańskich, a zarazem dwóch sięgających starożytności tradycji: łacińskiej, zrationalizowanej i trzeźwej myśli Zachodu, i bizantyjskiej, skłonnej do mistyki i kontemplacji tradycji chrześcijańskiego Wschodu. Obydwa te nurty sąsiadowały wówczas w tym rejonie dodatkowo z zanikającymi już podówczas w Europie wyznawcami kultów pogańskich, reprezentowanymi przez ludy bałtyjskie — Prusów, Jaćwingów i Litwinów. Tę wyznaniową mozaikę wzbogacali jeszcze goszczący na tych pogranicznych obszarach, najpierw w charakterze najeźdźców, a później osadników (szczególnie na pograniczu polsko-białoruskim), wyznawcy islamu.

Granice wyznaniowe w średniowieczu pokrywały się na ogół z granicami etnicznymi. Tak było przynajmniej w interesującej nas strefie. Polacy, zaliczani do zachodniej rodziny Słowian, byli wyznawcami obrządku łacińskiego, podczas gdy Rusini — bizantyjskiego. Rubież przejściowa oddzielająca obydwie etniczno-wyznaniowe żywiły — trudno tu bowiem mówić o jasnej i utrzymywanej konsekwentnie granicy — przebiegała wówczas gdzieś pomiędzy Wisłą a obecną granicą państwową naszego kraju z ZSRR,¹ bardziej jednak ciężąc ku wschodniej części tej strefy. W średniowieczu również, a właściwie w jego wcześniejszych wiekach, te dwa „pogranicznotwórcze” czynniki współgrały z trzecim — politycznym. Wschodnia granica państwa pierwszych Piastów przebiegała mniej więcej wzdłuż granicy etnicznej i wyznaniowej. Szybko jednak okazało się, że o ile te dwa ostatnie elementy mają raczej charakter stabilizujący, nie podlegający tak szybko zmianom i przesunięciom, o tyle czynnik polityczny jest ze swej natury dynamiczny i ekspansywny, dążący do ciągłej zmiany państwowych granic. Na skutek jego oddziaływania w interesującej nas strefie już w późnym średniowieczu nastąpiło zachwianie wspomnianej harmonii. W XIV wieku w obręb państwa polskiego zostały włączone tereny zachodniej Rusi (Ruś Czerwona), a równocześnie zamieszkiwane przez Polaków obszary północnego Mazowsza i wschodniego Podlasia zostały przyłączone — odpowiednio — do państwa krzyżackiego i Litwy. W późniejszych wiekach, szczególnie w Rzeczypospolitej Obojga Narodów, te przesunięcia granic politycznych były realizowane na jeszcze większą skalę i zgodnie z ekspansjonistycznymi dążeniami państwa polskiego. Drastyczne odwrócenie tego procesu nastąpiło w okresie rozbiorów, kiedy to — tym razem w interesie państw ościennych — państwo polskie

¹ Pisane w latach osiemdziesiątych (przyp. red.).

znikło z mapy Europy. W efekcie ukształtowały się na terenach na wschód od Wisły nowe strefy pograniczne, i to nie tylko polityczne, ale i kulturowe oraz — w mniejszym stopniu — wyznaniowe i etniczne.

Wszystkie te zmiany, wzloty i upadki, asymilacje i dominacje, przenikania i symbiozy wytworzyły na tym obszarze jedyny w swoim rodzaju konglomerat kulturowy, swoisty pejzaż kulturowy, zarazem synkretyczny i eklektyczny. I choć obecnie jest to już pejzaż historyczny, istnieje on przecież nadal w krajobrazie, w słowie pisanym i w tradycji ustnej, w zabytkach, które kryje ziemia, i w języku ludności zamieszkującej te obszary.

Aby nie być gołosłownym, przytoczmy tu garść przykładów. Zaczniemy od czasów najdawniejszych, od starożytności. Oto archeolodzy odkryli na wschodnim, prawobrzeżnym Mazowszu zespół cmentarzysk pochodzących z III i IV wieku naszej ery, cmentarzysk, na których znajdowały się wyłącznie pochówki kobiet i dzieci. Pomimo usilnych starań nie zdołano w tej okolicy odnaleźć cmentarzy, na których pogrzebano mężczyzn żyjących z tymi kobietami i płodzących z nimi dzieci. Równocześnie z wieków późniejszych (VIII–XI) pochodzą stosunkowo liczne, i to pisane zarówno przez autorów europejskich, jak i arabskich, wzmianki — bardzo nieprecyzyjne — o istnieniu gdzieś na terenach położonych na południe od Bałtyku Państwa Kobiet, nazywanego też Miastem Amazonek. Wzmianki te można odnieść hipotetycznie do wschodniego Mazowsza i uznać je za reperkusje zjawisk zachodzących tam wcześniej, właśnie w II i IV wieku. Do tego należy dodać jeszcze informacje gockiego historyka Jordanesa (żyjącego w VI wieku) o tym, iż pod koniec II wieku germańskie plemię Gotów wywędrowało z zajmowanego przez nie od początku I wieku Pomorza Gdańskiego na stepy nadczarnomorskie, a szlak tej wędrówki prowadził zapewne przez wschodnie Mazowsze. Połączenie tych trzech przesłanek skłoniło mnie do postawienia tezy,² iż ów dziwny fenomen, jakim były cmentarzyska pozbawione pochówku mężczyzn, jest odzwierciedleniem czysto realnej sytuacji, jaka zaistniała w owym czasie na wspomnianym terenie. Sugerowałem, że właśnie na wschodnim Mazowszu Goci, rozpoczynający dopiero swą polityczną i wojenną karierę, pozostawili swe żony i córki, aby nie narażać ich na trudy niebezpiecznej podróży i spodziewanych wojen. Zaangażowani w podbój cesarstwa rzymskiego, nigdy nie powrócili na Mazowsze i założyli nowe rodziny z brankami i kobietami spotkanymi na terenach podbitych. Kobiety gockie zaś, wierne nakazowi plemiennej egzogamii, powstrzymywały się przed wchodzeniem w związki

² Piszę o tym szerzej w książce *Na tropach archeologicznych tajemnic Mazowsza* (Warszawa 1980).

małżeńskie z miejscowymi mężczyznami i jeśli nawet fizycznie stosunki takie miały miejsce, nie znajdowały odzwierciedlenia w formalnych strukturach plemienia, między innymi w fakcie pogrzebania na rodowym cmentarzu.

Ta próba rekonstrukcji sytuacji społecznej na wschodnim Mazowszu w III i IV wieku jest oczywiście hipotezą, ale hipotezą najbardziej prawdopodobną. Jej uzupełnieniem jest ciekawa i odnosząca się bezpośrednio do śledzonego przez nas „syndromu pogranicza” prawidłowość z zakresu ludzkiej waloryzacji przestrzeni. Otóż stwierdzono, iż poczynając od starożytności wszystkie dziwne i fantastyczne monstra — Psiogłowcy, Cyklopi, Centaury, Amazonki — były zawsze lokowane tuż za granicą aktualnej ojki — świata poznanego. Wymowna jest tu „wędrownka” Amazonek, które najpierw umieszczano w Tracji, później na stepach południowej Ukrainy, następnie w Afryce Północnej, a we wczesnym średniowieczu, gdy zachodnia i środkowa Europa stały się już światem poznanym, przeniesiono je właśnie w rejon południowo-wschodnich wybrzeży Bałtyku, gdzie żyły jeszcze ludy pogańskie i gdzie przebiegała granica ówczesnej ojki. Gdy i te tereny zostały poznane, ostatnim „schronieniem” walecznych kobiet stały się dżungle Ameryki Południowej, gdzie XVI-wieczni podróżnicy napotykali je, toczyli z nimi walki oraz utrwaliли pamięć o nich w nazwie największej rzeki świata.³ W tym świetle zarówno owe tajemnicze starożytne cmentarzyska, jak i wczesnośredniowieczne wzmianki o Państwie Kobiet uznać należy za najstarsze świadectwa pogranicznego statusu ziem na wschód od Wisły, świadectwa będące zapowiedzią ich późniejszej „pogranicznej” kariery.

Idźmy dalej w naszych poszukiwaniach, ku czasom lepiej oświetlonym przez źródła pisane. Oto Drohiczyń na Podlasiu — miasto noszące w średniowieczu wszystkie cechy pogranicznego ośrodka. Od początku XI wieku przechodzi ono z rąk do rąk, raz będąc w posiadaniu książąt mazowieckich, innym razem ruskich lub litewskich. Tu w 1237 roku Konrad Mazowiecki osadza przeniesionych z Dobrzynia Rycerzy Chrystusowych, będących najdalej na wschód (obok Kawalerów Mieczowych na Łotwie) działającym zakonem rycerskim świata zachodniego. Tu równocześnie kwitnie handel Zachodu ze Wschodem, którego świadectwem są setki ołowiowych plomb z ruskimi napisami i symbolami, znalezione u stóp Góry Zamkowej, gdzie istniała przystań statków spływających Bugiem i gdzie kupcy wyładowywali swe towary. Drohiczyń wreszcie uchodził za stolicę Jaćwieży — wojowniczego pogańskiego ludu startego ostatecznie z powierzchni ziemi przez koalicję mazowiecko-krzyżacko-ruską, a zarazem — co paradoksalne — był bazą wypadową wojsk

³ Kwestii „wędrowek” Amazonek po świecie poświęcam rozdział mej książki *W poszukiwaniu Eldorado i Ziemi Obiecanej* (Warszawa 1985).

owej koalicji, miejscem, gdzie gromadziły się jej oddziały przed wyruszeniem przeciwko Jaćwingom. W Drohiczyń wreszcie w 1253 roku koronował się na króla książę Rusi Danił.⁴

Na południu podobną rolę pogranicznego ośrodka odgrywał wówczas Przemyśl, gdzie za Bolesława Chrobrego wzniesiono okazałe kamienne palatium wraz z kościelną rotundą, identyczne w formie i konstrukcji z podobnymi budowlami z Ostrowa Lednickiego, Krakowa i Płocka. Przemyskie palatium, należące do architektonicznej tradycji świata Zachodu, jest zarazem świadectwem jego najdalszej na wschodzie obecności — podobnych budowli nie ma na Rusi. Zarazem jednak archeolodzy przekopujący średniowieczne warstwy Przemyśla znajdują w nich wiele zabytków wschodniej, ruskiej kultury, co wymownie potwierdza tezę o kulturowej pograniczności tego ośrodka, o jego ludnościowej mieszance i zawiłych, zmiennych losach politycznych. Potwierdzają to również źródła pisane.⁵

Równie wymownym reliktem dawnej pograniczności jest kamienna wieża obronna w Stołpiu koło Chelma. Jest to budowla średniowieczna, ustawiona na kopcu ziemnym, z wyglądu oraz konstrukcji identyczna z budowanymi w tym czasie w całej Europie Zachodniej i Środkowej, od Normandii aż po Mazowsze, obronnymi siedzibami rycerskimi. Tego rodzaju budowle uchodzą za ważną oznakę przemian w systemie feudalnym świata zachodniego, mianowicie dowodzą znacznego uniezależnienia średniej warstwy rycerstwa od władzy suwerena. Budowanie obronnych siedzib rycerskich stanowiło bowiem złamanie podstawowego *regale* — prawa książęcego głoszącego, iż tylko książę ma prawo wznosić obronne grody i zamki. Proces ten był charakterystyczny tylko dla świata zachodniego, na wschodzie książęta nadal zachowywali pełnię władzy, toteż nie wykształciła się tam warstwa niezależnego rycerstwa i nie budowano rycerskich siedzib obronnych. Z tej racji wieżę w Stołpiu (*stołp* to właśnie staropolska nazwa tego rodzaju rycerskiej siedziby) należy traktować jako wysunięty najdalej na wschód zabytek wspomnianych przemian świata zachodniego. Równocześnie jednak budowla ta posiada w swej najwyższej kondygnacji pomieszczenie nawiązujące wprost do tradycji wschodniej. Jest to mianowicie komnata ośmioboczna, oblicowana cegłą, z absydą od strony wschodniej i dwiema niewielkimi niszami po jej obydwu stronach. Zdaniem I. Kutylowskiej, badaczki tego

⁴ Patrz rozdział poświęcony Drohiczyńowi w książce *Na tropach...* (op.cit.).

⁵ Rolę Przemyśla jako grodu pogranicznego w średniowieczu przedstawili autorzy referatów wygłoszonych na konferencji „1000-lecie pierwszej historycznej wzmianki o Przemyśle z 981 roku”, która odbyła się 23 X 1981 r. Materiały te opublikowano w „Roczniku Przemyskim” (t. XXIV–XXV, Przemyśl 1988).

obiekty, pomieszczenie owo służyło jako kaplica obrządku wschodniego — jego kształt i organizacja nawiązują wprost do tradycji bizantyjskiej, a nawet wczesnochrześcijańskiej. Mamy tu więc do czynienia z mieszaniną — typową dla pogranicza — stylów architektonicznych, tradycji kulturowych i obrządków. Wieża przynależąca w swej formie do świata Zachodu była zamieszkiwana i użytkowana przez ludzi ukształtowanych w tradycji Wschodu i wyznających chrześcijaństwo obrządku wschodniego.⁶ Tego rodzaju mariaż, możliwy tylko w strefie spotkania wielkich kręgów kulturowych, jest swoistą prowokacją naszej wyobraźni, dowodzi, jak bezużyteczne są w sytuacji pogranicza wszelkie jednoznaczne i katerygiczne podziały stylistyczne i polityczne.

Przykładów takich można znaleźć więcej. Na pograniczu podlasko-białoruskim podobny synkretizm wyrażają wznoszone w XVI wieku cerkwie prawosławne (później unickie), łączące w swej architektonicznej bryle cechy późnogotyckich kościołów Mazowsza (np. Brochów, Serock, Piaseczno) z wymogami stylu i funkcji świątyń obrządku wschodniego. Typowym przykładem tego rodzaju architektury jest zniszczona w czasie ostatniej wojny, a obecnie odbudowywana cerkiew monastyriska w Supraślu koło Białegostoku; inne położone są na terenie etnograficznej Białorusi — w Synkowiczach, Mołozżukowie, Pskowie.⁷

Od zabytków przejdźmy teraz do ich twórców — ludzi i ludów zamieszkujących pogranicze. Zawiłość dziejów, zmienność układów politycznych, wyznań i narzucanych nieraz siłą treści kulturowych ukształtowały specyficzny, nie spotykany gdzie indziej typ człowieka pogranicza. Jeszcze do niedawna okolice te zamieszkiwały ludy etnograficzne, czyli dość zwarte pod względem kulturowym i językowym grupy świadome swej odrębności i identyfikujące się z własną tradycją, choć tradycja ta rzadko była ich oryginalnym wytworem, a raczej stanowiła mieszaninę zapożyczeń z sąsiednich obszarów, przetworzoną jednak i zaadaptowaną na użytek określonej społeczności. W ten sposób powstały liczne grupy etnograficzne pogranicza, nie identyfikujące się bezpośrednio z żadnym wielkim narodem ościennym, a określające swój status narodowy dość wymijającym, ale w ich sytuacji właściwym określeniem „tutejszy”. Mieszkaniec Polesia więc, pogranicza polsko-białoruskiego nad górną Narwią, Łemko, Bojko pytani w okresie międzywojennym w czasie urzędowych spisów ludności o przynależność narodową, nie przyznawali się ani do pochodzenia polskiego, ani do ruskiego. Odpowiadali, że są „tutejsi”,

⁶ Piszę o tym szerzej w artykule pt. *Turris Fortissima* („Problemy” 1989, nr 5).

⁷ Szerzej na ten temat w mej książce *Wykopalska na pograniczu światów* (Warszawa 1988), w rozdziale „Krzyż i ikona”.

co jak pokazał Redliński w *Konopielce*,⁸ a Pawluczuk w *Wierszalinie*,⁹ na pograniczu polsko-białoruskim funkcjonowało jeszcze jako forma etnicznej samoświadomości w okresie powojennym. Etnografowie badający dziś i w okresie międzywojennym język i kulturę owych „tutejszych” ludów pogranicza bez trudu udowodnili ich językowy i kulturowy, a niekiedy również wyznaniowy synkretyzm. W kulturze i języku bojkowskim na przykład, ich zdaniem, przeważał element ruski zmieszany z wpływami wołoskimi i madiarskimi. Kultura i język Łemków powstały na bazie tradycji wołoskiej połączonej ze znacznym dodatkiem elementów polskich i ruskich. Poszukiwania te jednak i próby rozgraniczeń, wydobywania etnograficznych „sensów” nie zawsze udają się, nie zawsze też służą jedynie bezstronnym, naukowym dociekaniom. Przykładem może tu służyć spór o przynależność kulturową i narodową Nikifora Krynickiego, wybitnego malarza prymitywisty obszaru pogranicza polsko-ukraińskiego lub raczej — unikając współczesnych odniesień politycznych — polsko-ruskiego. Andrzej Banach, opiekun artysty i autor poświęconej mu monografii,¹⁰ nie miał wątpliwości co do polskiego pochodzenia artysty. Swą opinię oparł na nie potwierdzonej plotce, jakoby Nikifor był nieślubnym synem polskiego malarza i arystokraty zamieszkującego w pensjonacie „Trzy Róże” w Krynicy, w którym usługiwała matka Nikifora, Jewdokia Drowniak. Twierdzeniu temu gwałtownie zaprzeczają przedstawiciele środowisk łemkowskich i ukraińskich, zarówno w naszym kraju, jak i za granicą. Pierwsi zwracają uwagę na niewątpliwie łemkowskie pochodzenie matki artysty, której nazwisko uważają za wywodzące się z ich dialektu (gwary). Ukraińcy z kolei odczytują to nazwisko jako Derewniak i uznają je za zgodne z fonetyką ich języka, przypisują Nikiforowi pochodzenie ukraińskie. Trzy grupy i trzy tradycje kulturowo-językowe rywalizują więc o osobę i twórczość krynickiego prymitywisty, nie zauważając, iż radykalne rozstrzygnięcie w tej mierze jest niemożliwe. Nikifor bowiem i jego twórczość są typowym wyrazem i efektem oddziaływania wielu kultur, są tworem pogranicza, niejednoznacznym i sumującym wpływy idące z wielu kierunków. Przyznał to dopiero niedawno Aleksander Jackowski, pisząc na łamach „Polskiej Sztuki Ludowej”: „Nikifor był Łemkiem, czuł się Łemkiem i dzielił los Łemków (także w czasie trwania akcji „Wisła” — przyp. aut.). Oczywiście, podobnie jak inni Łemkowie, mówił także po polsku, żył w kręgu obu kultur — polskiej i łemkowskiej, chodził do cerkwi i do kościołów”.¹¹

⁸ E. Redliński: *Konopielka*. Warszawa 1973.

⁹ W. Pawluczuk: *Wierszalin. Reportaż o końcu świata*. Kraków 1973.

¹⁰ A. Banach: *Nikifor*. Warszawa 1984.

¹¹ A. Jackowski: Nikifor Andrzeja Banacha. „*Polska Sztuka Ludowa*” 1985, nr 3–4.

Przykład kontrowersji wokół osoby i twórczości Nikifora jest sygnałem prowadzącym nas do innego zjawiska, mającego istotny wpływ na sytuację panującą na pograniczach kultur, a mianowicie do zrodzonego w XIX wieku, a tragicznie rozkwitającego w XX wieku nacjonalizmu, narodowej megalomanii czy wręcz szowinizmu. Pojawienie się tych postaw, szczególnie w kręgu wielkich narodów, znacznie skomplikowało położenie małych ludów pogranicza, uczyniło ich odrębność i swoistość celem ataków i dążeń asymilacyjnych. Uaktywnienie się nacjonalizmów wspieranych przez działania unifikacyjne państw narodowych stało się źródłem wielu tragicznych wydarzeń i procesów na interesującym nas pograniczu. Postawy te stały się na przykład przyczyną kasaty kościoła unickiego w zaborze rosyjskim i przymusowych nawracania jego wyznawców na prawosławie, identyfikowane wówczas z narodem wielkorosyjskim i jego państwem rządzonym przez carów, którzy zarazem byli oficjalnymi i faktycznymi zwierzchnikami cerkwi prawosławnej. Tragiczne wydarzenia, jakie miały miejsce po 1875 roku (data oficjalnego zniesienia Unii) na Podlasiu i Chełmszczyźnie, były wyrazem tych propaństwowych i pronarodowych działań. Działania unifikacyjne, tym razem na rzecz polskości, miały miejsce na tych terenach w okresie międzywojennym. Jeszcze bardziej drastycznie realizowano je w okresie powojennym, w wyniku czego znikły całkowicie z obszaru naszego kraju typowe, mające długą historyczną tradycję ludy pogranicza. Los Mazurów i Łemków jest tu najbardziej wymownym, a zarazem tragicznym przykładem.

Prowadzona w latach 1945–50 na wschodnich terenach naszego kraju wojna domowa ujawniła jeszcze jeden syndrom typowy dla pogranicza. Otóż, o ile w czasie pokoju pogranicza z ich mozaiką lokalnych kultur i różnorodnymi wpływami idącymi z wielu stron sprzyjały rozwojowi sztuki, literatury (dobrym przykładem jest tu „magiczna” proza Brunona Schulza) i kultury, krzewiły tolerancję i otwarcie na „innych”, o tyle w czasie wojny, szczególnie wojny domowej, dochodzą tu do głosu treści przeciwstawne. Nigdzie wojny nie są tak, jak właśnie na pograniczach, okrutne i podstępne, tak zagmatwane, iż często brat strzela do brata, sąsiad morduje sąsiada. Stwierdzenie Pawła Jasienicy — osobistego uczestnika tego rodzaju wydarzeń — iż „każda wojna domowa ma to do siebie, że z biegiem czasu staje się coraz bardziej okrutna, a historia nie zna wyjątku od tej reguły”,¹² otóż stwierdzenie to odnosi się przede wszystkim do wojen prowadzonych na pograniczach.

Na zakończenie można więc powiedzieć, że pogranicza dynamizują, inspirowa i optymalizują wszelkie sytuacje i zjawiska zachodzące w ich kręgu.

¹² P. Jasienica: *Pamiętnik*. Międzyzakładowa Struktura Solidarności, bez miejsca i daty wydania.

W czasie pokoju ich wpływ jest pozytywny, służą powstawaniu oryginalnych, bogatych i twórczych zjawisk kulturowych, zespalają w swym tyglu różnorodne substancje i dają owoc dorodniejszy niż inne obszary kulturowe. W czasie wojen — przeciwnie — twórcze i inspirujące siły pogranicza ulegają zatruciu, stają się destrukcyjne, służą zbrodni i zniszczeniom, wzajemnemu unicestwieniu. Być może dlatego wielkie, zunifikowane obszary kultur i narodów nie lubią swych pograniczy, czują się zagrożone ich różnorodnością, niejednoznacznością i dynamizmem. I dlatego też w naszych czasach pogranicza kultur są w zaniku, są „pacyfikowane” i ujednolicane (wymownym przykładem jest tu akcja spolszczania nazw miejscowości podjęta w Bieszczadach w latach siedemdziesiątych. Taka jest sytuacja obecna, ale nie znaczy to — historyczna. Pogranicza bronią bowiem swej tożsamości poprzez historię, poprzez swą barwną i nietypową przeszłość. Bronią się poprzez swe zabytki i ludzką pamięć. I im bardziej doskwiera nam monotonia zunifikowanej kultury masowej naszych czasów, tym chętniej myśl nasza kieruje się ku pograniczom, tym chętniej skłonni jesteśmy wędrować po tych terenach i poznawać ich fascynującą przeszłość. Widziane w historycznej perspektywie pogranicza stają się swoistą odtrutką na duchową „niewygodę” i powierzchowność naszej codziennej egzystencji, kuszą obietnicą intelektualnej i romantycznej przygody. Dlatego też te historyczno-kulturowe strefy znajdują coraz więcej miłośników — sam należę do nich od lat — coraz liczniejsza jest rzesza tych, którzy na pograniczach, kresach i pobokach szukają prawdy o sobie i o swych historycznych korzeniach.

DZIAŁO SIĘ W BORYNI

Przedstawiony poniżej dokument z 1648 roku, będący relacją z czynności sądu grodzkiego, zasługuje na szczególną uwagę. Dowiadujemy się z niego, że kilkunastu ludzi pochodzących z różnych bieszczadzkich wiosek, m.in. z Wołosatego, Roztok, Beniowej, Stuzycy, Ruskiego, Zboja¹, wspieranych przez siedmiu „spisaków” napadło na dwór w Boryni koło Turki. Napastnicy byli uzbrojeni w broń palną, a także świece smolne do podpalenia zabudowań. Wszystko wskazuje na to, że czas rabunku nie był wybrany przypadkowo, ponieważ we dworze boryńskim oprócz właściciela, pana Marka Wysoczańskiego i jego rodziny, znajdowała się także uchodząca z całym swoim dobytkiem przed Tatarami i Kozakami rodzina Jędrzeja Swaryczowskiego z powiatu żydaczowskiego. Napadu dokonano w nocy. Wyważywszy bramy i pozabijawszy służbę, napastnicy zrabowali wszystko, co miało jakąś wartość, poczynawszy od złota i srebra poprzez broń i rzędy końskie, a skończywszy na ubiorach szlachty i czeladzi. Nie szczędzili kobiet ni dzieci.

Trzech zbójników schwytano i postawiono przed sądem grodzkim, który skazał ich na śmierć: herszta na pal, a pozostałych na ćwiartowanie. Zapisane w dokumencie zeznania pojmanych, składane „tak dobrowolnie, jak i na mękach”, ujawniają wcześniejsze napady: niedaleko Jaślik na furmanów oraz „na beskidzie” — na wieśniaków z Dwernika i Nasicznego idących na jarmark do Ungwaru. Tym ostatnim opryszkowie zabrali nie tylko pieniądze, ale także wełnę i płótno. Widać więc, że rabowali nie tylko bogatych, jak chce legenda.

Zeznania ujawniają protektorów i inspiratorów napadu: sołtysa ze Stuzycy, który zapewnił broń, Stefana, popa stużyckiego, który dostarczał prochu i swoimi sługami zasilał bandę. Kost, sołtys z Polany, zobowiązał się przechować łupy, z których część miał otrzymać krajnik dziedzicki Humennego. Zbójnicy mieli więc najwyraźniej mocne oparcie „po węgierskiej stronie”, które zapewniłoby im praktyczną bezkarność, gdyby zdołali zbiec za karpacką granicę. Problem ten występował na terenie całych Beskidów i znajdował wielokrotnie swoje odbicie w obradach tamtejszych sejmików

¹ Wszystkie miejscowości wymienione w dokumencie naniesiono na załączoną mapkę.

ziemskich. Szlachta sanocka niejednokrotnie słała poselstwa do panów węgierskich z prośbą, aby poskromili swych poddanych i umożliwili ściganie rabusiów w swych włościach.

Z zeznań zbójników dowiadujemy się o dawniejszym najściu na dwór w Dydiowej i o planach napadów na dwory w Chmielu i Stuposianach. Co ciekawe, jeden z podsądnych (*nota bene* w dokumencie występujący raz jako Michał Findzanic czy Firzanic, a innym razem jako Firanik) mówi, że obiekty napadów wybierają czy podpowiadają („nawodzą”) mieszkańcy Wołosatego. Warto tu przypomnieć, że wymienione w dokumencie wsie po polskiej stronie, z których pochodzili rozbójnicy, tzn. Wołosate, Solinka i Roztoki, były własnością królewską. Ukryte głęboko w górach, pod samą granicą, w niewielkim stopniu podlegały kontroli prawa. Nie było w nich dworów, a ludność cieszyła się większymi swobodami niż poddani ze wsi prywatnych. Osadnikami bywali tu niejednokrotnie chłopci pańszczyźniani zbiegli z innych miejscowości, bowiem przywileje lokacyjne gwarantowały im ochronę. W lustracji królewskiej z 1565 r. tak opisano Wołosate: „Ta wieś jest zasadzona na połoninach przy górze rzeczonyj Beskid, distans od Sanoka mil dwanastie, w której sam kniaź² anno Domini 1557 zasiadł, (...) który kniaź tylko dwu człowieku teraz tam osadził a obu furtatów³”. Jak widać, w sto lat później tradycje przestępcze były nadal żywe.

Dokument ten opublikował Michał Hruszewski w swych *Źródłach do historii Ukrainy-Rusi*⁴ obok innych materiałów z czasów powstania Chmielnickiego, m.in. uchwał sejmikowych, uniwersałów, skarg sądowych i listów prywatnych. Wydaje się jednak, że opisujący tu napad z historycznymi wydarzeniami 1648 r. nie ma bezpośredniego związku. Może jedynie o tyle, o ile każda zawierucha dziejowa osłabiająca władzę, a co za tym idzie, zwiększająca poczucie bezkarności przestępców, owocuje wzrostem wystąpień przeciw prawu. Wielki rozwój zbójnictwa karpackiego w II połowie XVII i w XVIII w., w czasach wielkich wojen i upadku Rzeczypospolitej, jest najlepszym tego przykładem.

Dokument cytujemy w oryginalnej pisowni, która utrudnia lekturę, lecz lepiej oddaje ducha epoki.

Anna Kamińska

Działo się w Boryni przy bytności wielu ludzi stanu słacheckiego, którzy się nizey podpisali y innych wielu z roznych wsi y przysiężnych: Philip Pazowic, Iwan Macieikowic z Wysockich Niznych, Fedko Czorny, Ichnat Kitric, Iwan Wołowic, Fedynka Zubłowicz z Butle, Iwan Seredzicz, Hryc Ostrzejowic, Simko

² Kniaź — we wsiach prawa wołoskiego odpowiednik sołtysa.

³ Furtat — złodziej.

⁴ M. Hruszewski: *Żerela do istorii Ukrainy-Rusy*. T IV, Lwów 1898. Pochodzenie dokumentu: *Ind. rel. castr. Premisl.* a. 1648, t. 375, p. 1710–1722. — *Ind. rel. castr. Sanoc.* a. 1648, t. 161, p. 2144–2152, obl. 28/VIII.

*Sliwka, Hryc Tryhubowic z Butelki, Lesio Boryszowic z Moldawskiego, Łukasz Warwarycz z Iaworowa, die 19 iunii anno millmo sexcentmo quadmo octauo.*⁵

Fedor Fakasz z Ruskiego maietnosci ieymci pani Humienney,⁶ którzy zebrawszy się z Bieszczada⁷ y z roznych miest innych z rozboynikami, z strzelbą na to przysposobioną, w poniedziałek po św. Trojcy o godzinie wtorey w noc dwor borynski naszli, bramy wybiwszy, iegomci pana Marka Wysoczanskiego y małzonki imci, tudzież imci pana Iendrzeia Swaryczowskiego, zięcia imci, który z małzonką swą y z dziećmi y ze wszystką substantią swoją, co przedniejszą, złotem, srebrem, kleynotą, pieniędzmi, szatami przed trwogami na ten czas będącemi od Tatar y Kozaków z maietnosci swojej ze wsi Topolska z powiatu zydaczowskiego a wojewodztwa Ruskiego dla bezpieczeństwa lepszego do Boryni ziachał, tam ze wszystkiego złupiony iest y zebrany, małzonkę imci p. Swaryczowskiego obuchami zbity, dziecko iedno na śmierć zabito y zmarło, drugie popieczono, stróżów pozabiano, czeladź posieczono y postrzelano, y ze wszystkiego obnazono. Także też imci p. Konstantego Wysoczanskiego, imci p. Piotra Wysoczanskiego, braciey rodzonych, synów imci p. Marca Wysoczanskiego, których także ze wszystkiego obnazono, złupiono, złoto, srebro, pieniądze, szaty zabrano, który to Fedor Fakasz, na tym woysku y rozboiu będąc poimany, takie zeznanie uczynił:

Fedor Fakasz z Ruskiego wysz mianowany, z maietnosci ieymci paniey Humienney, zeznał, iż z Wołosatego poddani tych rozboyników nawiedli, to iest Fedynia Lachinow, Olexa Klischowicz, Ilko Lipot z Rostoki, zięć Bienkow. Tenże zeznał, iż go dopiero pierwszy raz wezwali y na ten rozboj zaciągneli; schacke mieli v Fedyni w Wołosatym; było ich dwadzieścia; pieniądze stąd wzięwszy, mieli do Fedyni w Wołosate albo do Olexy Sarchaniniego z Stuzycy zanieść; drudzy, co vszli, mając bydź we wsi Stuzycy, gdysz Stephan pop stuzycki, ten nas na rozboj wyprawował y prochu dawał, sług swoich przy nas wyprawił, Macieia Futownicy, Macieia Kalinke, na ten własny dwor ich mciow panów Wysoczanskich y inne dwory; Dmitr Seniow z Stuzycy, sołtisz stuzycki, dawał nam strzelby y wyprawował nas; Dmitr Melechukow ze Zboia kazał im na ten rozboj iść y żywności dawał y brata swego przy nas wyprawił, Olexę Melechuka; ten porozbiął wszystkie skrzynie z inszemi, pobrał złoto, srebro, rzędy, szable, kubki, łyski, konewki srebrne. Y tych, którzy z nim w rozboiu byli, te imiona powiedział: Michayło Tyrzanin, Marko Tyrzanin, ten zabity na tym rozboiu, Olexa

⁵ 19 czerwca 1648 r.

⁶ Chodzi o wdowę po Jerzym Drugim, właścicieli ok. 70 wsi w dawnym komitacie szaryskim (obecnie wschodnia Słowacja), której siedzibą było Humenne.

⁷ Bieszczad — tu: grzbiet graniczny.

Starchanin, ten postrzelony, Michał Kuszczak, Maciej Oluchow, Andrasz Kalin z Tuzyce, pop Stephan stuzycki posłał z nami dwóch sług swoich, Macieia Tutoynica, Macieia Kalinke, Olexe ze Zboia Melechukow, Fedor Rindziakow z Polany za Beszczada, Kost szoltysz z Polany, ten dawał prochu, ładownic na wyprawę, y do niego te zdobycz z tego rozboiu obiecali zaprowadzić y nagrodę mu dać; wszyscy kraynicy⁸ o tym wiedzieli, że się do tego dworu ich mciow panow Wysoczanskich zbierali y innych; Olexa Melehukow ze Zboia chodził po spisaki rozboyniki⁹ do Solinki y przywiódł ich do brata swego rodzzonego Dmitra Melenka; pop Stephan z Stuzycy y Iwan, co mu obie ręce zrosły, był w Dydowej we dworze na rozboiu, gdy dwór dydowski rozbili, dzierzawy na ten czas imci pana Wysłockiego. Tenże Fedor zeznał, że obie Stuzycy wiedzieli o nas y Ruskie y Polana, zesmy się na ten rozboj zbierali y na szatastach styzyckich, w kupie zebrawszy się, byli y żywności nam dodawali y gorzałkami poili y z domow ich wybraliśmy się na ten dwór boryński spólnie wszyscy y z [s]piskiem rozboiniki y z inszemi wyzey mianowanemi z strzelbą, prochami y z żywnością, także z świecami smolnemi; y iuz będąc pod dworem w zasadzce, ci spisacy w lesie robili świece smolane z koszul y inszych hust roznych y smoły nabrali na pieczenie ludzi dwornych. Tenże Fedor Fakosz z Ruskiego, tak dobrowolnie iako y na mękach pytany, zeznał, iż Macko Kalin, zabity na rozboiu w Boryni, ukradł był kobyłę we wsi Lutey v Birowego, stadniey ieymci paniey Humienney, y sprzedał ją Mudrykowi Dwernickiemu staremu w Vstrykach, który wiedział o tym, iż była kradziona. To iest iego zeznanie.

Confessata Michała Tyrzannicza ze wsi Stuzycy iey mosci paniey Humenney:

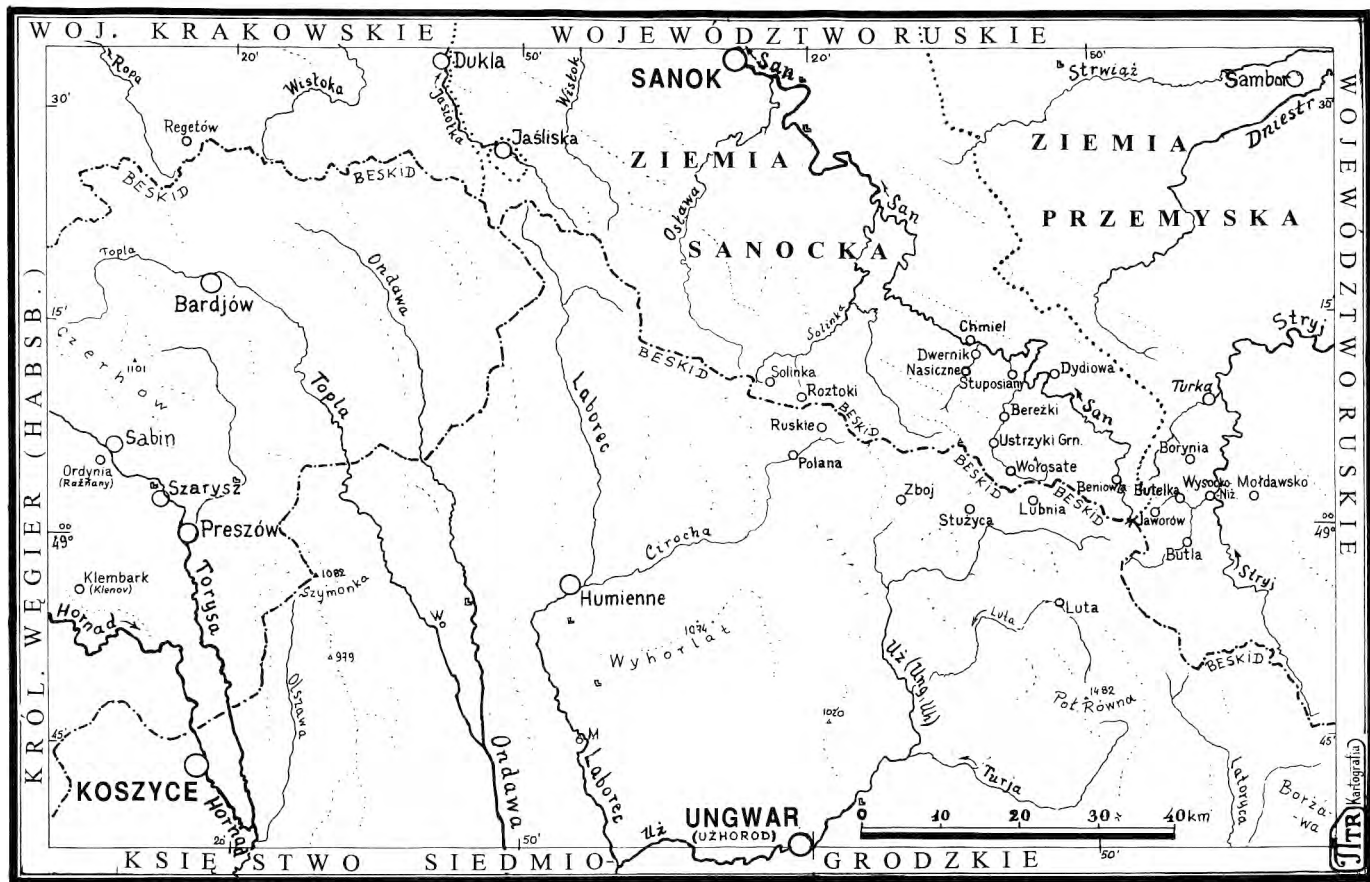
Naprzód zeznał na towarzysza swego Fedora Fakasza, iż od lat kilkunastu rozbiu, ieszcze z nieiakiem Mandzieiem, rozboynikiem z Wołowego; tenże zeznał, iż rozbili z inszemi towarzyszami swemi Dwerniczani y Nasieczani¹⁰ na Beskidzie, ktorzy szli na iarmark do Vngwaru,¹¹ pobrali v nich pieniądze, płotna y welne; tenże zeznał, że ich Iwan Telanko nawiodł y Tyrka, sąsiedzi wyprawowali nas, Olexa Kliszczowiat, Ilko Matryszow, Dmitr Seniow, kniasz y pop wyprawował nas y sług swoich y prochu nam dawał, Melehuk ze Zboia y ten nas wyprawował, Olexa Rybiey z Ruskiego, Fedor y Matwiey z Wołosatego, Fedynia Lachinow, Olexa Kryszczowicz, Ilko Liput z Rostoki, z Wołosatego Dmitr Seniow, szoltysz stuzycki kniaziewicz znali y obiedwie wsi o tym wiedzieli y prochow dawali, rusnic y żywności; tenże zeznał z ognia, iż Siwocholp wiedział o tym,

⁸ *Krajnik* — zwierzchnik kilku wsi prawa wołoskiego.

⁹ *Spisaki* — tu chodzi o „zawodowych” rozbójników, niekoniecznie rodem ze Spisza.

¹⁰ Tzn. mieszkańców wsi Nasiczne i Dwernik.

¹¹ *Ungwar* — węgierska nazwa Użhorodu.



kraynik paniey Humienney, y to zeznał, iz co zdobędziecie na tym rozboiu z mną sie podzielicie, gdy z bratem moim Markiem, ktorego na tym rozboiu zabito przewodnią trzymał; Fedor Fakasz był v imci p. Wisłockiego w Dydowey na rozboiu dworu; znali Klisczowięta z Lubienie y wszytka Lubnia, kiedysmy sie zbierali; Ostasz Spiernicz z Beniowych, ktory teraz w Stuzycy mieszka, był na tym rozboiu; Wasil Balwierowicz z Bereszka radził im tu pusc, na ten rozboy do Borynie, a mianowicie temu Markowi zabitemu, popiwszy sie na gorzałce v Pawła Ostaszowego, sołtysza stuzyckiego, pił y po insze czasy, y pop przy tym był stuzyczny y radził; tenze Wasil Balwierowicz z Bereszku przewodnią trzymał z Markiem rozboynikiem, ktorego zabito, Mudryk z Vstrzyk pił z nimi y rzeczy te reuidował, kiedy sie co trafiło zdobycznego albo kradzionego; Fedor Fakasz przywiódł spisaki, to iest Tomasza z Ordyni,¹² Jacka popowicza Drochowskiego z Ordiny, Andrasza Zywcza, Koguta Małego z Rechetowa, Petra z Klembarku, Sawke z Klembarku, Michała Nosalia, ktory nad niemi starszy był, takze Stuzyczan y wszytkich, ktorzy na tym rozboiu v imci p. Marka Wysoczanskiego y imci p. Swaryczowskiego, zięcia imci, powołał był, naprzód Marko Tyrzanin, Olexa Surkanin, Michał Rusczyń, Maciey Oluchow, Andrasz Kalin, pop komornikow swych wyprawował Macieia Futynicza, Macieia Kalinke, Fedor Rynciadow z Polany, Kosc sołtysz; ten dwor rozbiwszy, mieliśmy pusc do Chmiela na pana Dubrawskiego, ktorych prowadził Olexa Klisczowięta, iesli by byli w Boryni nie dostali; to na stuposiarski dwor mieli vderzyc y dostawac, a to wszytko Wołosacci nawodzq. To jest zeznanie Michała Findzanica.

Confessata Thomasza Szandry ze wsi Ordiny, maietnosci imci pana Wielopolskiego:

Naprzod zeznał, iz rozbili furmanow nizey Jaslisk, zabrali v nich pieniądze, ktorych bylo siedm, Jacko popowicz Darkowski z Ordiny, Andrasz Zywcza z Ordiny, Kogut Mały z Rechetowa, Piotr z Klembarku, Michał Nosal z Klembarku, poddani imci p. Tartła; tenze Tomasz zeznał, iz chodzili po nich do wsi Solinki Fedor Fakasz z Ruskiego, Olexa Melehukow ze Zboia, Fedynia Łokinow z Wołosatego, Ilko Lipot z Rostoki y namowili ich na ten dwor boryński, a potem mieli na rozne dwory vderzyc; zeznał, iz ich namawiali y chodzili z niemi na ten rozboy Marko Tyrzanin, ktorego na tym rozboiu zabito, Michayło Tyrzanin z Tuzyce, Olexa Surchanicz, Michał Husczyń, Maciey Oluchow, Andrasz Kalin; Stephan, pop stuzyczny, wyprawował dwoch sług, Macieia Futynicza, Macieia Kalinke, Olexa ze Zboia, Fedor Rynciachow z Polany y pop im prochu dawał, a my spisacy mieli swoy; tenze zeznał: bylismy na szafaszach stuzyckich dwa dni y tam do nas Stuzycznianie chodzili y zywnosci nam y gorzałki dawali, ztamąd

¹² Tej miejscowości nie udało się zlokalizować.

ich wyprawili z strzelbą z prochami, z świecami smolnemi, a my sobie sami świece spisacy robili; byli z nami z roznych wsi, z Beniowych, z Wołosatego, alem ich ymion y przezwoisk nie znał; y przyszedszy do dworu, rozbieli skrzynie, brali złoto, srebro, pieniądze, rzędy, puhary, kubki, konewki srebrne, y z tym pouciekali; a było nas wszystkich dwadzieścia y trzy. To jest Tomasza Szandry zeznanie z Ordinie, poddanego imci p. Wielopolskiego.

Sąd tedy zupełny żądaiąc według prawa maydeburskiego przez przysięznych wyz mianowanych, przykładając się do prawa pospolitego, to wprzod wwarzywszy, iż na gorącym prawie na tym rozboiu są poimani, y tez przykładając się do zenania ich, iż kazdy, kto rozboiem się bawi, cwiertowania zasłuży, zchyliwszy się tedy z sądem swoim, vznali bydz winnych śmierci: y tego Fedora Fakasza, iako principała na pal osądzono, Mihała Firanika y Thomasza Szandre cwiertowania.

[Podpisano:] Ianyusz Wiśłocki, Piotr Zatwarnicki, Mikołaj Borowski, Jacko Ilnicki,¹³ Fedor Krzechowski, Paweł Ilnicki, Ferenc Hnilanski, Kasper Rozborski, Andrzy Pobiedziński, Ian Skidniowski, Woyciech Konopacki, Stanisław Tyrawski, Theodor Zamoyski.

¹³ W oryginale Jacko Ilnicki podpisał się cyrylicą. Warto zwrócić uwagę na ten szczegół, charakterystyczny dla stosunków panujących w ziemi sanockiej czy przemyskiej, gdzie w jednej rodzinie szlacheckiej (tu: Ilnickich) można było spotkać prawosławnych i katolików.

MARIA MAGDALENA POKUTUJE

Niniejsza praca traktuje o rzeźbach wyobrażających „Marię Magdalenę pokutującą”. Wyobrażenia takie pojawiają się około połowy XVIII w. na licach postumentów i cokołach kamiennych figur przydrożnych na Górnjej Orawie. Prowadząc badania nad funkcjami kultowymi, okolicznościami fundacji oraz ikonografią tych znakomitych dzieł sztuki orawskiej,¹ badania dotąd na gruncie nauki polskiej osamotnione, dostrzegłem grupę przedstawień Marii Magdaleny, niewielką liczebnie, ale spójną chronologicznie i terytorialnie. We wszystkich przedstawieniach zastosowano podobny lub identyczny schemat ikonograficzny, widać ściśle zbieżności kompozycyjne. Nasuwały się wręcz pytania, jakie okoliczności wywołały powstanie tej grupy dzieł, z czyjej inicjatywy powstały, jaka myśl programowa wskazała Pokutnicę jako ilustrację postulowanej idei. Próbę odpowiedzi na te pytania przynoszą przedłożone tu rozważania. Najpierw przyjrzymy się dziełom, później skupimy uwagę na postaci Świętej w hagiografii, na koniec ocenimy funkcję omawianej sceny w warunkach orawskich połowy XVIII w.: tam będzie miejsce na rozpoznanie inwentora, osób zainteresowanych, programu.

Dzieła

W następstwie kwerendy przeprowadzonej przeze mnie na całej Orawie (po obu stronach granicy) stwierdzam istnienie sześciu XVIII-wiecznych zabytków z płaskorzeźbioną sceną pokuty Marii Magdaleny. Wszystkie są dziełem kamieniarzy z Białego Potoku na środkowej Orawie.² Najstarszy jest relief

¹ J. Pilchowa, T. M. Trajdos: Figury kamienne we wsi Lipnica Wielka na Górnjej Orawie. „*Nasza Przyszłość*” 1992, t. 78, ss. 243–290. — T. M. Trajdos: Z przeszłości Lipnicy Wielkiej. [W:] *Lipnica Wielka na Orawie*. Kraków 1993, ss. 42–46. — T. M. Trajdos: Parafia w Chyżnem w świetle najstarszych wizytacji. „*Orawa*” 1993, nr 26–30, ss. 12–13; aneks: Figury kamienne w Chyżnem, ss. 20–26.

² Z dokumentacji Galerii Orawskiej (Wyżny Kubin) wiem też, że podobna scena pojawiła się w XIX w. na figurze we wsi Biały Potok.

Płaskorzeźba św. Marii Magdaleny na cokole figury w Danielkach, fot. Tadeusz Trajdos



na licu cokołu Piety na Danielkach, nieopodal małego przysiółka należącego obecnie do wsi Podwilk.³ Od roku 1687 teren ten należał do katolickiej parafii Podwilk, choć jest przestrzennie bliższy wsi Orawka.⁴ Figurę Piety na Danielkach wystawiono 12 czerwca 1749 r., o czym świadczy inskrypcja umieszczona na tylnej ścianie cokołu: „Anno Dni 1749 Die 12 Junij”. Na niskim, czworobocznym cokole stoi polichromowana rzeźba Piety, której opis uznajemy tutaj za zbyteczny. Boczne ściany cokołu zdobią motywy *rocaillów*, kwiatów róży i wolut.⁵ Ornamentyka rokokowa towarzyszy barokowemu stylowi rzeźby, aczkolwiek w lokalnej trawestacji. Takie cechy stylowe będą mieć następne opisywane zabytki.

³ Por. H. Pieńkowska, T. Staich: *Drogami skalnej ziemi*. Kraków 1956, ss. 505–506.

⁴ *Zabytki sztuki w Polsce. Inwentarz topograficzny*. Cz. III, t. 1, z. 1, Warszawa 1938, s. 145. — *Katalog zabytków sztuki w Polsce*. T. I, z. 11, Warszawa 1951. Prace te wzmiankują wymienioną figurę przy haśle „Orawka”. Por. A. Kavuljak: *Historický miestopis Oravy*. Bratislava 1955, s. 78; Danielki były wzmiankowane od roku 1828 jako przysiółek Podwilka i znajdowały się na jego terytorium lokacyjnym.

⁵ Pieńkowska, Staich, op.cit., s. 505.

Interesującą nas scenę umieszczono na licu cokołu, w oprofilowanej, wgłębnej płycinie. Maria Magdalena klęczy, zwrócona w lewo (patrząc od strony widza), prawą rękę przyciska do piersi pokutnym gestem, w lewej, mocno odchylonej, trzyma bicz (dyscyplinę) o wielu rzemieniach. Ramię i część torsu obnażone, ciało odziane w suknię i fałdzisty płaszcz, włosy rozpuszczone. Tło postaci stanowi niebo, a jego obramienie — krystalicznie łamane skały, imitujące otwór groty. Lewą stronę kompozycji zajmuje krzyż wbity w skałę, przedmiot adoracji pokutnicy, u którego nasady spoczywają po prawej czaszka i piszczel, po lewej obłego kształtu puzdro (naczynie na wonności).

Figura na Danielkach była (jak większość orawskich) malowana, i to wielokrotnie. Nasz relief również. Zachowały się znaczne partie polichromii i na ich podstawie ekipa konserwatorska, która jesienią 1993 r. dokonała rewaloryzacji zabytku, odmalowała także omawianą płaskorzeźbę.⁶ Maria Magdalena ma jasne, „żółte” włosy, nosi czerwoną suknię, niebieski płaszcz, tło jest białoniebieskie, skały brązowe, krzyż ciemnobrązowy, kości białe, bicz czarny, puzdro zielone. Głowę świętej otacza nimb.

Poniżej płaskorzeźby, na licu plinty — podstawy cokołu, zachowała się częściowo inskrypcja dewocyjna:

*SALVATOR GENITRIXQUE / ... VOLITATVR HONORI / MAGDALIS IP
... PV ... / STI IOM ... U*

Z zachowanej części można wnioskować, że pomnik wystawiono ku czci Zbawiciela i Jego Rodzicielki, a także ku czci Marii Magdaleny. Niestety, zupełnie nieczytelne dwa ostatnie wiersze nie wyjaśniają ani intencji, ani kontekstu fundacji, a nade wszystko — nie pozwalają odtworzyć imienia fundatora. Jak się przekonamy, można do niego dotrzeć inną drogą.

Musimy teraz udać się ok. 20 km na południe, aby w mieście Twardoszyn, najstarszej osadzie Górnej Orawy, natrafić na identyczny pomnik. Jesteśmy już oczywiście po drugiej stronie granicy. Tutaj, na skraju głównej drogi — starego szlaku „krakowskiego” (do którego przyjdzie nam wrócić w dalszym dyskursie), stoi barokowa, czworoboczna kapliczka, kryta dzwonowym hełmem z banią, dziś obitym blachą, otwarta trójłuczem arkad, ze ślepą tylną ścianą. Kryje ona figurę Piety, bliźniaczkę Piety z Danielem. Na jej czwo-

⁶ Prace konserwatorskie prowadziła w 1993 r. ekipa Polskiej Izby Artystów-Konserwatorów Dziel Sztuki na zlecenie Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, na podstawie mojego wniosku jako wiceprezesa Towarzystwa Przyjaciół Orawy. Pracowali państwo Antoniakowie i państwo Tokarscy. Ta sama ekipa dokonała konserwacji omawianych niżej figur w Jabłonce i Lipnicy Wielkiej.

robocznym cokole odnajdujemy trzy płaskorzeźby ujęte w profilowane ramy: na lewej ścianie — św. Michała Archanioła, na prawej — św. Jana Nepomucena, a na licu — pokutującą Marię Magdalenę. Nie tylko usytuowanie, ale także kompozycja, m.in. kształt profilowanych ram, oraz detale ikonograficzne sprawiają, iż ta ostatnia scena jest bliźniaczką sceny z Danielek. To samo ułożenie postaci Marii Magdaleny, te same gesty, podobne fałdowanie płaszcza, te same i tak samo rozmieszczone atrybuty.



Płaskorzeźba św. Marii Magdaleny na cokole figury Piety w Twardoszynie, fot. W. Pilarczyk

Pieta twardoszyńska także została niedawno odmalowana, ale inaczej. Tylko niebieskie tło jest identyczne. Maria Magdalena jest tu natomiast brunetką, została odziana w szary, „pokutny” płaszcz, a bicz w jej ręce jest popielaty. Skały wymalowano na zielono, w związku z czym puzdro, również zielone, jest prawie niezauważalne. Kontrastują tylko biała czaszka i czarny krzyż. Wokół sceny rozmieszczono bogatszy niż w Danielkach ornament, przetwarzający na ludowo motywy regencyjne i rokokowe. Widzimy wolutowo gięte cęgi, liściastą wic o płomienistych jęzorach, czerwone kwiatki i zielone *campanule* (dzwoneczki), na koniec szkarłatny „koguci grzebień”.

Figurę twardoszyńską postawiono dokładnie dwa miesiące po figurze z Danielek. Pokazuje to inskrypcja pod reliefem Marii Magdaleny:

a więc 12 sierpnia 1749 r. Mylili się badacze słowaccy, określając czas jej powstania na 1748 r.⁷

Kolejne przedstawienie pochodzi z 1752 r., powstało w Jabłonce, po naszej stronie granicy, przy tym samym trakcie, na rozstaju dróg z Jabłonki do Orawki i Zubrzyicy.⁸ Ze wszystkich tu omawianych ma charakter kompozycyjnie najbardziej odrębny, choć ikonograficznie zbieżny. Latem tego roku figura została przez już wymienioną ekipę (por. przyp. 6) poddana fachowej konserwacji i przedstawiona w miejsce bliskie jej historycznego przeznaczenia, a zapewniające stabilne przetrwanie.



Płaskorzeźba św. Marii Magdaleny na postumencie figury św. Jana Nepomucena w Jabłonce, fot. T. M. Trajdos

Jest to wysoki, czworoboczny postument z obfitym zdobieniem barokowym na bocznych ścianach (woluty, wypukłorzeźbione girlandy liściasto-kwiatowe i główki puttów). Na jego tylnej ścianie, we wgłębnej płycinie mieści się płaskorzeźba św. Rozalii, na frontowej — w takiż sposób umieszczony wizerunek św. Marii Magdaleny. Na czworobocznym cokole ścianę frontową wypełniało dziś już zniszczone płaskorzeźbione wyobrażenie św. Jana Ewangelisty na Patmos,⁹ a ścianę tylną — scena św. Jana Chrzciciela na pustyni, dobrze zachowana. Całość kompozycji pomnika wieńczy figura św. Jana Nepomucena, ukształtowana według typowego

szyblonu ikonograficznego. U jego stóp, wokół plinty spoczywającej na gzymśie postumentu, umieszczono skrzydlate główki puttów. Charakterystyczna dla tego zabytku jest wyrazista komponenta stylu barokowego bez prowincjo-

⁷ J. Svobodová, J. Langer: Oravské kamenné reliëfy. „Slovenský národopis” 1970, t. XVIII, nr 2, s. 317. Zasugerowałem się niestety ich datowaniem w pracy o kamiennych figurach Lipnicy Wielkiej (por. przyp. 1).

⁸ Zabytki sztuki w Polsce, op.cit., s. 71. — Katalog zabytków sztuki w Polsce, op.cit., s. 9. — J. Pietażek: Sztuka i zabytki naszej Orawy. „Ziemia” 1931, t. XVI, nr 8-10, s. 168.

⁹ Pieńkowska, Staich, op.cit., s. 490.

nalnej wulgaryzacji oraz wybitne mistrzostwo twórcy głównej figury — Jana Nepomucena.¹⁰

Postać Marii Magdaleny ukazano tutaj w pozycji stojącej, frontalnie do widza. Prawą ręką pokutnie dotyka piersi, lewą trzyma puszkę z wonnościami (kulistego kształtu, z kopulastą pokrywką, na tralkowym trzonie i okrągłej stopie). Tłem dolnej części kompozycji jest ziemia (skała?), górnej — niebo, zresztą postać wypełnia większość pola kompozycyjnego. Ostatnia konserwacja pozwoliła, na podstawie zachowanych fragmentów, przywrócić wiedzę o polichromii. Płaszcz świętej jest czerwono-brunatny, suknia (zapięta pod szyją) — niebieska, puszka — zielona, „grunt” — brązowy, wyżej — niebieska „otchłań”. Rozpuszczone włosy mają brązowy odcień, a więc tu pokutnicę uważano za szatynkę. Głowę otacza żółty nimb.

Cechy stylistyczne tego przedstawienia jednoznacznie wskazują na innego rzeźbiarza niż na Danielkach i w Twardoszynie. Miał on też inne wzory kanonu postaci, do szczegółów czysto formalnych jeszcze wrócimy. Są wreszcie różnice w schemacie ikonograficznym. Nie ma tu sceny modlitwy na klęczkach przed krzyżem, jedynym atrybutem odrzuconych „marność świata” jest puszka z olejkami, a cała postać Marii Magdaleny zyskała formę mniej ascetyczną, mniej surową, a bardziej elegijną.

Chronologiczną atrybucję tego pomnika pozwala nam przeprowadzić zachowana inskrypcja ulokowana poniżej płaskorzeźby Jana Chrzciciela na tylnej ścianie cokołu:

ANNO DNI 1752 / MENSE 20 OCTOBRIS

A więc dzieło wykonano 20 października 1752 r.¹¹ Zachowały się inskrypcje z datami kolejnych renowacji zabytku, sprowadzających się najczęściej do przemalowania farbą olejną: u dołu cokołu od frontu — „R.A.1977”, na prawej ścianie cokołu — „R.A.1887”, na licu dawnej podstawy (fundamentu) — „R.P.1851”, tamże — „194...”. Są też inskrypcje dewocyjne: przy reliefie św. Rozalii — „S.ROSALIA” (ponad) i „ORA PRO NOBIS” (poniżej sceny); odpowiednio przy scenie św. Marii Magdaleny: „S.MARIA MAGDALENA”, „ORA PRO NOBIS”. Jest to więc westchnienie do świętej wspomóżycielki o modlitwę za wiernych.

Przedstawienia czwarte i piąte powstały w tym samym 1758 r. W Orawce, przed znanym kościołem stoi kolumna koryncka z wieńczącą ją figurą Ma-

¹⁰ Ibidem, s. 489.

¹¹ L.c. W latach pięćdziesiątych była widoczna data miesięczna, później fatalny stan zabytków spowodował jej zatarcie i dopiero najnowsza konserwacja przywróciła czytelność całej inskrypcji.



Plaskorzeźba św. Marii Magdaleny na cokole figury Niepokalanej w Orawce, fot. Tadeusz Trajdos

rii Niepokalanej z Dzieciątkiem, stojącej na globie oplecionym przez węża. Pośrodku trzonu kolumny w płaskim reliefie ukazano skrzydlate główki puttów w glorii obłoków. Kolumnę flankują figury świętych Donata i Floriana, obrońców przed ogniem, stojące na wolutowych wspornikach. Na tylnej ścianie czworobocznego cokołu widać plaskorzeźbę św. Rozalii w płycinie wgłębnej zamkniętej półkoliście, a od frontu, w identycznych ramach — pokutującej Marii Magdaleny.¹² Wracamy tutaj w pełni do stylu zabytków Danielek i Twardoszyna. Ten sam układ kompozycyjny, ta sama ikonografia, te same cechy stylistyczne, zdradzające jeśli nie rękę samego mistrza wspomnianych dzieł, to na pewno jego bliskiego ucznia. Wymieńmy tylko pobieżnie: modlitewna adoracja krzyża na klęczkach, pokutny gest i odchyłona lewa dłoń z biczem, symetryczne ułożenie czaszki i puzdra z wonnościami u stóp krzyża, krystalicznie łamane skały jako obramienie kompozycji, podobne drapowanie szaty. Rozpuszczone włosy rzeźbiarz próbował ułożyć wręcz naśladowczo. Są tylko drobne różnice, np. głowę świętej otacza nie nimb, tylko promieni-

¹² Pienkowska, Staich, op.cit., s. 504.

sta aureola. Mamy tu bez wątpienia serię warsztatową i autorską: Danielki (1749) – Twardoszyn (1749) – Orawka (1758).

W chronologię wprowadza nas inskrypcja na bazie kolumny: „ANNO DNI 1758”. Nad Marią Magdaleną widnieje napis: „S.MARIA MAGDALENA”, a niżej, prawie nieczytelnie: „ZDA...SPP...”. Na tylnej ścianie cokołu: „S.ROSALIA V.”. Pomnik ma zupełnie zniszczoną polichromię i bez wątpienia wymaga konserwacji.

W tymże 1758 r. wystawiono w Namiestowie, po drugiej stronie obecnej granicy, inny pomnik ku czci Marii Niepokalanej. Figura stoi przed kościołem, na czworobocznym, smukłym postumencie. Zdobiona jest tylko ściana licowa. U góry słupa, pod gzymssem, widnieją główki puttów w oprawie wici rocaillowej, poniżej płaski relief dużej *campanuli*, echo stylu regencji. Pośrodku — wnęka na „wieczną lampkę”, rodzaj *sacramentarium* z okrągłym wykrojem zamykanym na drzwiczki z szybką. Poniżej wreszcie wykonano płaskorzeźbę pokutującej Marii Magdaleny, a jeszcze niżej, na licu cokołu — płaskorzeźbę św. Floriana klęczącego z chorągwią nad płonącym domem. Cały pomnik jest białony, nie ma śladu polichromii.



Płaskorzeźba św. Marii Magdaleny na postumencie figury Niepokalanej w Namiestowie, fot. T. M. Trajdos

W namiestowskiej płaskorzeźbie mamy do czynienia z nowym artystą, inaczej komponującym sceny oraz inaczej formującym kamień, ale obeznanym z ikonografią już stosowaną na Górnjej Orawie. Marię Magdalenę umieszczono w skalnej pieczarze, dość głęboko wykutej w licu słupa, spiczasto sklepionej, złożonej z grubych, kryształicznie łamanych bloków. Artysta odwołuje się do wzoru z Danielki, ale po swojemu, zupełnie inaczej układa skalne tło. Masywna, jakby obrzmiała postać pokutnicy także klęczy, ale *en face*, twarzą do wiernych, obydwie duże dłonie ma skrzyżowane na piersi, spowita jest w ciężki, sfaldowany płaszcz. Atrybuty wypełniają resztę „przestrzeni” pieczary, ale są luźniej psycholo-

gicznie powiązane z pokutującą orantką. Bicz jakby zawisł po prawej stronie u dołu, na tle fałdów szaty, ponad nim „unosí się” czaszka, a jeszcze wyżej skośnie wetknięty krzyż sprawia wrażenie, jakby wyrastał z ramienia świętej. Artysta zatrudniony w Namíestowie reprezentował o wiele słabsze umiejętności kompozycyjne i nie miał takich zdolności czysto plastycznych jak jego kolega z Danielek, Twardoszyna i Orawki. Przewyższał go też niewątpliwie rzeźbiarz z Jabłonki.

Na tylnej ścianie cokołu pomnika widnieje inskrypcja:

SC ARD / IB PNC / Anno d. (1)758 / Die 14 / July

Na razie powstrzymamy się od rozszyfrowywania tych inicjałów i skrótów. Skonstatujmy tylko datę wykonania: 14 lipca 1758 r.

Ostatni zabytek znajduje się w Lipnicy Wielkiej, na rozdrożu dróg do Rabczyc, Lipnicy Małej, Jabłonki i na Żywiecczyznę, pośrodku wsi. Był przedmiotem szczegółowych studiów (por. przyp. 1), toteż ograniczę się do przypomnienia uzyskanych wyników, które pogłębiono podczas prowadzonych latem tego roku, wzmiankowanych już prac konserwatorskich. Katalogowy opis zabytku umieściłem w pracy drukowanej w „Naszej Przyszłości”.¹³

Pomnik jest dwuczęściowy w sensie programowym i chronologicznym. Część dolna — czworoboczny słup — powstała w 1761 r. i jest poświęcona kultowi św. Jakuba Większego, apostoła, patrona kupców i pielgrzymów. Jego postać w płaskorzeźbie widnieje na froncie postumentu, po bokach — w identycznych płytkich niszach — przedstawiono płaskorzeźbione postacie dwóch Ewangelistów: Łukasza i Marka. Z tyłu znajduje się płaskorzeźba naszej bohaterki — pokutującej Marii Magdaleny. Inskrypcja dewocyjna na licu cokołu zawiera chronostych z datą 1761 i powiadomienia o czci fundatora dla Jakuba Apostoła. Natomiast inskrypcja na tylnej ścianie cokołu podaje:

*CURAVIT Par Oc / hus LOCI CUM IACO / bO Lihosith / Die 25 7-bris
1761 / Erecta*

Oznacza to, że pomnik ufundowali 25 września 1761 r. miejscowy pleban (był nim wówczas ks. Ignacy Wilczek)¹⁴ oraz gospodarz Jakub Lichosyt, posiadacz roli, na której figura stała.

Figura wieńcząca — św. Jana Nepomucena — została przeniesiona tu na początku naszego stulecia z pobliskiego miejsca z powodu ożenku i przeprowadzki jej opiekuna — gospodarza z rodu Lichosytów-Adamczyków; wykonano ją w 1780 r. Tegoroczna konserwacja pozwoliła odczytać tę datę,

¹³ Pilchowa, Trajdos, Figury kamienne..., op.cit., ss. 250–251.

¹⁴ Trajdos, Z przeszłości Lipnicy Wielkiej, op.cit., ss. 32, 44.

a także fragment inskrypcji wzywający świętego do obrony wiernych przed żywiołem wody, przed groźbą powodzi.

Jak wygląda scena Marii Magdaleny na tym zabytku? Jest to ostatnie dzieło oparte na pomyśle kompozycyjnym oraz ikonograficznym z Danielek, ale z modyfikacjami. Podczas gdy płaskorzeźby z Danielek, Twardoszyna i Orawki są dziełem jednej ręki i różnią się w znikomym stopniu, naśladowca „mistrza” pracujący w Lipnicy Wielkiej, być może też jego uczeń, pozwolił sobie na pewne zmiany. Zachował schemat postaci klęczącej, zwróconej w lewo, bijącej się pokutnie w pierś i trzymającej w lewej, odchylonej dłoni bicz. Bliższe pierwowzoru jest też ułożenie szat, rozpuszczone włosy, półobnażona postać oraz jej obramienie w postaci otworu groty skalnej złożonej z krystalicznie łamanych, dość grubych bloków. Inaczej natomiast rzeźbiarz rozmieścił atrybuty. Krzyż, drobnych rozmiarów, znalazł się na wysokości głowy świętej, po lewej stronie, wbity w skalny głąz. Czaszka — pod jej prawym łokciem, znacznie poniżej krzyża. Puszka z wonnościami, w kształcie podobna do naczynia ze sceny w Jabłonce, zawędrowała w prawy górny róg, ponad ramię pokutnicy. Widać nieporadność kompozycyjną, układ atrybutów jest chaotyczny, w zupełnym przeciwieństwie do logicznej budowy wzoru z Danielek. Twórca sceny lipnickiej różnił się też sposobem rzeźbienia postaci i twarzy. Był warsztatowo lepszy od autora pracy w Namiestowie, ale poziomu artystycznego Danielek i Twardoszyna nie osiągnął. Tu także polichromia jest tak zniszczona, że o pierwotnym malowaniu nic pewnego rzec nie można.

Wszystkie omówione tu zabytki są wytworami stylu barokowego, choć ich twórcy reprezentowali różny poziom talentu, umiejętności i doświadczenia. Wszystkie pochodzą z warsztatów Białego Potoku, wyspecjalizowanych od II ćwierci XVIII w. w wyrobie figur i krzyży przydrożnych.¹⁵ Badacze



Płaskorzeźba św. Marii Magdaleny na postumencie figury św. Jana Nepomucena w Lipnicy Wielkiej, fot. T. M. Trajdos

¹⁵ Svobodová, Langer, op.cit., s. 315. — U. Janicka-Krzywdą: *Kapliczki i krzyże przydrożne polskiego Podkarpacia*. Warszawa 1991, s. 36–37. — A. Pranda: *Kamenárstvo na Slo-*

słowaccy próbowali wyodrębnić pewne „szkoły” albo „tendencje” tej rzeźby, ułożone chronologicznie i pozwalające w ich opinii na stworzenie typologii formy rzeźbiarskiej.¹⁶ Według tej koncepcji interesujący nas okres twórczości — od 1749 do 1762 r. — odznaczałby się: redukcją przestrzeni kompozycyjnej, twardym obrysem, obłością postaci i przedmiotów, dążeniem do realistycznego rysunku. Niektóre z tych spostrzeżeń są słuszne, jednak z tak schematycznie przeprowadzoną klasyfikacją zgodzić się niepodobna. W istocie w każdym z okresów pracy kamieniarzy białopotockich różnicowanie stylów autorskich, manier warsztatowych, a także poziomów uzdolnień i wiedzy fachowej było na tyle znaczne, że w podobnym czasie napotykamy bardzo odmienne realizacje. W XVIII w. spajał je tylko podziw dla „wielkiego” baryoku, a od połowy stulecia — dla wdzięku i malowniczości rokoka; łączyła też inwencja teologiczna i pastoralna misjonarzy — polskiego kleru zakonnego i diecezjalnego. Decydowała artystyczna indywidualność najlepszych mistrzów Białego Potoku — na ich pracach chętnie wzorowali się nie tylko uczniowie, ale i późniejsi rzeźbiarze z innych warsztatów (które na ogół były rodzinne i dziedziczne). Zresztą takiego naśladownictwa musieli sobie nieraz życzyć sami zleceńodawcy.

Właściwym przykładem jest grupa wyobrażeń pokuty Marii Magdaleny. W specjalnych okolicznościach, którymi się dalej zajmiemy, zjawiał się mistrz-kamieniarz, któremu zlecono wykonanie precyzyjnie obmyślonego wzoru, oczywiście opartego na gruncie ikonografii powszechnej wówczas w katolickiej Europie. Ten wzór, stosowany masowo w sztuce łacińskiej Europy od XVI w., przewidywał wyobrażenie Marii Magdaleny jako półobnażonej pokutnicy zatopionej w ascetycznych rozmyślaniach lub modlitwie w skalnej pieczarze. Towarzyszyły jej stosowne atrybuty: krucyfiks, czaszka, puzdro z wonnościami, bicz.¹⁷ Mistrz białopotocki ujął te szczegóły w swoisty sposób, ułożył kompozycję bardzo zrównoważoną, której dominantą jest ekspiacyjna modlitwa pustelnicy przed krzyżem. Starał się rozłokować atrybuty czytelnie i zrozumiale, w taki sposób, aby była w pełni dostrzegalna ich przestrzenna i duchowa relacja z osobą Magdaleny. Posługiwał się formą oszczędną, suchą, w istocie dość płaską, ale z umiejętnością niuansowania sfałdowań szat.

vensku. „*Vlastivedný časopis*” 1981, R. XXX, nr 4, s. 166. — E. Kušnierová: L'udové kamenné plastiky na Orave. „*Krasy Slovenska*” 1978, nr 3, ss. 118–119. — J. Langer: Oravské kamenárstvo. „*Vlastivedný časopis*” 1963, R. XIV, nr. 2, s. 88.

¹⁶ Svobodová, Langer, op.cit., ss. 319–320.

¹⁷ K. Künstle: *Ikongraphie der christlichen Kunst*. Freiburg im Breisgau 1926, t. II, ss. 427–428. — J. Braun: *Tracht und Attribute der Heiligen in der deutschen Kunst*. Stuttgart 1943, ss. 497, 499.

Usiłował połączyć scenę modlitwy zwróconej do krzyża z „portretową” prezentacją świętej. Na skutek tego zabiegu pozycja figury nie jest naturalna, ale symetria i harmonia całej konstrukcji — dobrze zachowana. O realizmie można tu mówić w dużym cudzysłowie — chodzi o ilustrację pewnej idei i wyznanie wiary, a nie „obrazek rodzajowy”. Wszystko podlega dyktatowi treści, nie ma żadnych „obserwacji plenerowych”, najmniejszego śladu wzruszeń pejzażowych czy radości zetknięcia z ulubionym przez artystę przedmiotem. Jest to rzeczywiście sztuka wymiaru sakralnego, choć stylistycznie często nieporadna, pełna uproszczeń i niezgrabności.¹⁸

Wspomniany mistrz z całą pewnością osobiście wykonał prace na Daniolkach i w Twardoszynie w 1749 r. Obie prace dzieliły jednak tylko dwa miesiące. Uważam, że jest on też twórcą pracy w Orawce z 1758 r., choć dopuszczam możliwość wykorzystania jego kongenialnego ucznia. Realizacja w Orawce ma jednak z formalnego punktu widzenia wszelkie cechy powtórzenia wzoru. Na niej kończą się prace tego mistrza i jego warsztatu.

Ich echem jest praca w Lipnicy Wielkiej z 1761 r., dzieło naśladowcy, słabszego pod względem technicznym i artystycznym. Zachowuje on formułę płaszczyznowej kompozycji, ostrych cięć dłuta, suchego kanonu postaci, stosuje tylko chyba bardziej „redukcyjny” rysunek detalu. Natomiast zupełnie upadają walory kompozycji pierwowzoru. Atrybuty w głupkowaty sposób wirują w obrębie pola niszy, rzeźbiarz nie umie sobie poradzić z ich sensownym ułożeniem, rwie się kontakt pokutnicy z przedmiotami, które symbolizują jej wybór. Porażka artystyczna jest rażąca.

Wszystkie te wady obciążają jeszcze mocniej twórcę sceny w Namieście z 1758 r. Tu mamy do czynienia z innym w ogóle stylem warsztatowym. Obrzmiała twarz, blokowa, ociężała figura, inny kanon rysów fizjonomicznych, przy silniejszej plastyczności, a raczej bryłowatości przedmiotów. Umiejętność komponowania całości jest mizerna, a brak troski o zrozumiałe powiązanie atrybutów z postacią — uderzający. Oczywiście to nie zła wola, to po prostu niski poziom wykonawczy.

O wiele szlachetniejsze dłuto ma indywidualista — mistrz pomnika w Jabłonce (1752). Cechy jego dzieła to poprawne, nie pozbawione wdzięku proporcje postaci, miękkie, soczyste modelowanie draperii, zupełna redukcja akcesoriów, eliminacja „skalnych” kulisów, jednoplanowość kompozycji, która jest konsekwentna, harmonijna i sugestywna. Artysta ten dobrze też radzi sobie z fizjonomią — rzeźbi pulchne, szerokie „buzie” o regularnych acz pospolitych rysach. Wbrew zdaniu Pieńkowskiej i Staicha, którzy wi-

¹⁸ Por. Kušnierová, op.cit., s. 119.

dzieli w tym pomniku wspólne dzieło świetnego mistrza (figura Jana Nepomucena) i słabszych artystycznie uczniów (reliefy),¹⁹ uważam, że całość rzeźbiarska jest wytworem jednej ręki mistrzowskiej (oczywiście z udziałem pomocników) i reprezentuje kunszt godny podziwu.

Zestawmy nasze spostrzeżenia. Przy sześciu omawianych zabytkach pracowały trzy warsztaty. Jeden, „wzornikowy”, wykonał dzieła w Danielkach (1749), Twardoszynie (1749) i Orawce (1758), a jego naśladowca — dzieło w Lipnicy Wielkiej (1761). Z drugiego warsztatu pochodzi pomnik w Jabłonce (1752), a z trzeciego, najslabszego artystycznie — rzeźba w Namiestowie (1758). Duch ożywiał ich jednak wspólny. Jaki? Poczytajmy dalej.

Postać

Ewangelista Mateusz wspomina o „niewieście” (nie podając jej imienia), która w czasie uczty w Betanii, w domu trędowatego Szymona, podeszła do Chrystusa i w hołdzie namaściła kosztownym olejkiem jego włosy, czerpiąc wonności z alabastrowego słoika (Mt. 26,7). Chrystus pochwalił jej uczynek, mówiąc, że przygotowała w ten sposób jego ciało do pogrzebu. W dalszym ciągu „niewiasta” znika z opowieści. Dopiero po Ukrzyżowaniu dowiadujemy się, że między kobietami, które szły za Chrystusem z Galilei do Jerozolimy, była Maria Magdalena i że uczestniczyła ona w Złożeniu do Grobu (Mt. 27,56 i 61). Była też pierwszym świadkiem Zmartwychwstania (wraz z „drugą” Marią): to im Anioł siedzący przy otwartym Grobie Pańskim obwieścił ów cud. Otrzymały od niego polecenie, by wieść zanieść Apostołom i uczniom. Po drodze objawia im się Zmartwychwstały, prosząc o to samo (Mt. 28). Tyle mówi o naszej „niewieście” najbardziej lakoniczna z Ewangelii.

Ewangelista Marek przytacza identycznie epizod w Betanii (Mk. 14,3), podobnie obecność podczas Złożenia do Grobu (Mk. 15,47). Szerzej opisuje spotkanie Trzech Marii u Grobu z Aniołem po Zmartwychwstaniu (Mk. 16,1-8). Mocniej podkreśla, że to Marii Magdalenie jako pierwszej pokazał się Chrystus po Zmartwychwstaniu, a także przypomina, że ongiś wygnał z niej „siedmiu diabłów”, a więc uzdrowił jej duszę (Mk. 16,9).

Ewangelista Łukasz inaczej wprowadza tę postać do dziejów Zbawienia. „Niewiasta” (wciąż bez imienia), jawnogrzesznica, dowiedziała się, że Chrystus zjawił się w mieście Naim i został zaproszony do domu faryzeusza. Upadła więc do Jego nóg, jej łzy zrosiły stopy Zbawiciela, włosami je obtarła i namaściła wonnościami z alabastrowego naczynia. Faryzeusz Szymon, gospodarz, wyraził oburzenie, że Mistrz pozwala, by ładacznica obmywała mu

¹⁹ Pieńkowska, Staich, op.cit., s. 489.

nogi. Chrystus odpowiedział przypowieścią i wyrzekł słynne słowa: „...odpuszczono jej wiele grzechów, gdyż wiele umiłowała... Odpuszczone są grzechy twoje... Wiara twoja ciebie zbawiła” (Łk. 7,36-50). Imię zjawia się w następnym rozdziale: Łukasz pisze, że Chrystus wypędzał z niewiast złe duchy, m.in. siedem diabłów z Marii Magdaleny (Łk. 8,2). Natomiast bardzo ubogo zaznacza jej rolę w okresie Męki i Zmartwychwstania: wymienia ją jedynie w grupie niewiast-świadek, którym anioł u Grobu obwieścił Nowinę (Łk. 24,10).

Ewangelista Jan wprowadza epizod obrony przez Chrystusa bezimiennej jawno grzesznicy przed faryzeuszami („Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem”, J. 8,1-10). To Jan również kojarzy niewiastę, która namaściła stopy Chrystusa i obcierała je włosami, z Marią, siostrą Marty i Łazarza z Betanii (J. 11,1-2). Tym samym, to ona wsłuchuje się w nauki Zbawiciela w swoim domu („Maria lepszą część obrała”), Maria i Marta z Betanii wzywają też Pana do wskrzeszenia ich zmarłego brata Łazarza. Epizod z namaszczeniem stóp przenosi ten Ewangelista do domu rodzeństwa w Betanii, Maria jest więc w tej wersji gospodynią.

To właśnie Jan wśród świadków Męki na Krzyżu wymienia wyraźnie Marię Magdalene (J. 19,25). Ona pierwsza znajduje pusty grób i zawiadamia o tym Piotra (J. 20,1-2). Jan przedstawia też scenę objawienia się Magdalenie Chrystusa, tzw. spotkanie z Ogrodnikiem, czyli słynne „*Noli me tangere*” (Nie wolno mnie dotykać). Magdalena jest pierwszą zwiastunką Zmartwychwstania i przekazuje słowa Jezusa: „Wstępuję do Ojca mego... i Boga mego”.

Przekaz Ewangelii odnośnie Marii Magdaleny rodził pewien niepokój. Czy grzesznica z domu faryzeusza to Maria Magdalena, z której Pan wygnał siedmiu diabłów? I czy z kolei można ją utożsamiać z bogobojną i spragnioną Słowa Marią z Betanii, siostrą Marty i Łazarza?²⁰ Za bezsporną uważano natomiast jej obecność w chwili Ukrzyżowania, Złożenia do Grobu i jako świadka Zmartwychwstania.²¹

W teologii bizantyńskiej bardzo silnie podtrzymywano odrębność Marii z Betanii i Marii Magdaleny, nawróconej jawno grzesznicy i wiernej służki Zbawiciela.²² Natomiast w Europie katolickiej, i to już od wczesnego średniowiecza, przeważała dążność do syntezy tych postaci. Łączy je św. Augustyn, wprowadza do sztuki i liturgii papież św. Grzegorz (VI w.). Kult

²⁰ L. Réau: *Iconographie de l'art chrétien*. V. II, p. II, Paris 1957, ss. 326–329.

²¹ Ibidem, ss. 556–559. — Braun, op.cit., s. 496. — U. Janicka-Krzywda: *Arybut – patron – symbol*. Kraków 1988, ss. 52–53.

²² Künstle, op.cit., s. 426.

Marii Magdaleny narasta od czasów karolińskich, od przełomu VIII i IX w.; w X w. znane są jej relikwie, a w XIII w. pod wpływem *Złotej Legendy* Jakuba de Varagine cieszy się powszechną czcią w Prowansji.²³ Już Hraban Maur napisał jej żywot po łacinie (IX w.),²⁴ ale dopiero *Złota Legenda* dokonała pełnego scalenia wątków ewangelicznych i legendarnych w jeden schemat hagiograficzny.²⁵

Bohaterka opowieści Jakuba jest „właścicielką grodu Magdala”, bogaczką, siostrą Marty i Łazarza, kobietą krwi królewskiej. Oddaje się rozpucie, trwoni czas na uciechach światowych. Nawrócenie następuje na uczcie u Szymona, u stóp Chrystusa, przy wtórce szłochu nad własnymi grzechami. Po namaszczeniu nóg Zbawiciela, mimo złorzeczeń faryzeusza, Magdalena otrzymuje rozgrzeszenie, zostaje uwolniona od „siedmiu diabłów” i uczestniczy w misji Odkupienia jako szafarka i gospodyni Chrystusa. Na jej prośbę wskrzesił Chrystus jej brata Łazarza, a siostrę Martę wybawił od krwotoku. Podczas Męki stała pod Krzyżem na Golgocie, namaściła Ciało zdjęte z Krzyża, asystowała przy złożeniu do Grobu. Jej pierwszej ukazał się też Zmartwychwstały.

Złota Legenda ukazuje również dalsze, heroiczne dzieje świętej. W 14 lat po Wniebowstąpieniu Żydzi wrzucili jakoby na statek pozbawiony żagli i steru Marię Magdalенę, Martę i Łazarza oraz uczniów Chrystusa — św. Maksymina i św. Cedroniusza. Opatrzność czuwała i statek dobił do brzegu Prowansji w Marsylii. Tu dzięki cudom, wytrwałości i żarliwości Maria Magdalena nawróciła miejscowego władcę, stłumiła pogańskie wierzenia i zburzyła „świątynie bożków”. Jej brat Łazarz został pierwszym biskupem Marsylii, a św. Maksymin — biskupem miasta Aix-en-Provence. W pobliżu tego ostatniego miasta, w dzikiej okolicy, w pustelni urządzonej w skalnej grocie Magdalena przebywała przez trzydzieści lat w dobrowolnej, krańcowej ascezie.²⁶ Żyła tylko wodą i korzonkami lub też obywała się w ogóle bez pokarmu,²⁷ unoszona przez anioły, słuchając chórów niebieskich. Była to świadoma pokuta za grzechy młodości popełnione przed nawróceniem w Betanii, za rozpustę i zachłanność, jakiej się dopuszczała, zanim poszła śladem Chrystusa. Zmarła Magdalena w katedrze w Aix, przed ołtarzem, w obecności św. Ma-

²³ Ibidem, s. 427. — *Lexikon der christlichen Ikonographie*. T. VII, Herder 1974, s. 517.

²⁴ Braun, op.cit., s. 496.

²⁵ Jakub de Varagine: *Złota Legenda*. Warszawa 1955, ss. 329–338.

²⁶ *Lexikon...*, op.cit., s. 517. Grota owa zwąta się St. Baume (*balma* znaczy właśnie „jaskinia skalna”).

²⁷ Piotr Skarga (*Żywoty świętych Starego i Nowego Zakonu*, T. III, Kraków 1935, ss. 138–147) bazuje na *Złotej Legendzie*, ale ją gdzieniegdzie łagodzi (np. na s. 147).

ksymina, dokąd miały ją przenieść anioły, i wedle tradycji prowansalskiej tam została pochowana.

Scena, którą się zajmujemy, ukazuje ostatni okres życia Marii Magdaleny w oparciu o średniowieczną legendę hagiograficzną. Wystawia surową pokutę, pustelnicze umartwienie, zaparcie się świata. Ilustruje ówczesne przekonanie, że wielki grzech, choć odpuszczony przez Zbawiciela, wymaga srogiej ekspiacji. I nigdy nie należy jej skąpić.

W średniowieczu świętą przedstawiano najczęściej pod postacią wytwornej damy z puszką na wonności jako symbolem nawrócenia (nawiązanie do epizodu u Szymona faryzeusza), albo pod Krzyżem Golgoty w grupie Ukrzyżowania,²⁸ w grupie Trzech Marii u Grobu (tzw. *Custodia* lub *Trimorphen*), od XIV w. także w cyklach narracyjnych, inspirowanych już przez *Złotą Legendę*. Jednak samodzielne przedstawienie pokutnicy cierpiącej za grzechy upowszechnia się dopiero w XVI w. i jest popularne przez cały okres nowożytny, szczególnie w dobie baroku.²⁹ Wszystko ma w nim uzmysławiać kontrast przeszłości (upadek) i przyszłości (nadzieja nieba). Półobnażona kobieta, często w łachmanach albo we włosienicy, klęczy w pieczarze i wpatruje się w krzyż. Czaszka na ziemi jest symbolem marności świata, przemijania i ułomności ludzkiej natury, naczynie z wonnościami oznacza tu przede wszystkim zaniechane rozkosze nierządnic, choć przypomina też moment nawrócenia. W sztuce europejskiej stosunkowo rzadki jest motyw bicia, nieodłączny w scenach orawskich. Symbolizuje on cierpienia pokutne i umartwienie ciała.

W takim właśnie wyobrażeniu Maria Magdalena stała się patronką pokutujących kobiet upadłych (w XIII–XVI w. istniał nawet zakon magdalenek z nich rekrutowany).³⁰ Do jej orędownictwa odwoływali się ludzie specyficznych rzemiosł: wytwórcy perfum, grzebieni, perukarze i fryzjerzy (z uwagi na epizod z obcieraniem nóg Chrystusa włosami w Betanii), handlarze wina i ogrodnicy (spotkanie z Chrystusem po Zmartwychwstaniu w ogrodzie), a także studenci i uczniowie.³¹ Funkcja kultowa Magdaleny była jednak nieporównanie szersza: dawała ona przykład krańcowej pokuty, uprzedzała o skutkach ciężkich grzechów, a zarazem była wzorem bezgranicznego oddania wierze Chrystusowej.

²⁸ Znamy takie przedstawienia i w nowożytnych figurach orawskich, np. w Podwilku, albo w rokokowej formie na plebanii w Jabłonce (por. Pieńkowska, Staich, op.cit., s. 453).

²⁹ Künstle, op.cit., s. 427. — Braun, op.cit., s. 497.

³⁰ *Lexikon...*, op.cit., s. 518.

³¹ Janicka-Krzywdą, *Atrybut...*, op.cit., s. 53.

Orawska adaptacja

Zadajmy najpierw pytanie, co mogło skłonić w 1749 r. do fundowania na Górnej Orawie grupy scen ukazujących pokutę Magdaleny.

Minęło wówczas około czterdziestu lat od definitywnego pokonania luteranśkich przeciwników katolickiej społeczności polskiej na tej ziemi.³² Po stłumieniu powstania Franciszka II Rakoczego (1710) nic już nie mogło zagrozić katolikom Górnej Orawy, wspomnienie pozostało jednak żywe i świeże. Luteranie, obsadzający do ostatniej ćwierci XVII w. urzędy komitackie, reprezentowani przez szlachtę i magnatów węgierskich, popierający pastorów sprowadzanych z ziem etnicznie słowackich, byli postrzegani jako wielkie zagrożenie, a prześladowania z przyczyn religijnych wryły się mocno w świadomość chłopów Górnej Orawy. W ich obronie dzielnie i skutecznie wystąpiło od połowy XVII w. misyjne duchowieństwo polskie, pewne zresztą protekcji cesarskiej. Wielką rolę odegrała też udana mobilizacja sił osadniczych do walki z protestantami, dokonana przez sołtysie rody polskie Moniaków, Wilczków i Bukowińskich, uszlachconych w 1674 r.

Ta walka, w efekcie udana, nie obyła się jednak bez licznych strat i uszczerbków. Przeplatanka brutalnych represji oraz przywilejów dla uległych i posłusznych spowodowała, że w wielu wsiach Górnej Orawy pojawili się w XVII w. odstępcy od wiary rzymskiej. Przyjmowali luteranizm rzadko z przekonania, częściej dla świętego spokoju albo w imię interesu materialnego. Ci ludzie najczęściej już u progu XVIII w. wracali do starego wyznania. Nie musieli ich specjalnie przekonywać nasi kaznodzieje. Gołym okiem widać było, kto bierze górę. Pozostał jednak grzech odstępstwa, grzech „letniej” wiary, priorytetu doczesnego zysku nad obowiązkiem wytrwania. Uważam, że do tych właśnie ludzi adresowano sceny pokuty Marii Magdaleny. Księża żądali rachunku z apostazji, nie nadmiernie surowego, ale klarownie wywiezionego, przekreślonego skrucą, pokutą, rozgrzeszeniem.

Przyjrzyjmy się, gdzie umieszczono wizerunki świętej. W Twardoszynie przeszło sto lat rządili luteranie, którzy z początkiem XVII w. przejęli farę. Po 1648 r. pojawili się katolicy duchowni polscy, w 1672 r. odebrano kościół protestantom, ale dopiero w 1705 r. udało się ich usunąć z miasta.³³ W Namiestowie w 1612 r. założono z polecenia żupana Orawy parafię luteranśką, dopiero w 1646 r. odrodziła się tu społeczność katolicka. Do ostatniej ćwierci

³² T. M. Trajdos: *Dzieje i kultura Orawy*. Kraków 1993, ss. 29–32.

³³ Ibidem, ss. 31–32. — J. Hradzky: *Additamenta ad initia, progressus ac praesens status Capituli Scepusiensis*. Spiskie Podgrodzie 1903-04, ss. 696–697.

XVII w. wpływ luterński był przemożny, a fara miejscowa stanowiła ognisko propagandy ewangelickiej na cały obszar północno-zachodniej Orawy aż do jej przejścia przez katolików w 1672 r.³⁴ W Lipnicy Wielkiej przez sto lat (1627–1727) istniał filialny zbór luterński. W 1659 r. zanotowano 79 luteranów na 796 katolików, a więc uderzającą mniejszość, ale jednak „apostaci” istnieli; mało tego, „herezji Lutra” ulegli w tej wsi krewni sołtysa z rodu Śmietaniaków.³⁵ W kościele macierzystym dla Lipnicy — Jabłonca — luteranizm trwał od 1595 aż do 1684 r., a w 1659 r. ustalono, że we wsi mieszka 626 katolików i aż 231 luteranów.³⁶ Tutejsi pastory bardzo gorliwie krzewili wiarę luterąską.

Tylko w Orawce i na Danielkach przedstawienie Marii Magdaleny ma inny wymiar — tu, przy grobie ks. Jana Szezechowicza, mogło symbolizować triumf odniesiony dzięki ogromnemu uporowi, kosztem wyrzeczeń, i poniewierki. „Pokutnica z Prowansji” zwracała się do rzeszy wiernych, którzy doskonale wiedzieli, jak wabiono lub zmuszano do przyjęcia religii urzędowej w XVII w. oraz ile trzeba było hartu, aby nie dać się wtedy złamać.

Kto mógł przedstawienie o takim programie i takim przesłaniu zaproponować? Kto był jego inwentorem? Otóż w owej epoce na Orawie mogła to być wyłącznie osoba duchowna dysponująca odpowiednim wykształceniem teologicznym. Osoba przy tym dobrze znająca lud Górnej Orawy, jego ciężkie przejścia minionego stulecia i jego dobrze ugruntowane tradycje, religijne i narodowe, wcześniejsze niż zasiedlenie tej ziemi na przełomie XVI i XVII w.

Nasuwa się od razu przypuszczenie, że ewentualnych pomysłodawców należy szukać wśród plebanów tych miejscowości, gdzie pojawiły się pierwsze sceny pokutującej Magdaleny. I oto staje przed nami prawdopodobny twórca pomysłu, inwentor sceny-*napomnienia* dla minionych odstępców i współczesnych grzeszników. Był nim ks. Adam Wilczek, doktor św. teologii, pleban Twardoszyzna w latach 1738–1755.³⁷ To za jego rządów stanęły w 1749 r. pomniki na Danielkach i w Twardoszyźnie. Powstaje wszakże pytanie: dlaczego najpierw w odległym miejscu, na leśnej polanie, w granicach parafii Podwilk? Oto odpowiedź: Podwilk był rodzinną wsią Adama Wilczka, członka polskiego rodu sołtysiego, który za obronę wiary katolickiej dostąpił w 1674 r. nobilitacji. Adam Wilczek był więc szlachcicem węgierskim herbu

³⁴ J. Hradzky, op.cit., ss. 612–613.

³⁵ Trajdos, *Z przeszłości Lipnicy Wielkiej*, op.cit., ss. 25–26.

³⁶ Hradzky, op.cit., s. 658. — W. Semkowicz: *Materiały do dziejów osadnictwa Górnej Orawy*. Cz. II, Zakopane 1939, s. 228.

³⁷ Hradzky, op.cit., s. 698.

własnego,³⁸ czerpał satysfakcję z zasług swej rodziny dla Kościoła i Cesarstwa. Musiał być świadomy, jak ciężka w umysłach Orawiaków penetracja luteranizmu w XVII w. Był na koniec erudytą — teologiem ze stopniem akademickim.

Sądzę, że to on przygotował koncepcję sceny, a także dobrał mistrza z Białego Potoku. To przypuszczenie pozwala wyjaśnić jednolitość stylową pomników na Danielkach i w Twardoszynie, powstałych w krótkim okresie czasu (czerwiec–sierpień 1749 r.).

Idźmy wszakże dalej: Adam Wilczek w 1755 r. odchodzi z fary w Twardoszynie na plebanię w... Orawce. Pracuje tu przez 21 lat (1755–1766).³⁹ Znajdujemy więc odpowiedź na następne pytanie: dlaczego w 1758 r. przed kościołem w Orawce ten sam warsztat wykonuje identyczne przedstawienie. Życzył sobie tego szlachetny i „urodzony” mecenas — pleban. Ale nie tylko pleban. Wilczek pełnił wówczas funkcję wicearchidiakona okręgu górnorawskiego, tj. przełożonego parafii tego terenu w imieniu ordynariusza (do 1776 r. arcybiskupa Ostrzyhomia). Miał poważne kompetencje jurysdykcyjne, zapewne więc także wpływ na fundacje kolegów-plebanów. W Lipnicy Wielkiej pomysł przejął niewątpliwie krewny inicjatora — ks. Ignacy Wilczek, administrator parafii w latach 1759–1762, *nota bene* przez następnych siedem lat pleban namiestowski.

Jabłonka podlegała w owym czasie parafii w Orawce. W 1752 r., gdy stała się interesująca nas figura, plebanem Orawki był poprzednik Wilczka, ks. Jan Grotowski, wcześniej (1713–1728) wikary w tej wsi, zmarły 28 stycznia 1754 r. w wieku 72 lat i pochowany w kaplicy Matki Bożej Bolesnej w kościele parafialnym.⁴⁰ Duchowny ten musiał uznać, że bardziej celowe jest umieszczenie sceny z „pokutnicą” w Jabłonce, silniej dotkniętej wpływem luterskim niż Orawka. Dlatego Orawka doczekała się fundacji dopiero z rąk Wilczka w 1758 r.

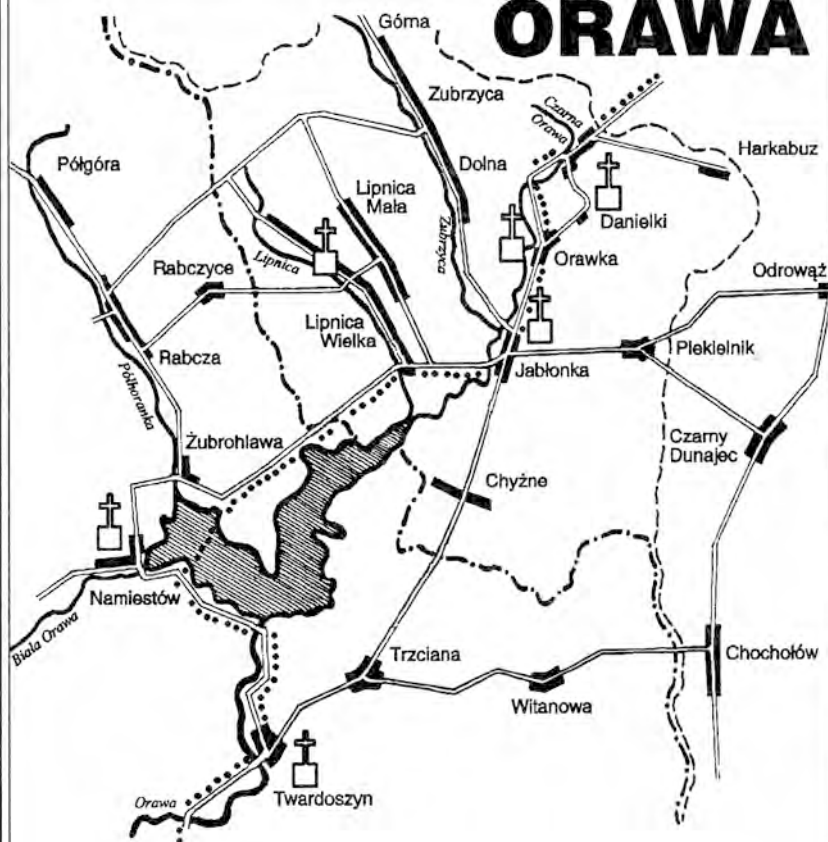
W Namiestowie figurę przed kościołem fundował Jan Bernolak, pleban w latach 1755–1762. Świadczy o tym ów „szyf” inicjałowy, który obiecałem rozwikłać: „SCARDIBPNC” oznacza po prostu: „*Sacerdo Archi-Reverendus Dominus Ioannes Bernolak Parochus Namiestoviensis Curavit*” (najczcowniejszy pan kapłan Jan Bernolak pleban namiestowski sprawił).

³⁸ Por. T. M. Trajdos: Godło Towarzystwa Przyjaciół Orawy. „*Orawa*” 1992, nr 17-18, s. 2–3.

³⁹ Hradzky, op.cit., s. 690.

⁴⁰ H. Pieńkowska: Dekoracja wnętrza kościoła w Orawce dokumentem historii Górnej Orawy. „*Materiały i Sprawozdania Konserwatorskie Województwa Krakowskiego*” 1975, s. 45. — Hradzky, op.cit., s. 690.

ORAWA



obiekty omówione w artykule



"trakt krakowski"



ważniejsze drogi



miejscowości



rzeki, jezioro



obecna granica polsko-słowacka



granica historycznej Orawy
(dawnego komitatu orawskiego)



Dwaj ostatni wymienieni księża, luźniej związani z Wilczkiem, zamówili swe figury w innych warsztatach Białego Potoku, Grotowski w lepszym, Bernolak w gorszym. Natomiast kuzyn pomysłodawcy, pleban z Lipnicy Wielkiej, zwrócił się w 1761 r. do ucznia czy naśladowcy warsztatu, który preferował Adam Wilczek.

* * *

Omawiane dzieła są kompozycjami także treściowo złożonymi. Ustalmy, jak wyobrażenie pokutującej Marii Magdaleny wprowadzono do tych zespołów przedstawień i jakie funkcje tak konstruowane figury mogły pełnić. Zagadnienie łączy się z lokalizacją pomników. W Danielkach i Twardoszynie stały pomniki poświęcone czci Matki Bożej Bolesnej, przedstawionej w charakterystycznej dla Orawy ikonografii Piety. Reliefy Marii Magdaleny pełnią tu więc dodatkową rolę świadectwa Męki Chrystusa i Współcierpienia Marii. Wszak Magdalena była tych wydarzeń świadkiem. Kapliczka twardoszyńska leży przy głównej drodze, znanej od XIII w. jako „krakowska” — szlaku osadniczym, handlowym i dyplomatycznym między Polską i Węgrami.⁴¹ Tu była najstarsza węgierska komora celna, wzmiankowana w 1265 r. Otóż według tradycji miejscowej, choć zasadniczo droga ta trzymała się doliny Orawy, a potem Czarnej Orawy, wiodąc ku Przełęczy Spytkowickiej (Bory), to jednak na odcinku Orawka – Podwilk wspiniała się jakoby na wzgórze i przebiegała przez dzisiejsze Danielki. To przypuszczenie, o ile wiem, nie znalazło jednak dotąd źródłowego potwierdzenia. Nawet Pieńkowska i Staich wyrażali istotną wątpliwość co do jego wiarygodności.⁴² Powód umieszczenia Piety fundacji Adama Wilczka w tym właśnie miejscu pozostaje zatem wciąż zagadką.

Figurę twardoszyńską wzbogacają dwa wyobrażenia dodatkowe: patron niezłomności kapłańskiej i obrońca przed żywiołem wody — Jan Nepomucen, oraz rycerz walczący z szatanem — Michał Archanioł. Oba wizerunki bardzo popularne wtedy na Orawie. Trzeba też dodać, że kapliczka twardoszyńska znajduje się na optycznej osi drewnianego kościoła Wszystkich Świętych, najstarszej świątyni parafialnej na Górnej Orawie. Bez wątpienia odwiedzali ją pątnicy nocujący przed uroczystościami odpustowymi pod gontowym okapem „sobót” tego kościoła.

Figura w Orawce poświęcona jest triumfowi wiary katolickiej. Maria Niepokalana symbolizuje właśnie zwycięstwo, ponadto uważano ją za „tarczę”

⁴¹ Trajdos, *Dzieje...*, op.cit., ss. 6–7. — B. Wyrozumska: *Drogi w ziemi krakowskiej do końca XVI wieku*. Ossolineum 1977, ss. 71, 79. — J. Dąbrowski: *Kraków a Węgry w wiekach średnich*. „Rocznik Krakowski” 1911, t. XII, s. 207.

⁴² Pieńkowska, Staich, op.cit., s. 506.

chroniącą przed mocami piekielnymi i żywiołami, które zagrażają życiu ludzkiemu, a w szczególności przed zarazą.⁴³ Tę funkcję pomnika w Orawce podkreśla obecność św. Rozalii, orędowniczki zagrożonych epidemią. Dodatkową ochronę dają wsi dwaj „poskromiciele ognia” — św. Florian i św. Donat, władca piorunów. A więc figura wyraża radość zwycięstwa w obronie wiary i równocześnie strzeże wiernych przed groźbami tego czasu: zarazą i ogniem. Jej funkcja wiąże się ściśle z położeniem na parceli kościelnej, niedaleko kruchty.

Figura w Jabłonce była bez wątpienia pomnikiem wotywnym plebana Jana Grotowskiego. Można ją nazwać „pomnikiem trzech Janów”, patronów fundatora: Jana Nepomucena, Jana Chrzciela i Jana Ewangelisty. Wzywała też pomocy w obliczu zarazy (stąd św. Rozalia) oraz powodzi (stąd Jan Nepomucen). Umieszczona na rozstaju ważnych dróg, skupiała uwagę podróżnych: także nad nimi rozstaczał szczególną opiekę Jan Nepomucen. Postać Jana Ewangelisty łączy się ściśle z Marią Magdaleną — to on o niej pisał najwięcej, obydwójce stali pod Krzyżem. Pleban-fundator wziął to na pewno pod uwagę. Także Jan Chrzciel występuje w podwójnej roli: jako patron fundatora oraz jako patron kościoła parafialnego w Orawce — „matki” katolików Górnej Orawy od połowy XVII w. Maria Magdalena na tym pomniku musiała być przedmiotem specjalnej czci pielgrzymów: w pokutnej przecież często intencji ich wędrówek mieściło się rozpamiętywanie losów wielkiej grzesznicy i ascetycznej pustelnicy w jednej osobie.

Wątek modlitwy pątniczej bez wątpienia przyświecał też intencji fundatora w Lipnicy. Kamienny słup miał symbolizować wiarę w przymioty św. Jakuba Większego, opiekuna i współzyciela pielgrzymów, kupców i wędrownych rycerzy,⁴⁴ a także patrona współfundatora figury, Jakuba Lichosyta. W Lipnicy krzyżowały się liczne drogi pątnicze i handlowe. Niejeden pielgrzym westchnął zapewne do Marii Magdaleny, choć ukrytej „wstydliwie” na tylnej ścianie słupa. Boczne wizerunki — Ewangelistów Łukasza i Marka — też odgrywają „przewrotnie” podwójną rolę. Łukasz patronuje parafii wielkolipnickiej, Marek zaś opisywał misję Jana Chrzciela na Puszczy (a więc podnosił wątek, który wprowadzono do wezwania kościoła w Orawce),⁴⁵ ale ci sami dwaj Ewangeliści dawali świadectwo czynów i nawrócenia Marii Magdaleny.

⁴³ Pilchowa, Trajdos, op.cit., s. 271. — T. Seweryn: *Kapliczki i krzyże przydrożne w Polsce*. Warszawa 1958, s. 27.

⁴⁴ Pilchowa, Trajdos, op.cit., s. 265.

⁴⁵ Ibidem, s. 266.

A w Namiestowie? Tu Maria Magdalena dzieli miejsce z orędownikiem lękających się pożaru — św. Florianem i tworzy fundament pod statwę Niepokalanej — pogromczyni herezji i „śmiertelnego powietrza”. Plac przed kościołem parafialnym był właściwym miejscem dla demonstracji takich pragnień i oczekiwań wiernych.

* * *

Postąpiliśmy parę kroków naprzód, próbując odsłonić tajemnice przeszłości Orawy. Ileż kroków przed nami...

Tadeusz Studziński

KURNIAWA W KARPATACH

Tadeusz Studziński (ur. 1911) w latach trzydziestych przemierzył Polskę wzdłuż i wszerz rowerem, kajakiem i na nartach. W czasie okupacji żołnierz ZWZ i AK, dowódca plutonu „Chełm” działającego w Beskidach. Swoje partyzanckie dzieje opisał w książce *Pięć mostów*.¹

Niniejsze opowiadanie, stanowiące opis odbytego samotnie w grudniu 1937 r. imponującego rajdu narciarskiego przez pustacie Czywczynów i Hryniaw, było opublikowane w zbiorze opowiadań turystycznych *Zielone ucho* („Czytelnik”, Warszawa 1956). Zamieszczamy je w „Płaju” w nieco odmiennej wersji, przekazanej nam osobiście przez autora. Dołączyliśmy fragmenty, które ze względu na cenzurę musiały być usunięte z tekstu opublikowanego przez „Czytelnika”, pominęliśmy natomiast część początkową, wtórnie przenoszącą akcję opowiadania w Beskid Sądecki, dodaną z tych samych powodów w 1956 r., by opowiadanie mogło się ukazać.

Redakcja

Przygoda zimowa, o której opowiem, wydarzyła się w końcu grudnia, na krótko przed wojną, w Czarnohorze. Byłem tam wówczas kilkanaście dni na samotnym rajdzie narciarskim. Góry odludne, a schroniska odległe od siebie nieraz o dwanaście godzin marszu. Każdy kolejny dzień oddalał mnie coraz bardziej od siedzib ludzkich, a poczynając od drugiego dnia podróży nie wiedziałem na pewno, czy trafię tam, dokąd szedłem, i czy znajdę zagospodarowane schronisko. Po drodze nie spotykałem żadnych znaków ani śladów, które ułatwiałyby odnalezienie właściwej drogi. Przez wiele dni na szczytowym płaju nie było wody do picia. Piłem tylko rano i wieczorem. Mój sprzęt narciarski był bardzo kiepski. Wiatrówka nie miała kaptura. W końcu grudnia są, jak wiadomo, najkrótsze dni w roku, co miało duże znaczenie, bo musiałem pokonywać wielkie odległości dziennie. Fala mrozów skuta wtedy Karpaty.

¹ T. Studziński: *Pięć mostów*. Wyd. I – Warszawa 1958, Wyd. II rozszerzone – Warszawa 1992.

Do Worochty przyjechałem w wigilię. Pierwszy dzień świąt przeczekałem na Maryszeskiej, gdyż bardzo duło. Wyszedłem już na Szpyci, tysiąc metrów wyżej, ale zawróciłem, bo niepodobieństwem było utrzymać się grani.

Następnego dnia wypogodziło się. Mróz, bez wiatru. Gruba okiść lodowa przyginała gałęzie świerków. Na trasie nie spotkałem nikogo. Odległość do Popa Iwana wynosiła tylko siedemnaście kilometrów, ale dalej iść nie mogłem, bo następne schronisko było odległe o dwadzieścia sześć kilometrów. Szedłem przez Szpyci, Brebenieskul i Munczel, działem wodnym, na wysokości dwóch tysięcy metrów i po południu doszedłem na przełęcz pod Smotrecem. Przy schronisku golizna, ani jednego smreczka. Stało ono ponad linią lasów, na wysokości tysiąc siedemset pięćdziesięciu metrów. Kosodrzewinę koło schroniska przykrył śnieg. Przyjemnie jest zobaczyć zamieszkały dom w takiej pustce. Zgrabny dach, kryty gontem, rysował się ostro na śniegu. Ściany tonęły w puchu. W żłebach zalegały seledynowe smugi, a cień dachu daleko wyciągał się na bieli. Nigdzie nie było śladu nart. Gdyby nie dymek nad kominem, można by sądzić, że schronisko jest opuszczone. Dowiedziałem się, że jestem tu pierwszym narciarzem w sezonie.

Dwudziesty szósty grudnia rozpoczął się słonecznie. Duży mróz. Góry lekko dymiły. Wyszedłem nad grań Popa i przetrawersowałem jego zachodnie zbocze do Przełęczy Szybeńskiej. Stok poźłobiony jarami miał zaledwie pięć kilometrów, ale zajął mi aż trzy godziny. Zbyt późno się zorientowałem, że lepiej byłoby pójść przez szczyt, obok obserwatorium astronomicznego. Z góry widziałem jezioro czeskiej klauzy Balcatul.

Za Waskulem skończyła się właściwa Czarnohora i zaczęły się Karpaty Marmoroskie. W południe poczułem dotkliwe pragnienie. Nie zabrałem nic do picia, aby się nie obciążać. Garść zmrożonego puchu zawierała tylko kilka kropel wody, a pociłem się zdrowo. Łykałem śnieg do samego zmroku. Nie odpoczywałem wcale. Niepewność noclegu odbierała ochotę do przystanków, gdyż w każdej chwili mogła spaść mgła. Plecak ważył kilkanaście kilogramów. Samego chleba zabrałem pięć bochenków. Droga śliczna. Szło się cały czas wysoko, ponad linią drzew. Nie widziałem żadnego żywego stworzenia. Dookoła falowało nie ogarnione wzrokiem morze lasów. Góry zakrywały góry. Ani skrawka płaskiego horyzontu. Nie widać też było ludzkich osiedli, które skupiły się w tyle, za Czarnohorą. Żaden dźwięk nie zakłócał ciszy na podniebnej drodze. Wszelkie życie zostało w dalekich dołach. Gdzie okiem pogonić, zalegały olbrzymie połacie pierwoboru, ukoronowane białymi czapami połonin. W zastygłej przyrodzie tkwiło groźne piękno. Z wysokich Gór Czywczyńskich piękno to mogli podziwiać tylko silni i odważni. Do tych cudów wokół można się było modlić! Nie widziałem i nie słyszałem żad-

nego żywego stworzenia. Odludny krajobraz podniecał nieustannie do pędu. Żadnych odpoczynków.

Na szczycie Stohu, sześćdziesiąt metrów w prawo od szlaku, stykały się trzy granice: polska, czeska i rumuńska. Pożegnałem granicę czechosłowacką i przywitałem rumuńską. Za Stogiem wierchowina poszerzyła się w rozległe stepy. Noc zapadła, gdy znalazłem się na przełęczy Kopilas. Pod szczytem zamajaczyła pusta strażnica rumuńska. Gdzieś poniżej, na lewo, powinno być nowe schronisko. Zjeżdżałem powoli w dół i penetrowałem załomy terenu. Wreszcie zawołałem: hop, hooop! Z ciemnego lasu odezwało się przytłumione szczekanie psa: hau, hau, hau! Jakież to był przemily odgłos! W stojącym powietrzu zapachniało dymem. Z rozkoszą wciągnąłem dech w piersi. Chociaż mroźna puszcza pachnie prześlicznie, to jednak aromat dymu z palących się polan oszołomił mnie ze szczęścia. Jest dom i są ludzie!

Dobrze trafiłem, bo schronisko było pilnowane. Jeszcze rano nie miałem pewności, czy schroniska położone dalej na południe są zamieszkałe w tej porze. Drewniany domek stał w mroku, przytulony do czarnej ściany smreków. W schronisku gospodarzył karłowaty Hucuł. Długo nie zapalał lampki. W świetle pryskających iskier zerkał na mnie spode łba. No, ale samotny człowiek na odludziu zawsze przywita warczeniem drugiego samotnika, który przychodzi w nocy, diabli wiedzą po co. Starąłem się przemawiać do karła miłym głosem. Znałem trochę ruski język. Powoli się rozmrażał i pewnie w końcu uwierzył, że go nie zamorduję.

Hucuł nie miał do jedzenia nic oprócz mamałygi, bryndzy i huślanki. Nie zanadto się też odkarmiłem jego smakołykami i uzupełniłem kolację zapasami z plecaka. Herbatę mogłem pić dopiero po trzech godzinach, gdyż od ciepłego płynu boleśnie hupało w zębach. Przrzekłem sobie wtedy nie jeść nigdy za wiele śniegu i do dziś to pamiętam. Długość marszu od Popa wynosiła dwadzieścia sześć kilometrów. Wyspałem się wspaniale.

Dwudziestego ósmego grudnia wstał cudny ranek. Królowali cały dzień dwaj nasi przyjaciele: słońce i mróz. Na śniadanie wypilem sześć szklanek herbaty z cytryną, aby starczyło do wieczora. Hucuł zwierzył się, że jego pan z Warszawy płaci mu rocznie czterdzieści złotych za pilnowanie. Co zarobi na jedzeniu od gości — to jego. Opłaty za spanie oddaje panu. Jak pan tu będzie w marcu, to on zażąda pięć złotych dokładnie za pilnowanie. Albo niech pan daje na jedzenie dla sobaki. Wilki zeżarły mu dwa psy. Ma herbatę, cukierki... Umie czytać tylko drukowane. Czy pan mu dobawi pięć złotych?

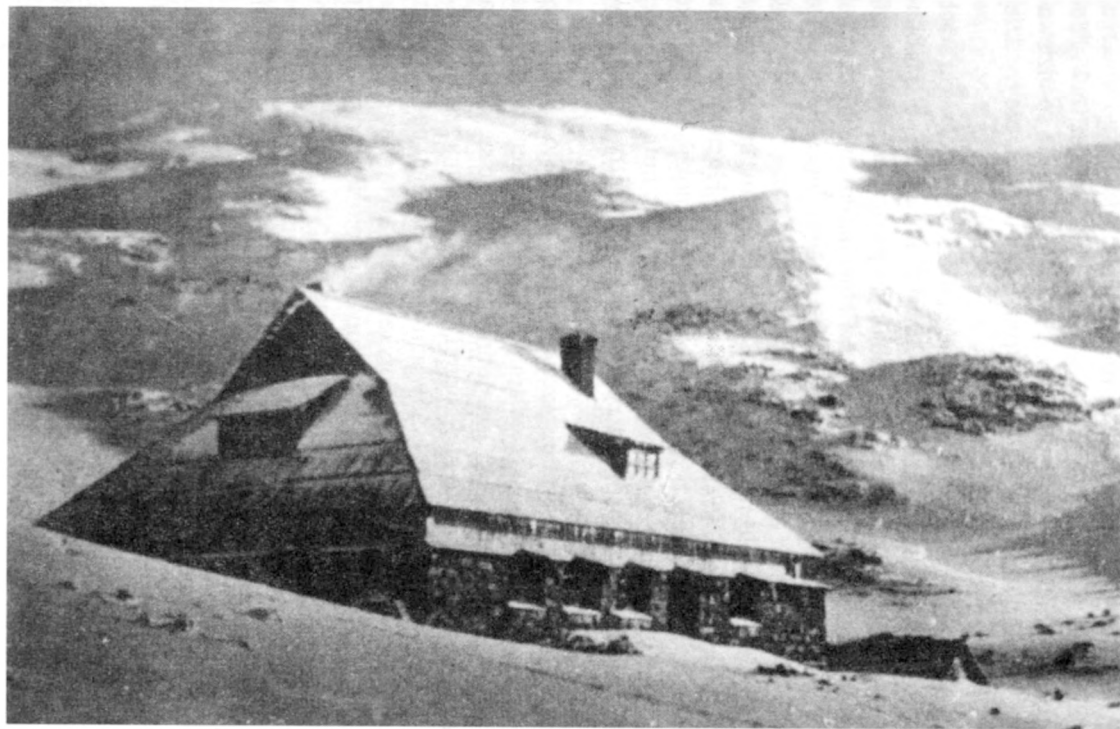
Niewiele wymagał. W 1937 roku obiad w jadłodajniach studeckich kosztował 50 groszy, a w prywatnych złotówkę. Pocieszyłem Huculą, że pan mu dołoży za psa, bo sobaka na Kopilaszu to połowa gospodarza, albo i więcej.

— To nie ty, a twój Sultán zaprosił mnie wczoraj pod dach! Ty się bałeś... Opowiedz panu śmiało, jak Sultán dba o gości. Daj mi książkę ze schroniska, to napiszę o tym twojemu panu. Pochwalę i ciebie, i Sultana.

Gdy podchodziłem z lasu na połoninę, migotały w słońcu wielkie kryształowe zmarznięte firny. Śnieg niósł wspaniale. Dzień ten zanotowałem w pamięci jako najweselszy z całej wycieczki. Słoneczna pogoda, dobry wikt i wypoczynek stwarzały radosny nastrój. Chciało się krzyczeć z radości. Z rana, dopóki nie byłem jeszcze zmęczony, śpiewałem na całe gardło. W południe temperatura się podniosła, chyba do dwóch, trzech stopni mrozu w słońcu. Trasa była łatwa. Przed sobą widziałem na dwadzieścia kilometrów jednolity grzbiet górski. W tych warunkach nie mogło być mowy o błędzeniu. Łagodne podejście i łagodne zjazdy. W górę i w dół, cały dzień. Kierunek na południe, ze słońcem w twarz. Południowy horyzont zakrywały wyraźne już tego dnia Alpy Rodniańskie. Ach, jak tam było pięknie!

Gdy się odwróciłem, widziałem cieniutki wężyk własnego śladu z kropczkami kijków. Ślad wił się, podchodził na góry i coraz nikszy, rozmazywał się gdzieś bardzo daleko w śnieżnym blasku. Dział wodny wystawał ponad granicą zalesienia. Widoki bardzo rozległe. Zarówno dorzecze Czeremoszu, jak i węgierskiej Cisy porośnięte było pierwotną puszcza. Chyba nie się tu nie zmieniło od tysięcy lat. W zależności od pory dnia, oświetlenia i odległości, płaszczyzny lasów, ponachylane w różne strony, przybierały pastelowe kolory ciemnej zieleni, czerni, wszystkich odcieni granatu, szare, niebieskie, fioletowe, różowe, a nawet czerwone, pod słońce o zachodzie. Czary, czary... Język ludzki nie jest w stanie znaleźć określić dostatecznie pięknych dla uzmysłowania bogactw tych barw. Poprzestać muszę na wspomnieniu ogromnego zachwyty, z jakim podziwiałem ośnieżoną puszcza karpacką z wysokości martwego szlaku. Już nigdy potem nie umiałem wrzucić się pięknem gór utrwalonego na płótnie przez malarzy. Bo góry są cudne tylko z góry. A malarze nie zawsze mogą uwiecznić ich piękno ze szczytów.

I tego dnia nie spotkałem po drodze żywego ducha, tylko ślady zwierzęcy i ptaków. Na mapie było oznaczone schronisko pod Popadią. Tam powinienem zanoć. O godzinie piętnastej minąłem po stronie zachodniej ogromną kopę Czywczyna i zacząłem szukać schroniska. Słońce już poróżniało, gdy pod przełęczą zauważyłem dwa domki. Tym razem dymu nad kominkami nie było. Spotkał mnie zawód. Oba domy były od dawna opuszczone. Okna i drzwi zabite deskami, dach dziurawy, piece rozebrane.



Schronisko AZS pod Smotrecem *fot. arch.*



W izbach bez podłóg leżał śnieg. Puste rudery nie zachęcały do noclegu, zwłaszcza że nie miałem śpiwora. Nie było wyboru, należało zjeżdżać w dolinę Czeremoszu. W Stefulcu, w odległości dziesięciu kilometrów, spodziewałem się znaleźć zamieszkałą gajówkę. Strona rumuńska była jeszcze bardziej bezludna i nie było tam czego szukać.

Opuściłem się w dolinę Popadyńca i po nieprawdopodobnych wykrotach przeszedłem lasem około trzech kilometrów. Nagle, prawie za sobą, zobaczyłem nad potokiem domek. Samotny, zagubiony w puszczy, z białym kożuchem na dachu, wyglądał jak domek z bajki o Babie Jadze. Jak informował duży sztyl nad wejściem, było to schronisko Popadynec. Pilnowała go stara Hucułka. Mąż jej zszedł do Żabiego po chleb trzy dni temu i miał wrócić za dwa dni. Kobieta przyjęła mnie nieufnie. Prawie nic nie mówiła przez cały wieczór. Kuchenka była czysta i przytulna. Po kolacji Hucułka zagrzała w kuchni siennik, koce i prześcieradło. Buty nie przemokły. Doskonałe okazały się szerokie bandaże z gumy, uszczelniające styk buta i wełnianej pończochy. Przejechałem tego dnia trzydzieści trzy kilometry. Nocleg był dobry.

Dwudziestego dziewiątego grudnia szczyty zakryło mleczko. Pod smrekami było zaciszenie, ale gdy tylko wyszedłem ponad las, poczułem, że dmucha solidnie. Wkrótce wiatr spędził mgłę w doliny i widoczność się polepszyła. Do południa chmury wisiały nisko nad górami. Tego dnia zamierzałem dojść do Hniatysi, potem zawrócić i zanocować w schronisku Bałtagul nad Czarnym Czeremoszem. Wiało w prawy policzek. Borykałem się z tym wiatrem na starym pasterskim gościńcu. Na Przełęczy Łostuńskiej koło Pirie pobłądziłem i prawie godzinę szukałem dalszej drogi. Zabrnąłem przy tym w rumuński las zadrutowany jeszcze od czasu pierwszej wojny światowej. Spod koron świerków rozchodziły się druty kolczaste, promieniście, do ziemi. Natrafiłem na gęste zaskieki kolczaste, wysokie na pięć metrów. Zabłądziłem, bo droga przewijała się niepostrzeżenie przez górskie siodelko na drugi, równoległy biegnący grzbiet. Taka rzeźba terenu w dziale wodnym to niezawodna pułapka na turystów. Po południu wypogodziło się.

Od połoniny Bałtagul wierchowy step poszerzył się z rozmachem. Linia lasów uciekła daleko w dół. Do południowego cypelka granicznego za Hniatysią doszedłem o godzinie piętnastej i stałem na nim przez dłuższą chwilę. Szerokość Karpat w tym miejscu jest największa i wynosi jakieś dwieście kilometrów. Dookoła stał zbałwaniony ocean gór. Szczyty ginęły w blado-niebieskiej dali. Czy można porównać urok małych, choć pięknych Tatr — myślałem wówczas — z tym oto bezludnym ogromem górskim? Wysoki dział pomiędzy dorzeciami Cisy i Prutu prowadził dalej na południe. Półtora

tysiąca lat temu przeciągały tym szlakiem zbrojne zastępy Daków na podbój imperium rzymskiego. Niestety, nie mogłem dalej iść ich śladami. Pomyślałem wtedy, czy przede mną był już ktoś samotnie na nartach w grudniu na Hniatysi idąc grzbietami Czarnohory i Karpat Marmoroskich. Bardzo w to wątpiłem. Hniatysia — to dawne Rozrogi sprzed 1772 roku. Do Dźwiny polskie bociany leciały stąd jeszcze 930 kilometrów na północ.

Słupek graniczny na cyplu odwany był przez wichry i miał numer 56. Pomachałem ręką w kierunku Siedmiogrodu i zawróciłem na północ. Cztery kilometry szedłem swoimi śladami do płaskich połonin Gropy. Z wysokości tysiąc siedemset pięćdziesiąt metrów zjeżdżałem przez zielisko stepowe do źródeł Czarnego Czeremoszu. Zmarzłe łodygi wystawały ze śniegu, ale nie hamowały pędu.

Po paru kilometrach zjazdu usłyszałem w lesie nawoływania. Głosy męskie mieszały się w całe chóry. Sądziłem, że zobaczę polowanie z nagonką, ale byli to drwale huculscy przy pracy. Spuszczali okorowane kłocę śnieżnymi rynnami. Kłody ślizgały się, stawały dęba i często wyskakiwały z torów. Wtedy Huculi nasuwali capinami kłocę do rynny i pchali je w dół. Każda czynność odbywała się przy innej melodii. Były to sygnały ostrzegawcze dla tych, co pracowali niżej, i dla tych, którzy stali wyżej. Pasterski szczepek z wierchówin nadał tym hasłom tony pierwotnej, lecz pięknej melodii. Gdy zobaczyli mnie, wszyscy przerwali robotę. Wjechałem pomiędzy nich i zaczęliśmy rozmawiać. Pytali, skąd idę i gdzie są moi towarzysze. A gdy się dowiedzieli, że idę sam od strony Hniatysi — spojrzeli po sobie. Wyjaśniłem, że jadę piąty dzień, ale od Howerli, a nie z południa. Kręcili głowami. Pytali, czy mam broń, czy nie spotkałem bandytów i wilków. Odpowiedziałem, że widziałem wiele wilczych śladów na grani. *Mołodiec Lach* — powtarzali przyglądając się szczegółom mojego stroju. Byli to pierwsi ludzie spotkani na drodze od pięciu dni. Twarze mieli zarosłe, ogorzałe, na głowach czapy z długimi nausznikami.

Od źródeł Czeremoszu drogę przetarto sankami. Schronisko w Bałtagulu zbudowano pewnie z jodeł ściętych latem, bo cuchnęło w środku mokrzyzną. Pilnowała go liczna rodzina. Rozmowny gospodarz był chyba Cyganem albo może Wołochem. W środku było niechlujnie, zimno i aż roilo się od karaluchów.

Do drugiej nie mogłem zasnąć na wilgotnym sienniku pod pięcioma wilgotnymi kocami. Gospodarz dokładał do piecyka całą noc. Piecyk jarzył się czerwono, a mimo to dygotałem. Nigdy bym nie przypuścił, że wilgotne pośłanie może do tego stopnia być nieprzyjemne. Nie wypocząłem wcale.

Przy śniadaniu opowiadał Cygan, że na Połoninie Pryluczny budują jakąś kopalnię. Latem wydrążono dwa szyby, postawiono baraki i schronisko na dwadzieścia osób. Jemu powierzono przez zimę opiekę nad budynkami. Raz w tygodniu odwiedzał teren kopalni pokonując odległość ośmiu kilometrów na nartach. Ale dziś jest słońce, więc na kontrolę postanowił wysłać swego czternastoletniego synka. Wiosną tego roku byłem pod Popem i ułyszałem wtedy o odkryciu złóż manganu na południowym krańcu Huculszczyzny. Pomyślałem teraz, że warto zobaczyć to miejsce. Rodzina Cygana była najdalejszymi mieszkańcami na południu Polski, na szerokości geograficznej 47°46'. Cygan miał dziś niejaką pewność, że syna pod moją opieką nie pożrą wilcze watahy z Siedmiogrodu.

Trzydziestego grudnia wiał lekki zefirek z północy. Gdy wychodziliśmy z domu, dolina pogrążona była jeszcze w cieniu. Mróz siarczasty. Skrzypiało pod nogami. Lekko pognaliśmy na nartach. Płaj przewijał się z działu na dział tak kręto, że sam nie trafiłbym tam nigdy. Towarzyszący mi chłopiec śmiał się wesoło. Na nogach miał krótkie, domowym sposobem wystrugane narty z rzemiennymi wiązaniami. Nogawki do kolan miał obwiązane sznurkami. Dodatkowo matka okutała go po uszy różnymi łaszczkami.

Po dwóch godzinach zobaczyliśmy w dole zamrożone jezioro kłauzy Perkałab. Huculek opowiadał, że latem poją się w tym jeziorze stada jeleni. Weszliśmy do niewielkiego schroniska, w pobliżu którego stały dwa długie szałas. Na białej podłodze wałały się pachnące wióry od hebla. Wpisałem się do czystej jeszcze książki, jako pierwszy gość w schronisku.

Po paru minutach Huculek zamknął drzwi na klucz i kilka kilometrów wracaliśmy własnymi śladami. Na pewnym grzbiecie rozstaliśmy się. On ruszył dalej po naszych śladach do Bałtagulu. Ja — na północ, pomiędzy obu Czeremoszami, przez połoninę Hlistowatą, Ryżowatą, Stefulec Wielki w kierunku Baby Ludowej. Szedłem do schroniska na Masny Pryślup. Droga piękna. Cały czas prowadziła przez górskie pastwiska, rojne latem od trzód.

W połowie dnia niebo pociemniało. Wzmógł się wiatr. Główny łańcuch Gór Czywczyńskich zakryła mgła. Grzbiet, po którym szedłem, był niższy od Czywczyńskiego i mgła nie zalegała na nim. Przed wieczorem wypatrzyłem przez lornetkę schronisko. Długo studiowałem teren, aby łatwiej trafić tam nocą. Na prawo od schroniska wypiętrzała się ponad inne szczyty Baba Ludowa ze słupem triangulacyjnym. To był najlepszy znak. Zaraz poniżej przełęcz i na niej domeczek. Zrobiło się ciemno. Zaczynał śnieg. Do godziny dwudziestej tłukłem się połoninami. Poczułem zmęczenie i głód. Przez cały dzień musiałem walczyć z północnym wiatrem, który czasem zapierał w miejscu. Borykanie się z nim przez jedenaście godzin osłabiło mnie. Oczywiście

nie odpoczywałem za dnia, aby wykorzystać światło. Ale i teraz, gdy noc zapadła, nie odpoczywałem także. Grzbiet gór na mojej trasie pocięty był niekończącym się zygzakiem okopów. W 1915 roku stał tutaj front rosyjsko-austriacki. W ciemności wpadałem w przywiane ziemianki i przewracałem się o druty.

Ażeby nie zbłądzić, wyszedłem na sam szczyt Baby Ludowej. Śnieżycą, noc i mgła zlewały się w lepką ciemność. Silniejsze porywy wichru rzucały w twarz całymi płatami śniegu, zmiotanego ze szczytu. Ucieszyłem się z odnalezienia wieży. Zjazd z Baby był stromy. Nie widziałem, co jest dziesięć metrów pode mną. Oto już jestem na przełęczy, a schroniska nie ma. Burkut, gdzie mógłbym zanocować, leżał o dziesięć kilometrów dalej. To byłoby jednak na dziś za wiele. Podchodziłem już, a schroniska nie było. Nie krzyczałem, bo powietrze huczało. Nagle zobaczyłem dach. Pewnie szalas — pomyślałem. Ale nie, bo jest i okno, niskie, długie.

Obszedłem schronisko dookoła w poszukiwaniu drzwi. Co u licha, nie znalazłem ich i znów trafiłem do tego samego okna. Szybki były zamarzę, z małymi kółkami od chuchania. No, to już dobrze, w środku musi być żywa istota. Zapukałem w ramę. Zapalił się ogarek z płomykiem wielkości paznokcia. Do okna zbliżyły się ze światłem wystraszone oczy. Obszedłem raz jeszcze domek i od strony północnej zobaczyłem czarny otwór drzwi. Wtoczyłem się do środka razem z tumanem śniegu, który wiatr wepłuł ze mną do izby. Przy świetle kaganka spostrzegłem, że moja broda, rękawice, ubranie — wszystko pokryte było lodem.

Przeszedłem tego dnia czterdzieści sześć kilometrów. Wyciągnąłem się na sienniku i bez ruchu przeleżałem godzinę. Ani spać, ani jeść, ani mówić — nic mi się nie chciało, tylko leżeć, leżeć. Wicher, głód i ta noc nie przespana w Bałtagulu dały mi się we znaki.

Hucuł napalił tymczasem w piecu, zagotował wodę, zagrzał mamałygę, postawił na stole butelkę z kuślanką i bryndzę. Odwieczne to pewnie przysmaki pasterskiego ludu, bo jadłem je kilka razy w tym samym składzie. Mamałyga to gęsta papka z kukurydzy. Nie lubię. Kuślanka to mleko zakwaszone we wrześniu, a pije się je do kwietnia. Jest przeraźliwie kwaśne. Bryndzę znają wszyscy. Po spożyciu kolacji rozgrzałem się herbatą i porozmawialiśmy. Hucuł przyznał się zawstydzony, że początkowo wziął mnie za diabła, który siedł na spotkanie czarownic. W końcu powiedział mi komplement: że na pewno żaden Hucuł nie zdobyłby się na podobny wyczyn.

Z książki Stanisława Vincenza *Na wysokiej połoninie* dowiedziałem się w parę lat później, że Baba Ludowa jest legendarnym miejscem, gdzie według wierzeń Hucułów w czasie burzliwych nocy zimowych spotykają się cza-

rownice. Zabobon ten znany był z pewnością memu pustelnikowi. Hucul odwykł od ludzi, bo nie schodził do Dzembroni od października. Nie wiedział też, że w Bałtagulu jest jeszcze jeden, ostatni już na południe schron turystyczny, pilnowany przez cygańską rodzinę.

Schronisko na Masnym Pryślupie stało na wysokości tysiąc pięćset metrów w siodle pomiędzy grzbietami tworzącymi linię północ-południe, stało na strasliwym wydmuchu, narażonym idealnie na działanie wszystkich możliwych wiatrów.

Przez noc szalał huragan. Domek targany nawałnicą pisał, skrzypiał i drgał aż do rana.

Często budził mnie huk wichru. Wydawało się, iż zmiecie nas z całą chatką w przepaść. Mój gospodarz także przewracał się na sienniku. Spałem źle.

Ostatni dzień 1937 roku zaczął się ciszą. Mróz, w górach mgławo. Ale cóż mogła mnie obchodzić pogoda, skoro dziś droga była łatwa, przeważnie dolinami, w których stały już zamieszkałe gązdy. Zamierzałem dojść do schroniska pod Popem Iwanem i w ten sposób zamknąć wielką pętlę mojej drogi.

Nadzieja spotkania znajomych twarzy usposobiła mnie radośnie. Moje zapasy żywności wyczerpały się. Obiecywałem sobie najeść się pod Popem smakołyków świątecznych. Przez Szybene i Jawornik doszedłem do ścieżki u wylotu doliny Pohorylca. Ścieżka biegła pod górę trawersem Stajek. Miałem trzydzieści dwa kilometry, w tym tysiąc metrów podejścia z doliny Czeremoszu.

Dawno minęło południe. Zbliżał się chmurny wieczór. Z wysoka, od połonin dochodził groźny szum. Na szczytach kurzyło, w dolinie był jeszcze spokój. Mrok powoli spowijał ścieżkę. Widać już było tylko najbliższe kontury drzew. Z wnętrza puszczy szła naprzeciw mnie noc wczesna, bezksiężycowa, pomieszana z mlekiem mgły. Uciekałem przed ciemnością tak szybko, że pomimo dwudziestu stopni mrozu pot ściekał strużkami po twarzy. Schronisko było oddalone jeszcze o półtorej godziny marszu. Diabelskim tempem postanowiłem zakończyć dzisiejszy etap.

W biegu myślałem o pracy serca, które wypróbowałem w tylu okazjach. Myślałem o tchu w płucach, nie znających nigdy jadu nikotyny. Śledziłem z satysfakcją pracę nóg. Ich siłę zawdzięczam barwny sen młodości, prześnionej w samotnych rajdach, spławionej w ptasiej swobodzie i zawsze głodnej dalekich, sinych horyzontów. Myślałem o każdym nerwie, zmuszanym teraz do oddania z siebie wszystkiego. Kontrolowałem ich harmonijne współdziałanie

w pracy. Głaskane myślą i hipnotyzowane bezustannie, pracowały wydajniej, stawały się bardziej odporne na zmęczenie.

— Jeszcze kilka tysięcy takich drgań, a będziemy w domu — przemawiam głośno do nóg, jak do kogoś rozumiejącego.

W lesie było mi dobrze. Pomykałem coraz szybciej, jak koń, który czuje stajnię. Skóra promieniowała ciepłem, a głębokie wydechy pokryły szronem wiatrówkę. Welniana opaska na uszach grzała mocno. Przesunąłem ją nieco wyżej. Nie było w tym lekkomyślności, bo wśród masztowego boru powietrze stało nie poruszone i uszom nie mogło się stać nic złego. Po czole spływały krople. Jeden za drugim migały widma wysokopiennych smreków. Jeszcze kilka tysięcy widm.

Czas płynął szybko. Zgryzałem powoli leśny szlak. Po godzinnym marszu od grażdy kończył się trawers Stajek. Schodziłem prawdopodobnie w źródli-ska Pohorylca, bo ścieżka zaczęła uciekać w dół, kołowała nierówno i przepadała co chwila w gąszczu. Goniła za źródłami potoczków, przekraczała je po kłodach, to znów wracała z wodą, skacząc przez pnie i głązy. Las rzedniał. Coraz częściej zjawiały się młode choinki. Wyrosły w miejsce starych olbrzymów, które tu na skraju puszczy pokotem legły od wichrów. W tej części drogi szukałem znanych mi już fragmentów połoniny pod Smotrecem. Gdy dojdę do polany z drutem kolczastym, to reszta będzie tylko progiem bliskiego domostwa — mruczałem do siebie. Od polany do schroniska zdeptałem niegdyś każdy metr. Baraszkowaliśmy tam z kolegami w czasie ferii wielkanocnych przez sześć dni.

Tymczasem wyszedłem spośród zwartego starodrzewu na odkrytą ścieżkę. Owiał mnie wiatr. Obcy ślad narciarski, który towarzyszył mi od doliny Jawornika, pojawił się znów. Był wyraźny i głęboki. W słabym świetle zamierającego dnia rozróżniłem, że przejechano w dół dwa razy. Rychło wszakże kontury otoczenia straciły ostrość, bo za jakimś zakrętem ogarnęła mnie mgła. Od tej chwili zbocza gór, potok i jodły przybrały barwę brudnego mleka. Na oczach niosłem jakby zasłonę z mokrego płótna. Płozy nart bez mojego udziału sterowały po tropie narciarskim, który po wyjściu z lasu ryl się w głębokim śniegu. Narty ślizgały tępo i opornie, aż wreszcie każdy krok stał się dla nóg walką. To nie było zmęczenie. Słońce w czasie dnia stopiło czapy śniegu na smrekach. Wiatr zdmuchnął na ścieżkę nasycony wodą śnieg i narty stępiły się. Poza tym na licznych potoczkach zalodziłem deski. Powoli odmierzałem żółwie kroki, wyczerpując serce i resztę sił. Klęskę tę przyjąłem spokojnie.

Trudno — pomyślałem — jeśli nie za pół godziny, to za półtorej zapukam w okienko. Otworzą mi, a wtedy usiądę naprzeciw płomienia, rozsznuruję

buty i wyciągnę nogi. Ach jaki rozkoszny może być odpoczynek, trzeba się tylko dobrze zmęczyć. Do gardła popłynie nektar — herbata z cytryną. Życie jest piękne. W niczym nie powinno być przesyty. Oto dewiza!

Ogarnęła mnie wielka radość. To nic, że idę tak wolno, ale przecież w końcu dojdę. Cieszyłem się, że niedługo odnajdę ludzi. Nadzieja i optymizm to samoobrona człowieka. Cóż byłaby warta młodość bez radosnej beztroski nadziei?

Fala mroźnego powietrza liźnęła mnie w prawe ucho. Wiatr uciszał się chwilami na dole, ale słyszałem, jak huczał w zeszlętych wierchołkach tych jodeł, co przekroczyły górną granicę lasów, oparły się huraganom i jak świeczki sterczały z rzadka na poloninie.

Spomiędzy drzew wyszedłem na step. Wokół leżała jednostajna biel śniegu. Żadnych śladów. Północny wicher prał w twarz suchym śniegiem. Przymknąłem oczy.

Wtem narta zawadziła o coś twardego. Uderzyłem kijkiem. Był to przywiany słupek. Pod nogami zadyndała oszroniona nić drutu. Tuż obok zobaczyłem bruzdę starych śladów.

— Wiwat Polonia! — krzyknąłem. — Jesteśmy w domu. Niech duje, niech nawet czarci z piekła stają na drodze razem z czarownicami z Baby Ludowej. Od tego drutu mogę iść na ślepo.

Jakże byłem zarozumiały i pewny siebie! Już kilkanaście następnych kroków przekonało mnie, że zgubiłem trop. Powróciłem do miejsca, gdzie wy-czuwały go jeszcze płozy. Wracać, to znaczy tracić ciężko zdobytą wysokość. Żal mi było tych kilkunastu metrów, ale wróciłem. Blisko celu, w pośpiechu, ogarnia nas czasem nierozumna gorączka. Pochyliłem się, żeby odnaleźć bruzdy. Ale rozbiegły się się szeroko na zjazd. W ciemności nie widziałem przed sobą wygodnej drogi podejścia. Na węż poszedłem za lewym śladem. Zaprowadził mnie pod stromy stok. Zacząłem schodkować, lecz pylny śnieg obsuwał się przy każdym kroku i szatkowałem w miejscu. Wyciąłem zakos w prawo i poszedłem po warstwy. Rozstałem się w ten sposób z prostą linią, którą zsusujący narciarz przekreślił puszystą biel. Gdy wróciłem nieco wyżej, nie zobaczyłem już znaków. Słaba była nadzieja odnalezienia ich, bo nawet moje ślady ginęły natychmiast w zawiei. Po stoku miotło smugami śniegu. Ufałem jeszcze własnej znajomości terenu i parłem śmiało pod górę. Marsz stawał się coraz trudniejszy.

Z wąskiej doliny droga rozszczępiła się w kilka jarów. Lewe prowadziły do schroniska, prawe pod Smotrec. Poszedłem w lewo. Na rozdrożu potok przestał tłuc się pod śniegiem i zamilkł. Prawdopodobnie osiągnąłem źródłiska Pohorylca. Wiatr ostudził mnie już na całym ciełe. Mróz zamienił w skorupę

przepoconą wiatrówkę i plecak. Na szczęście od zimnego pancerza dzieliły mnie jeszcze dwa swetry. Od ruchów rąk i rytmicznych pochyień ciała skrzyślały górne części ubrania. Samopoczucie człowieka głodnego i zmęczonego setkami kilometrów jest mizerne. Z powodzeniem atakuje go mróz i depresja. A ja byłem naprawdę zmęczony. Liczyłem teraz kroki: raz-dwa, raz-dwa, automatycznie. Obsuwałem się ciągle, ale zaraz prostowałem i, coraz słabszy po każdym zesuwie, liczyłem dalej kroki.

Kilka razy przekraczałem w poprzek kręte jary, aby wyjść na przełęcz tym jedynym, właściwym. Szukałem go ze zmiennym szczęściem.

Jestem nareszcie w nim — zdawało mi się. Tak, te same ściany piętrzą się z obu stron. Poznają, na pewno. Ktoś stawiał dwa bigosy, że nie można dojść tędy do schroniska, i przegrał. Tylko wiosną inne były nawisy. Na przykład na tym stoku doskonale schodkowaliśmy, a dziś wiszą na górze jęzory i nie pozwalają wyjść ze żlebu. Co, rozwidlenie? Przecież go nie było... A może?... Tak, przypominam sobie, od tego miejsca trzeba w prawo. Teraz i jeszcze dwa razy w prawo.

Niedaleko stąd rósł ostatni smreczek. Powinien już być. Pewnie go przywiał. Jar się zwęził. Można iść w górę tylko zakosami, co trzy, cztery metry. Gdy człowiek zaczyna błądzić, to zachowuje się jak tonący. Trzepoce się, robi gwałtowne ruchy, ale powoli owłada nim zwątpienie i beznadziejność walki. Zrozumiałem, że błądzę, i niepokój ukłuł mnie w serce. Owszem, pchałem do góry, ale dokąd — nie wiedziałem.

Przykrą niespodzianką było nagłe urwanie się żlebu. Tych niespodzianek spotykałem niestety coraz więcej. Przede mną wyrosła ściana, a nad nią okap nawisu. Wycofałem się ostrożnie w bok. Kilka razy zjechałem w puch. Śnieg napychał mi przy tym kieszenie spodni i gwałtem się wciskał za kołnierz. Wstawałem ubielony zupełnie. Widocznie wdrapałem się pod jakieś kotły Popa Iwana, bo po pas brnąłem w pyłe śnieżnym. Gdy w pewnej chwili spłynął z góry bałwan, nie poruszył mną nawet. Przez moment zrobiło się ciemno. Zasypało mnie do piersi. To nie była lawina, ale puszek lżejszy od pierza. Ręce i kijki grzebały się niemrawo pod śniegiem. Odpocząłem nieruchomo kilka sekund, przy czym zauważyłem, że jest mi cieplej pod taką pierzyną. Dzioby nart dość łatwo ją przebiły. Gdybym mógł chociaż zobaczyć dno żlebu, zaryzykowałbym zjazd, aby poszukać innej drogi. Nie widziałem także, jak jeszcze wysoko piętrzy się stromizna. Ponieważ nie mogłem schodkować, powlokłem się wzdłuż stoku. Ciągle po pas. Na przebycie kilkunastu kroków zużywałem teraz całe minuty. Dręczyły mnie złe przeczucia, że jeśli tak dalej będzie, to nie dobudzę się ludzi w schronisku. Bodaj o północy,

ale dojść i nareszcie spać. Już mogę nic nie jeść — ślubowałem — aby tylko położyć się w cieple.

Co chwila musiałem przystawać i chociaż wichura głużyła głośny łomot serca, nadśluchiwałem, czy nie toczy się z góry lawina. Oczy zupełnie mi zakleilo. Z bolesnym wysiłkiem szukam szczelin w szarej ścianie, ale nie widzę nic, bo cały świat wiruje, a zadymka tnie w oczy z każdego kierunku. Powiek przymknąć nie mogę, bo rzęsy zlepiły się w sople. Brwi i brodę przykrywa także skorupa lodu. Nie kruszę go, bo chroni skórę od wiatru, ale stale pocieram policzki. Grudki oblodzonych rzęs tkwią przy źrenicach i przesłaniają mi burzliwą noc. Jet to bardzo denerwujące, bo nie widzę wyraźnie nawet własnej ręki, podsunętej pod nos. Aby oczyścić rzęsy, trzeba zdjąć podwójne rękawice, bo od pocierania lód na oczach nie kruszeje. A założenie rękawic na mrozie to nie lada sztuka. Czułem się jak ślepiec. Bezustanne mruganie zmęczyło do reszty wzrok i stępiło jego wrażliwość na wszystko, co działo się wokół. Trzy razy zastała mnie noc w tej podróży, a przecież trafiłem do domków, odwiedzanych przeze mnie po raz pierwszy. A tu, tak niedaleko od znajomego schroniska, błędzę od kilku godzin i rozmijam się z nim, chociaż tak dobrze znam połoninę.

Zdawało się, że nic nie dostrzegam, a nagle przed wyjściem ze żlebu dojrzałem wyraźnie czarną rysę na jezorze nawisu. Jeden krok dalej i szpara powiększyła się do szerokości dłoni. Znieruchomiałem, nie wiedząc, czy już lecę, czy dopiero za chwilę. Oblodzone oczy zaczepiły bojaźliwie o szczelinę. Schyliłem się do wiązań. Ale — stop. Gdy stracę deski — pomyślałem — muszę tutaj pozostać i nie dojdę do schroniska. Bez nart nie zrobię ani stu metrów, bo zapadnę po szyję. Ale miałem przecież kije. Uchwyciłem je za krążki i odwrotnymi końcami wbilem w śnieg. Długie były i na szczęście dosięgły dna. Wsparły na kijkach z całych sił, stałem teraz nie tylko na śniegu, ale również na twardym gruncie. Obciążenie osiemdziesięciu kilogramów przestało istnieć dla podciętego nawisu. Uniosłem się na rękach i przesunąłem narty. Wiedziałem, że nie polecę, jeśli przez chwilę nawet nie stanę całym ciężarem na śniegu. Znowu krok — i jeszcze jeden — i jeszcze jeden. Wreszcie zatykam kij powyżej szpary. Przed ostatnim krokiem dużo głębokich oddechów. Ptaki nie giną w lawinach! — miażdżyłem w zębach to zdanie, gdy przenosiłem narty pod szczeliną. W pewnej odległości od niedoszłego lawiniska puściłem luzem płuca. Ręką wyczułem, jak bardzo skarży się serce. Słyszę je w skroniach i zdaje mi się, że głowa pęcznieje od uderzeń. Cóż to za cudowne *perpetum mobile*! Nie boli nic, a ręce drżą bezwładne, niezdolne w tej chwili do żadnej obrony. Błogosławiłem jednak ręce w ich niemowlęcej chwilowej słabości.

Odpocząłem trochę i poczłapałem dalej krokiem żebraka, dla którego czas nie istnieje. Nowe jary i żleby. Nowe obejścia i spadanie po krzakach kosówki. Idę ciągle, bo muszę się poruszać. Nie wiem, gdzie jestem. Wyobraźnia umiejscowiła mnie blisko Popa. Skoro tak, to należało iść w prawo... Zatoczyłem wielki łuk. Wicher bił teraz w lewy policzek. Spojrzałem na zegarek. Minęły przeszło dwie godziny od polany z drutem kolczastym. Mimo woli podszedłem jeszcze, bo coś mnie korciło, że kierunek w dół jest zły. Wyżej wiatr stał się tak huraganowy, że z trudnością stałem na nogach. Ponad kurzawą ukazywało się chwilami gwiaździste niebo. Śniegiem mniej tu siepało. Wywnioskowałem stąd, że jestem gdzieś blisko przełęczy. Pył śnieżny, który kłębił się młynkiem na dnie poloniny, zmiatany był ze szczytów przez północny wiatr. Im bliżej przełęczy, tym mniej było śnieżnych wirów, spowodowanych ssaniem powietrza na odwietrznej stronie górskiego wału. Szukałem na niebie Wielkiej Niedźwiedzicy, jednak bez powodzenia.

Kroki stawiałem coraz wolniejsze, a każdy z nich bolał. Co krok pisk, skowyt cichutki przemarzłych rzemieni i blachy wiązań. Huragan targał mną i łomotał po zmarzłym ubraniu jak po pustym żaglu. Często musiałem stawać i zapierać się kijami, aby nie przewrócił mnie silny miech powietrza.

Miałem w plecaku resztki miodu, lecz rzemienie zeszytywniały. Zdecydowałem się rozsnuć plecak. Dłuższe szamotanie się i wykręcanie rąk, zanim sztywna torba spadła na pięty. Gołymi palcami pociągnąłem za sznur wiązadła. Trzy jabłka z Bałtagulu stwardniały na mrozie. Wepchnąłem je pod wiatrówkę, aby się ogrzały. Zanim zapiąłem plecak, prawa dłoń już straciła władzę. Chciałem wdusić ją jakoś do rękawicy, ale palce rozcapierzyły się i brezent nie wpuścił ich do środka. Dłoń potrzebowała rozgrzewki. Drugą rękawicą nabrałem śniegu i natarłem nim zmarznięte palce. Po kilkudziesięciu obrotach ciepła krew zbiegła do paznokci. Powracało w nich życie ze wściekłym bólem. Dopiero teraz trafiłem do wełnianej rękawiczki. Sięgnąłem po jabłka i pożarłem je z pestkami. Trzy kostki cukru i kilka fig miałem w bocznej kieszeni. Po kilkunastu wiatrakach lewą ręką zerwałem z niej rękawicę i szybko wysupałem cukier. Wymacałem jeszcze figi, ale nie próbowałem nawet zapiąć guzika. Znowu nacieranie, wiatraki i uderzanie ręką po nodze. Byłem bardzo głodny i dlatego do dziś pamiętam smak każdej tamtej figi. Z rozkoszą starłem trzonowymi zębami ich drobne ziarenka. Rajski smak spływał ze śliną. Cukier topił się słodko w ustach.

Na wąskim tarasie stanąłem, bo zobaczyłem, że coś się świeci. Nareszcie schronisko — pomyślałem — widocznie jeszcze nie śpią. Trzeba tylko podejść trochę wyżej. Światło nie pochodziło od naftowej lampy, było białe i poruszało się. Rozumiem, to pewno pan Ziemblic usłyszał głos i daje sygnały

latarką elektryczną. Ale przecież nie wołałem?! A może wołałem? Zresztą zawołałem teraz. Hop, hoooop! No tak, wyraźnie zatacza kółka. Tylko stoi daleko, bo kółka są maleńkie, coraz mniejsze. Wtem światło znikło. Za chwilę widzę znów ten sam błysk. Szanowny gospodarz raczy dawać sygnały w różne strony, bo nie zna kierunku, w którym błędę — mówiłem głośno do siebie. — Pewnie mnie psy wyczuły. O, wykręcił się plecami. Porządny chłop! Zaraz się znajdziemy, zaraz. Hej, hoooop! — krzyczę. Zgasił latarkę — teraz odpowie. Cisza. Znów wołam głośno i staram się przekrzyknąć wichurę. A może to wilk? Jednooki? Cóż to byłoby za głupie stworzenie, które wychylałoby łeb z nory i w taką noc szukało żeru na połoninie.

Światło błyska raz niżej, raz wyżej. A ja patrzę, patrzę i widzę najwyraźniej, jak gwiazda przesuwają się nad śniegiem. Rozśmieszyło mnie to. Dzisiaj właśnie Sylwester i gwiazdy chodzą po śniegu. Ta jedna prowadzi z pewnością króla Baltazara do pasterskiej koliby.

— Ekscelencjo — krzyczę — i wy, czarne karakuty, którzy mu towarzyszyacie, zbłądziliście, to nie tutaj. Uciekajcie, gdzie cytryna dojrzewa, bo dobry lud huculski weźmie was za ducha swojego Dobosza!

Stwierdzam, że ulegam złudzeniom. Niepokoi mnie to. Brak snu. Ale bez paniki. Gdy zaciera się granica między prawdą i mirażem, należy się bić po twarzy, aby odgonić sen. Nie żałuję też sobie, choć jest mi przykro, że muszę walić sam siebie.

Jednooki wilk przypominał mi o legowisku. Pogodziłem się z myślą, że rezygnuję dziś z ciepłego wyrka i w postawie stojącej muszę przeczekać do rana — dwanaście godzin. Wiedziałem, że łatwo zasypia się na śniegu. Należy się zatem poruszać bez przerwy. Pamiętam, że w 1933 roku zawiąło czworo narciarzy na Babiej Górze. Podobno jeden leżał dwadzieścia metrów od schroniska. Postanowiłem nie pozwolić sobie na drzemkę, bo obudzę się w wieczności.

Namyślałem się, czy zjechać do lasu, czy też zostać pod szczytem. Stan moich sił przemawiał za tym, żeby zostać. Łatwo jest noskiem narty zawadzić o ukrytą gałąź kosówki i złamać deskę. Gdybym doszedł nawet do lasu — rozważałem — to równie dobrze mogę zamarznąć w lesie jak tutaj, bo ognia na pewno nie potrafię rozpałić zgrabiałymi palcami. Zresztą każdy miesiąc miał już dość wszelkiego ruchu, dość upadków.

Należało pomyśleć jeszcze o zabezpieczeniu twarzy, rąk i nóg. Palce nóg, uwięzione nieruchomo w żelaznych szczękach, przestały właściwie żyć. Nie czułem ich. Machinalnie ubijałem śnieg nartami, aby stopy troszeczkę się rozgrzewały.

A jak się mają uszy? Szarpnąłem brezent rękawicy i złapałem palcami za lewe ucho. Było wyprostowane i sztywniutkie jak deszczułka. Prawe natomiast, okryte w połowie, w połowie też było uchem, a reszta przypominała rzemień. Przed wyjściem z lasu zapomniałem o zsuniętej opasce. Przykre w skutkach roztargnienie. Ściągnąłem drugą rękawicę i obiema garściami nabrałem śniegu. Suchy był jak piasek. Uszy tarłem w jedną stronę, do tyłu głowy, bardzo ostrożnie, aby lewe nie odpadło. Gdy śniegu zabrakło, sięgnąłem po nowy i nieprzerwanie masowałem oba trupy. Co chwilę grzałem ręce pod wiatrówką na brzuchu. Zabieg przeciągnął się, a lewe ucho wciąż nie odzyskiwało życia. Ująłem je lekko palcami i ścisnąłem, czy już mięknie. Wydawało chrzęst zgniatanego sopła. Co to takiego? Ucho obłożone było lodem. Pokruszył się trochę od tarcia, lecz przywarł do skóry i nie odpadał. Trzeba było odrywać go kawałeczkami, a po skończonej operacji powtórzyć nacieranie. Po pewnym czasie obie muszle zwiótchały i obudziły się z letargu. Naciągnąłem na nie opaskę, hełm wełniany, i zabrałem się do ratowania nosa, bo tymczasem nos zeszytniał. Potem podniosłem rękawice, chcąc ukryć skostniałe palce. Wysiłek był daremny, brezent zwinął się w trąbkę i nie mogłem przełamać jego oporu. Rzuciłem w śnieg rękawice. Odpiąłem narty. Potem włożyłem dłonie pod koszulę, na gołą skórę. Brzuch był ciepły, tylko przeraźliwie pusty.

Zatknąłem deski pionowo w śniegu. Noc była wielką niewiadomą. Może do rana stracę władzę w nogach? Gdyby tak się stało, to ktoś ze schroniska rzuci okiem w tę stronę i zobaczy dwie narty. Po tym skromnym ubezpieczeniu zacząłem tupać i dokładnie ubijać śnieg nogami. Pracowałem planowo, z myślą o długiej nocy. W nieustannym tańcu zagłębiałem się coraz niżej. Ruch rozgrzewał stopy, a mnie oszczędzić miał wydatku na ich amputację. Nie zdejmowałem plecaka, bo razem z wiatrówką doskonale chronił od dużej wicy. Na palce każdej nogi spadało teraz siedemdziesiąt pięć kilogramów, sto razy na minutę. Nóg to nie rozgrzewało, ale i nie marzły bardziej. Tylko w ten jedyny sposób mogłem je uratować.

Boisko taneczne nie było większe od dna beczki, a mimo to przetańczyłem na nim kilkadziesiąt melodii. Początkowo podłoga wypaczała się szybko. Musiałem ugniatać wyboje i równać piętami. Potem nabrała gładkości asfaltowej płyty. Koca nie miałem. Na żadną ze swoich wędrowek nie zabierałem tego bagażu. Bez koca mogłem zrobić każdego dnia pięć kilometrów więcej i dotrzeć do ludzi i łóżka, zamiast dźwigać. Któż mógł przewidzieć, że pierwszej nocy 1938 roku koc okaże się tak potrzebny? Ale i bez koca nie zrezygnowałem z życia nawet na chwilę. Bo cóż dobrego zrobię, jeśli umrę? Nikogo nie uratuję ofiarą swego życia. Może ono przydać się sprawie godniejszej niż

wzmianka prasowa, że taki a taki zaginął w górach. A w maju, gdy śniegi popłyną Czeremoszem i owce rozdzwonią się znów na wierchowinie, napisaliby w gazecie, że znaleziono resztki wilczej uczty i zidentyfikowali zaginionego. Nie sztuka być przywianym. Nie mogłem reklamować trupem Czarnohory. Przy trzydziestu stopniach poniżej zera będę tańczył przez dwanaście godzin. Ciepło, którym żyję, każdy jego ochłap porwie wiatr, przedmucha mnie na wylot, ale zabić się nie dam.

Takie to rozmyślenia chodziły bez przerwy po głowie. Stawka była wysoka, bo własne życie. Zamiar śmiały, ale wola istnienia jest wielka. W mózgu nie znalazłem nawet miejsca na myśl, by oddać je bez walki. Każdym nerwem wierzyłem, że nie umrę. Chociaż czułem powolne, obezwładniające mnie kleszcze śmierci, to jednak nie znalazłem w sobie ani trochę strachu. W lodowatym spokoju ducha odkryłem z zadowoleniem ogromny ładunek uporów. Każdy gram kory mózgowej zagłuszał zwątpienie krzykiem: żyć!

Prześwistałem kilkadziesiąt znanych mi piosenek. Pod rytm było lżej skakać. Sięgnąłem później do polonezów i kujawiaków. Wreszcie dostroiłem się do pełnych czaru walczyków Straussa. Ale prawdziwą ucztę artystyczną sprawiły mi węgierskie czardasze. Wściekle mroźna noc karpacka usłyszała ich wtedy jedenaście. Jedenaście czardaszy pod rząd! Orgia muzyczna. Pełne hołdu uznanie dla twórców pomknęło z zamiecią w stronę rzeki Cisy, do ich ojczyzny.

Skakanka nie przeszkadzała mi patrzeć na fosforyzującą tarczę zegarka. Czas stał się wrogiem. Od dawna dzielił się na długie minuty, a godziny stały się epokami. Ale im wolniej posuwały się wskazówki, tym więcej kamieniała zaciętość. Choćby czas stanął w miejscu, przetrwam i nie zamarznę.

Pod lodową skorupą ubrania coraz częściej przebiegało głębokie drżenie. Zimnica wstrząsała mną od pięt aż do zębów. Ruchy stawały się wolniejsze, jakby ktoś omotywał mnie pajęczyną. W spracowanych nogach poczułem zbliżanie się pierwszych kurczów. Zwolniłem tempo deptania, ratując się przed katastrofą krótkimi odpoczynkami. Jasnym było dla mnie, że gdy kurcz schwyci nogi, to mięśnie i ścięgna od razu zesztynieją. Wtedy nie ustoję — zwalę się. A gdyby tak? — myśl nie wahała się nazwać go końcem wszystkiego, co mi zostało na świecie. Poza myślą jest wola. Nie poddam się.

O ile mózg zachował swą bystrość, to nędzna reszta stawała się powoli zawadą. Ruchy straciły sprężystość. Chwiałem się w tył i przód. Z trudem utrzymywałem równowagę wtedy nawet, gdy stanąłem, aby gradem lekkich kulaków rozmasować uda. Za punkt honoru postawiłem sobie nie dać przewrócić się wiatrowi. A przecież, gdy dmuchnął silniej, upadałem na ręce.

Gdy przycichał, siadałem nagle plecami na ścianie beczki. Drżały przepracowane stawy kolanowe. Organizm najwyraźniej chciał spłatać mi figla.

Bez pośpiechu wyrzuciłem z siebie kilkakrotnie: hop, hooop! w cztery strony nocy. Wicher głużył wszystko. Krzyknąłem jeszcze, a potem parę chwil nasłuchiwania. Albo śpię, albo majaczę! — zawołałem głośno, bo oto na zboczu wyprysło światło. Obserwowałem je podejrzliwie, zgadując, co to może być. Teraz już nie dam się nabrać — przemówiłem w głos, aby słyszeć samego siebie. Odwróciłem na dłuższą chwilę twarz i zacisnąłem oczy, aby zegnać z powiek złudne błyski. Uderzyłem ręką po twarzy i z bojaźnią spojrzałem w stronę światła. Jest! Jedzie ktoś! Teraz już się nie mylę. Leci, spada coraz niżej. Nareszcie dom. Co za odwaga, w taką noc! — podziwiam zjazdowca. Był coraz bliżej. Nie jechał wprost na mnie, lecz trochę z ukosa. Słyszę szmer prutego śniegu. Płuży, słychać, jak ryją się noski. Hej, hooop! Tutaj, tutaj! — krzyczę w jego stronę. Świat zawirował. Zniknęło światło. Przewrócił się — przeleciało mi przez głowę, ale poprawiłem się w tej chwili: nie, to ja leżę.

Ocknąłem się, jakbym teraz dopiero zobaczył tę straszną noc. Wszystko stało się jasne. Ręka ugrzęzła na całą długość. Twarz i cała głowa w puchu. Brrrr! Podkuiliłem nogi i wstałem. Bardzo mi zimno. Za kołnierzem pełno śniegu. Wytrzepuję go i wydłubuję ręką. Pochyliam się przy tym do przodu, ale nie mogę ustać prosto w swym dołku, gdyż głowa ciąży do ziemi. Wobec tego stawiam dwa kroki w przód i unieruchomiony po pas wytrząsam śnieg zza kołnierza. Palce marzną niezwykle szybko. Widocznie zasypiałem. Bo cóż to za halucynacje? Przecież to był sen. Co za potworna rzecz obserwować własne umieranie!

Kątem oka dostrzegam, że nos oblepiony jest puchem. Nie taję już. Raz jeszcze muszę narazić palce na ukąszenie mrozu, aby przywrócić życie nosowi. Przy okazji zerknąłem na zegarek. Była północ. Oto mamy już nowy rok. W całej Polsce i na wielkim szmacie świata weselą się w tej chwili ludzie. W ciepłych izbach, przy ciepłych piecach trącają się kielichami, piją ciepły płyn, aby po przywitaniu roku położyć się w ciepłej pościeli. Ciepło stało się marzeniem tej nocy.

— Drodzy przyjaciele — przemówiłem głośno — dobranoc wam. Kładźcie się, nikogo dziś nie obudzę. Siebie muszę tylko ciągle budzić, chociaż tak bardzo pragnę zasnąć.

Nie mogłem teraz ani stać, ani skakać. Nieustanne kurcze chwytają różne sploty mięśniowe i zaciskały na nich szczęki buldoga. Całą siłą woli pannałem nad każdym zbyt nagłym ruchem nóg, aby nie przyspieszyć ataku. Ciągle daleki byłem od poddania się hysterii. Smutny musiał być widok za-

marzającego człowieka i jego przedziwnych ruchów. Były tam niskie ukłony do przodu i na boki, krążenia tułowiem, podnoszenie nóg — słowem jakaś makabryczna gimnastyka o północy. Dla przypadkowego widza ruchy te nie były zrozumiałe. Ażeby pobudzić stygnącą krew, gąłem się ruchami węgorza we wszystkich możliwych kierunkach. Bardzo ostrożnie wstrząsałem stopami, byle je trochę rozgrzać. Kopałem lekko powietrze raz lewą, raz prawą nogą, krążyłem stopą i tak bez końca. Ręką musiałem opierać się o ścianę dołka, bo o utrzymaniu równowagi nie było już mowy. Wiatr pomiałał mną jak szmatą.

Życie trwa dotąd, dokąd trwa ruch — upierałem się przytomnie.

Zbliżył się kryzys. Zmęczenie i mróz zalechało lewą tydkę bolesnym szarpnięciem. Oho, zaczęło się! W instyktownej obronie wyskoczyłem z beczki i po kilku krokach ugrzązłem w śniegu. Czy pozwoliłem na to nogom? Wszystko stało się tak szybko. Nie pozwoliłem, a jednak opuściłem gwałtownie dół, ubijany przez sześć godzin. Dlaczego tak uczyniłem? — pytałem sam siebie. Śmierć zbliżała się powoli, a mózg kontrolował każdy samowolny ruch. Nie majaczyłem, myśl pracowała trzeźwo.

Brodzenie w głębokim śniegu i naturalne ruchy nóg były najlepszym środkiem na kurcze. Postanowiłem krążyć koło nart aż do rana. Natura stworzyła człowieka do ruchu. Tak jest najlepiej — cieszyłem się z odkrycia. — Gdy będę chodził, przetrwam, a w dołku zamarznę.

Nie okrążyłem swoich nart. Obok krzaka kosówki zapadłem w śnieg do piersi. Usłyszałem wyraźnie, jak narty warczą na wietrze. Aha — pomyślałem — to zdawało mi się płużeniem nart we śnie. But ześliznęła się po niewidocznej gałęzi. Stałem na łokciach, aby nie zapadać głębiej. Nogi zawisły w próżni. Początkowo przestraszyła mnie nagła utrata gruntu pod nogami, ale już w chwilę później uczułem, że jest mi cieplej. Na mrozie zostały tylko plecy. W tej nieoczekiwanej pozycji było mi znacznie wygodniej niż na śniegu. Nie dźwigam samego siebie i jest ciepło w nogi. Zawieszony w powietrzu radowałem się odpoczynkiem. Wpadłem tak głęboko, jak tylko pozwalał mi plecak, bo ten nie chciał zmieścić się w dziurze. Stopy zbadały, ile wolnego miejsca zachował krzew pod korzeniami. Miejsca było dużo. Czarnohorska kosodrzewina słynie z bujności, bo nie zdzierają jej lawiny, a podłoże jest żyźniejsze, niż w Tatrach.

Po krótkim mocowaniu zdjąłem plecak i rozgrzałem palce na brzuchu. Z plecaka wydostałem dwie pary skarpet i puszkę z resztkami miodu. Zerwałem denko i wyskrobałem palcami ścianki pudełka. Oblizywałem palce szybko, bo zamarzyły. Na ostatek wylizałem dokładnie wierzch dłoni i na kilka minut przyklepiłem ją do brzucha. Wreszcie ze skarpetkami dałem nurka do

jamy. Dziurę przykryłem plecakiem. Nogami wydeptałem tyle miejsca, że w kucznej postawie głowa nie dostawała do plecaka.

Kulenie nóg wymagało jednak ciągłego ich naprężenia. Znów źle. Nogi trzeba wyprostować, bo to ich naturalna pozycja. Stwierdziłem, że w prawym kącie jest dość dużo miejsca. W kryjówce nie mogłem się przekręcić, wobec tego jeszcze raz wychyliłem głowę na świat i po wykonaniu obrotu zakorkowałem komin na wiele godzin. Po paru ruchach na boki, do przodu, po kilku zmianach i poprawkach nóg — znieruchomiałem.

Strop nie zwali się — rozumowałem — bo gałęzie kosówki trzymają mocno. Metr nad głową rozpostarty był plecak... Buty trącały wesoło o siebie, ręce ukrywałem w dwóch parach skarpet i przycisnąłem piersiami do kolan. Zmniejszyłem przez to powierzchnię promieniowania ciepła. Siedziałem na gałęzi, prawe ramie opierało się również o gałąź. Odprężyłem zupełnie mięśnie, aby zbadać, czy ciało utrzyma się prosto bez mojej woli. Próba wypadła świetnie. Na wysokości czoła wystawała gałąź. Nadłamałem ją i ostrym końcem zwróciłem do twarzy. Samoczynny ten budzik nie pozwalał na drzemkę. Na czole poczułem swędzenie. To spływała po nim pierwsza kropla wody. Wycie wichru dochodziło tu jak zza ściany.

— Nie potrzeba mi teraz schroniska — szeptałem uradowany.

Krew zaczęła na nowo krążyć w nogach. Czuję w butach każdy palec po kolei. Palce poruszają się same! Co za radość. W jamie było tak ciepło, że bez obawy zatknąłem chustkę na budziku i przymknąłem powieki. Do snu nuciłem sobie:

Gdy świeży liliś pokryje buuuk
I Czarnohora szernieje,
Niech dzwoni fleet, niech ryczy róóóg,
Ożyły nasze nadzieje...

— Jestem uratowany — uśmiechało się szczęściem darowane życie.

Mocniej kleją się oczy i nagle zapadam w sen.

We śnie płynąłem łódką po morzu, a bryzgi piany bez przerwy chlustały mi na kark i policzki. Od tych bryzgów dygotałem w łódce.

Obudziłem się w dreszczach i spojrzałem na zegarek. Była trzecia po północy. Spałem przeszło dwie godziny. Już tylko cztery dzielą mnie od świtu. Sen minął jak jedno westchnienie. Mokra koszula przywarła do pleców. Śnieg, który tak obficie naszpikował ubranie, roztopił się i przemoczył bieliznę. Z głowy ściekały po karku krople wody i spływały na plecy. Próbowałem jeszcze raz usnąć, ale nie mogłem. Najgorsze było to, że nawet w butach poczułem wodę. Wymacałem, że gumowe bandażę zsunęły się z kostek.

Łapały mnie króciutkie drzemki, lecz mokry okład nie pozwalał mi zasnąć naprawdę. Dla zabicia czasu zabawiałem się odgadywaniem minut na zegarku, który dla wygody trzymałem w skarpetce. Nafosforyzowane wskazówki mrugały jak rój świętojańskich robaczków. Liczyłem do stu, do tysiąca, do wielu tysięcy. Bez zmian, w ciągłych dreszczach wlokły się wolno minuty. Gdy wiatr zajączał na górze, wtulałem głowę w ramiona i przysuwałem twarz do kolan, aby nie dmuchnął w nią zimny pył. Puch śnieżny przysypywał głowę, topił się i nasyczał wodą ubranie. Przysłuchiwałem się zawodzeniu du-jawy i marzyłem o ciepłym łóżku. W nagrodę za całonocne trudy przyrzekłem sobie przespać bez przerwy cały jutrzejszy dzień i noc. Przedtem co najmniej garniec słodkiej kawy z ciastem świątecznym.

Próbowałem rozgrzać się w różny sposób. W ciasnej jamie kręciłem tułowiem, karkiem, a biodrami wypisywałem cyfry od jednego do stu. Starałem się wynaleźć dla siebie coraz to nowe zajęcia, aby rozgrzewka była skuteczniejsza. Jednak mizerny był skutek tych zabiegów. Stwierdziłem wtedy, że dreszcze są najlepszym środkiem na rozgrzanie, skuteczniejszym od wszystkich sztucznych sposobów. Ataki febry dziesiątkami minut trzęsły konwulsyjnie tułów, nogi, ręce — aż do utraty tchu.

Około szóstej rano zaczęło szarzeć. Przez małą szczelinę pod plecakiem skąpo przesączało się światło. Długo zwlekałem, zanim zdecydowałem się wyrzeć. Nerwowe drżenie przebiegało przy tym po kręgosłupie, jak przed niezwykle ważnym postanowieniem. Organizm buntował się już przeciw każdemu ruchowi. Walczyłem z własnym oporem dobre pół godziny. Siedziałem ciągle nieruchomo i nie mogłem — nie mogłem zmusić się do działania.

Powoli rozdzieliłem ręce, splecione od sześciu godzin. Skarpety były mokre, choć śnieg bielił je po wierzchu. Podniosłem z kolan głowę. Nóg nie widziałem, bo tonęły w mroku. Śnieg pokrywał mnie grubo, zupełnie jak trupa. No, jeszcze tylko jeden atak febry na rozgrzewkę i wstanę. Miałem diabelną treść.

W końcu wstałem. Straszliwy mróz oparzył w mokry kark. Dolna szczęka zadrżała tak, że cofnąłem język, aby nie przeciąć go zębami. Zaskomliłem na głos z zimna. Ciało, pozbawione kalorii, nie umiało się już bronić. Z ciekawości rozejrzałem się po świecie. Dwie pomarańczowe smugi przekreślały bury horyzont. Tam był wschód. Mgła kotłowała się na dole, ale sklepienie nieba było czyste, rozświetlone dalekim słońcem. Wróżyło to piękny dzień. Na wschodzie rzeźbiły się góry. Zachód był jeszcze we mgle. Wiało silnie, ale już nie tak jak nocą. Przywiany krzak czepiał się stromego grzebienia, który nieco niżej przechodził w nawis. Siedziałem na jego zaczepie i całą

noc spychałem krzak nogami. Nie puścił mnie jednak w dół. To chyba było ostatnią szczyptą szczęścia w tej przygodzie.

Z wiatrem niosła się mgła i odkrywała chwilami piękną panoramę doliny. Stałem ponad nią na górnej granicy kosodrzewiny. Nade mną już krzaków nie było. Sylwetki świerków oraz kierunek, w jakim porastała dolinę odległa plama lasów, wskazywał, że jestem na Smotrecu. Słońce wschodziło nad Szurynem. Za mną powinna być przełęcz Dzembroni i Pohane Misko. Istotnie, przewalały się stamtąd pierzaste dymy mgieł. Moje kochane narty czekały cierpliwie na śniegu. Bruzdy tragicznego marszu zostały przez noc zasmużone.

Patrzyłem przez minutę i kłapałem zębami. W lęku przed mrozem dałem znów nurka do jamy. Postanowiłem przeczekać pod śniegiem do wschodu słońca, aby jak najdłużej odwlec wyjście na mróz. Mapa przejrzana w kryjówce upewniła mnie o położeniu.

Pół godziny oczekiwania minęło szybko. Czy zauważyliście, że ranne godziny mijają szybciej? Przez cały czas drżałem z zimna, a jeszcze bardziej z emocji, i potajemnie życzyłem sobie, żeby wskazówki zegara zwolniły.

W jakimś nagłym przypływie energii i zdrowego rozsądku poderwałem się w górę i w tym momencie wychylił się z chmur Pop Iwan. Wiatr ustał. Na kamiennej ścianie obserwatorium różowiło się słońce. Noc spędziłem na wysokości tysiąc osiemset pięćdziesiąt metrów. Pop zaledwie mnie trochę przerastał. Mróz był wielki. Wydzwignąłem się na rękach, załadowałem rękawice i przypiąłem narty. Gdy już stałem na deskach, kilka minut rozgrzewałem ręce. Ziębiły je mokre skarpety. Poszedłem na przełęcz. Dopiero teraz wyłonił się Munczel i główna grań Czarnohory.

Przekroczyłem ostry grzebień i w odległości trzystu metrów ujrzałem poniżej dach schroniska. Okna były zawiane. Z komina wspiął się jasny dymek, prosto w niebo. Pewnie gotują śniadanie. Przez chwilę pasłem oczy tym widokiem. W piersiach zafalowało coś od przypływu wzruszenia. Nocna zamięć zatarła wokół wszelkie ślady. Schronisko czekało w dole, skąpane w słonecznym poranku.

Skorupa lodu, w którą zdążyłem tymczasem zakrzepnąć, przeszkadzała mi. Rękawy i spodnie pod kolanami nie zginały się wcale. Kilka razy przewróciłem się z osłabienia.

Przed schroniskiem stało troje ludzi i odkopywało okna. Krzyknąłem. Odezwał się mały Wasylek. Poznałem go od razu. Zjechałem do nich, z trudem wytrzymując łatwy szus.

— Dzień dobry, panno Kaziu. Jak się masz, Wasylek! — pozdrowiłem ich. — Czy poznaliście mnie?



Zjazd fot. W. Tyski



Patrzyli wielkimi oczami.

— Czy pan spał na Stajkach? — spytała wreszcie panna Kazia.

— Nie. Trzysta metrów stąd. Na Smotrecu — wskazałem kijkiem za siebie.

Kobieta przeżegnała się, a Wasyl skoczył do wiązań.

— Co za szczęście, że pan żyje — gratulowała mi. — Ja pana poznałam jeszcze na szczycie. Dziwiliśmy się, skąd pan idzie i dlaczego tak się chwieje.

— Całą noc myślałem o rozkoszy snu w waszym schronisku. To mnie trzymało, proszę mi wierzyć — powiedziałem.

W izbie nie było czasu na wytapianie lodu, więc Wasylek przeciął nożem sznurowadła u butów. Siedziałem wyciągnięty na krześle, z dala od ognia, a panna Kazia nad miednicą rozcierała śniegiem moje stopy.

— Jak pan wyszedł od nas tydzień temu na południe, nikt jeszcze nie zaglądał do schroniska. Siedzieliśmy sami i zakładaliśmy się z Wasylkiem, czy pan nie zginie. Kto słyszał w takie pustkowia samemu! Na południe od Kopilaszu zapuszczają się tylko rajdy wojskowe, i to w marcu. Nasz inżynier jest na Maryszewskiej. Nie wrócił wczoraj, bo strasznie kurzyło. Dzisiaj śniło się kucharce, że pan Ziemblic zamarzł w kosówce... Co za zbieg okoliczności! Jest dwadzieścia sześć stopni mrozu. Odmroził pan siedem palców.

— Plus kilka u rąk — uzupełniłem. — Nie wiedziałem, że noc może być tak strasznie długa. Wasylku, podaj mi lustro.

W lustrze zobaczyłem obcą twarz, czarną od wichru, mrozu i słońca. Wpadnięte oczy dziko wyglądały spod czaszki, ale błyskały w nich ogniki radości. Wyraz tamtej twarzy był dla mnie nowy. Odniosłem wrażenie, że pod Smotrecem przekroczyłem szczytowy moment istnienia. Że zacznę żyć znów od początku, bo pokonałem śmierć. Zdjąłem nauszniki i zamiast uszu zobaczyłem dwa krwawe, napuchnięte kotlety.

— Panno Kaziu, to nie moja twarz — zaśmiałem się wszystkimi zębami, — ale uszy żyją, proszę spojrzeć, trochę spuchnięte. I nos jest na miejscu, proszę go dotknąć. Czy pani wie, "kulminowałem" tej nocy. To tak jak gwiazda. Właśnie tej nocy. To widać w lustrze. Czy pani mnie rozumie?

Postowie

Po odespaniu nocnych przygód zszedłem z piętra schroniska do jadalni. Gospodarz, pan Ludwik Ziemblic, przedstawił mnie płk. Władysławowi Ziętkiewiczowi, który przyprowadził grupę studentów Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego (dziś AWF) ze schroniska na Maryszewskiej.

Choć słyszałem dużo o płk. Ziętkiewiczu, ujrzałem go dziś po raz pierwszy. W 1920 roku zajmował Spisz dla Polski. Stworzył wówczas kompanię górską. Na Hali Gąsienicowej budował z pomocą swoich żołnierzy słynny Murowaniec. Zwiedził Polskę od jeziora Drywaty do Czeremoszu. Wzrost ponad 180 cm, silna budowa ciała, prosty, twarz męska, przystojny, w długich spodniach narciarskich i bluzie koloru zielonkawego. Wyraz twarzy i spokojny ton jego barytonu budził autorytet. Na kieszeni skafandra nosił jakby broszkę przypiętą pionowo, która okazała się norweskim termometrem turystycznym. Na prośbę pułkownika opowiedziałem o nocnym błędzeniu w zadymce, o zjawisku pół-snu i pół-jawy, a także o termice ciała. Dla przyszłych działaczy sportowych była to ciekawa lekcja pogładowa.

W czasie rozmowy z pułkownikiem nikt z młodych nie zabrał głosu, nikt też nie cnił papierosów. Wprawdzie przed wojną palono dziesięć razy mniej niż obecnie, ale to skromne zachowanie studentów bardzo mi się podobało. Po skończeniu opowiadania pułkownik zaproponował mi opisanie przygody dla wydawanego przez Instytut tygodnika. Na wątpliwości, czy dam radę, pułkownik odrzekł, że wczoraj czytał mój wpis do książki na Maryszeskiej, u państwa Tyskich, gospodarzy schroniska, a dziś także wpis z 26 grudnia do tutejszej książki.

— Da pan radę, jestem spokojny — podsumował pułkownik swe rozeznanie. Chodziło o druk w tygodniku „Sport Szkolny” wydawanym przez Instytut Przysposobienia Wojskowego i Wychowania Fizycznego, którego dyrektorem był płk Ziętkiewicz. Opowiadanie ukazało się w kwietniu i maju 1938 roku w pięciu kolejnych numerach tygodnika.

Muszę wrócić jeszcze do 1937 roku. Od września do grudnia owego roku odbywałem służbę wojskową w Centrum Wyszkożenia Saperów w Twierdzy Modlin. W koszarach były cztery kompanie szkolne dla przyszłych oficerów rezerwy. Do świąt Bożego Narodzenia nie dawano kawalerom przepustek poza Twierdzą, co spotęgowało tęsknotę za widokami żywego i szerokiego świata. Karmiono nas mało kalorycznie, a mnie dodatkowo dokuczał brak snu po egzaminach dyplomowych i praktyce na budowie w powstającej wówczas Stalowej Woli. W takich warunkach trudno było zakumulować w sobie zapas sił na długi rajd narciarski. Mimo to, kiedy na urlop gwiazdkowy dawano nam rozkazy bezpłatnej podróży, jako swój cel podałem Worochtę, odległą 700 km od Modlina.

W początkach stycznia 1938 roku wróciłem do Twierdzy, lecz po tygodniu wyjechałem do Krakowa, do Szkoły Podchorążych Mostów Kolejowych. Tam dopiero w łaźni zauważyłem, że jestem chudy jak szkielet. Następnego dnia stanąłem do raportu przed dowódcą z prośbą o przydział podwójnych porcji żywności przez sześć tygodni. Jako powód podałem wielkie wycieńczenie organizmu w czasie dziesięciodniowego rajdu narciarskiego. Jeden z oficerów zauważył w raporcie, iż jest to drugi przypadek w Batalionie Kolejowym, bo przed kilku laty podwójne porcje jadł przez cały rok znany w Polsce zapaśnik, Szczurbiński.

Dopiero w lutym wróciłem do sił i ochoty pisania wspomnień. Pracowałem tylko po kolacji, w godzinach nauki własnej. Siadałem na katedrze, przy stoliku wykładów, aby nikt nie zaglądał mi przez plecy. W czasie nauki zawsze siedział w sali jakiś

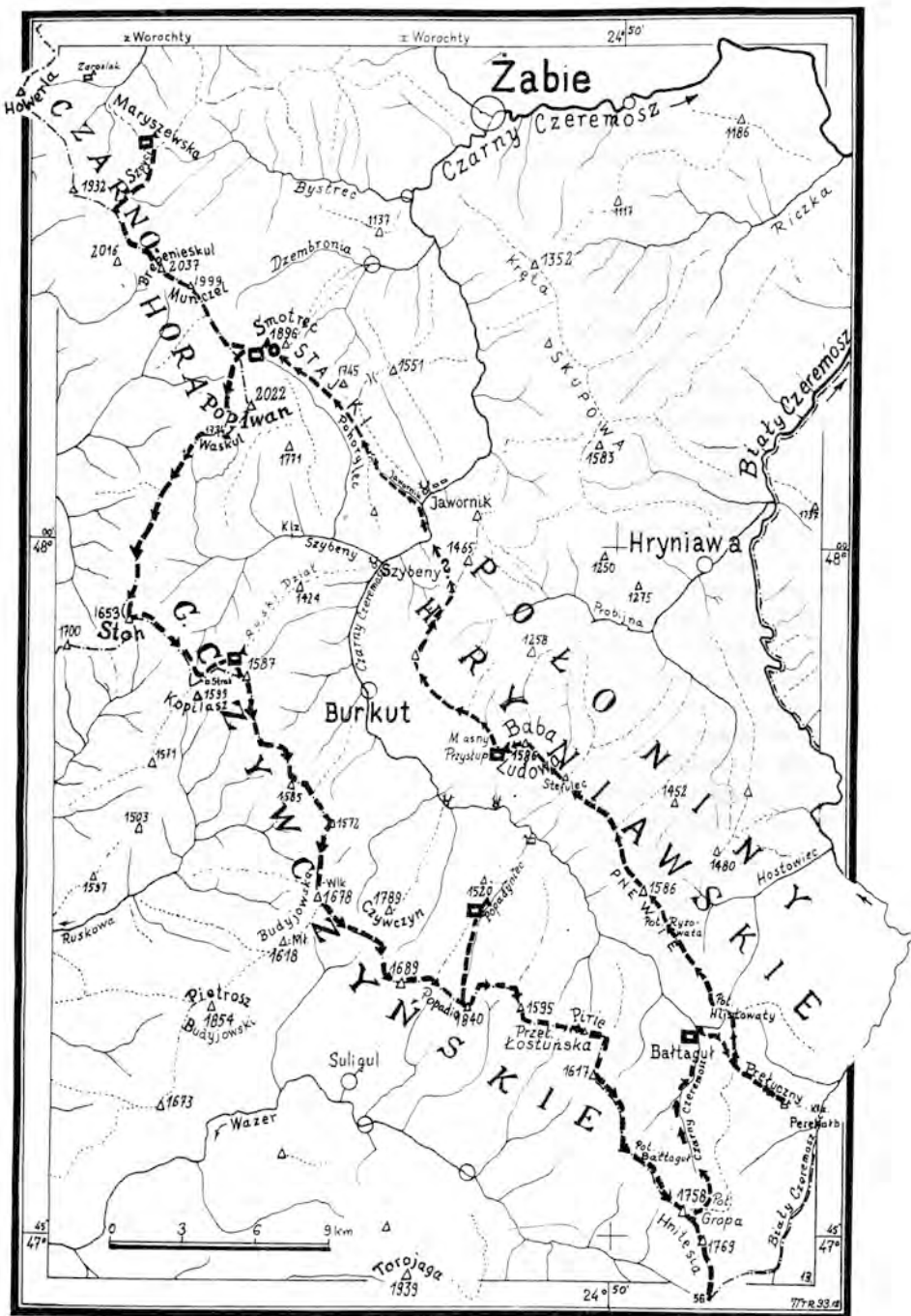
podoficer i ten podchodził do mnie pytając grzecznie, czy piszę o lokomotywach, silnikach, regulaminie, a może o mostach składanych? Wówczas zgłosiłem się do dowódcy plutonu podchorążych, por. Stachańskiego, z paczką brudnopisów. Wyjaśniłem mu, że piszę do druku na zamówienie płk. Ziętkiewicza. I od razu skończyły się dyskretne wywiady podoficerów. Przepisanie *Kurniawy* na maszynie zaproponował mi pchor. Jerzy Bichniewicz z Poznania. Za honorarium autorskie otrzymane ze „Sportu Szkolnego”, wynoszące 150 zł, sprawilem sobie letni mundur wojskowy.

Jerzy Bichniewicz, jeden z 316 oficerów „cichociemnych”, którzy w 1942 roku wylecieli z Anglii na skok do Polski, zginął w Norwegii po rozbiciu się „Halifaxa” o skały. Zginął też na Linii Maginota 20 czerwca 1940 roku inicjator opowiadania, płk Ziętkiewicz. W początkach sierpnia 1944 roku — podczas gdy ja byłem w partyzantce — wraz z kamienicą przy ulicy Filtrowej 83 w Warszawie spłonęła moja biblioteka.

W 1954 roku wysłałem *Kurniawę* na konkurs opowiadań turystycznych do miesięcznika „Turysta”. Tam ją zdyskwalifikowano, jako że nie dotyczyła obszaru PRL, lecz ZSRR. W 1956 roku zwróciło się do mnie wydawnictwo „Czytelnik” z propozycją druku *Kurniawy* w zbiorze opowiadań turystycznych nagrodzonych w konkursie „Turysty” w latach 1953–54. Postawiono jednak warunek zmiany lokalizacji rajdu na Gorce lub Sudety!... Argumentowałem, iż w PRL ukazują się często wspomnienia z Alp, Kaukazu, Andów i Himalajów, dlaczego więc Czarnohora jest wykluczona? Narciarz w Gorcach może zejść nocą w dowolnym kierunku i po godzinie, dwóch trafi do polskiej chaty. Natomiast błędzacy pod Czywczynem musi iść 40 km, aby natknąć się na ruską lub rumuńską gładę. Jeżeli mu zabraknie sił — zginie. Nieporównywalna jest egzotyka Wschodnich Karpat ze spacerkiem po Sudetach lub Gorcach. Po targach z „Czytelnikiem” uzgodniliśmy, że główny opis zacznę od Popradu, a o Czarnohorze opowiem ustami innego turysty, aby tylko przełknął nas Jego Wysokość Cenzor PRL.

Warszawa, 28 października 1992

Tadeusz Studziński



VIVANT NARTAE!

CZYLI MOJE WSPOMNIENIA CZARNOHORSKIE

*Dokąd, narciarzu, pod świerkami śmigasz,
Cóż znajdziesz w śnieżnych, nietkniętych ustroniach?*

Aleksander Rymkiewicz: *Polarna Ballada*

Czarnohora jest piękna i czarująca, ale kapryśna i nieobliczalna. Wabi nieprzepartym urokiem pierwotności, cudami dzikiej przyrody, szczerym złotem słońca, by przy lada sposobności zakpić z niedoświadczonego turysty, który znęcony ułudnym mirażem wszedł z ufnością w tajemnicze królestwo przedziwnych gór, skał, wierchów i turni. Z przepaścistych kotłów wypełzną ni stąd ni zowąd kłębowiska czarnych chmur, zgaśnie słońce, mgły przysłonią czysty widnokrąg i w twarz intruza chłaśnie porywisty wiatr z taką siłą, że trzeba się dobrze zaprzeć, by nie dać się zwalić z nóg (...).

Huraganowe wiatry biją w twarz narciarza igłami śpiącego śniegu, tarzają się w leżącej bieli, rwą leje i doły, wyszarpują niby pazurzystkami grudy ze zwartego na pozór podłoża i nimi młóć w oczy, w twarz, w usta, siekają, wtłaczają z powrotem do płuc oddech, mrozą do szpiku kości, oszraniają brwi i rzęsy. W ciągu kilku minut człowiek podobny do bałwana ze śniegu, nastroszony sopłami lodu, śmieszny, niezaradny, dziwnie mały.

Na przełęczach, kędy wichry zlewają się we wspólną gardziel, gromadzki napór wywraca narciarza lub spycha z wytkniętej drogi, znośząc na zdradzieckie nawisy albo jeszcze zdradliwsze mostki śnieżne, pod którymi czają się głębokie czeluści przepaści. Tam zawodzą na piekielnych lutniach wszystkie górskie furie, zazdrosne stróżki ścieżyn i płajów, dostępnych dla człowieka.

Czarnohora jest żądna ofiar, niby moloch nienasycony. I nieobliczalna. Raz śmieje się, jak najradośniejsza dziewczyna, to znowu wścieka się, niby stara sekutnica. Bo że giną tam setki i tysiące drzew, powywracanych wichurą, że ginie milionami życie organiczne — to sprawy powszednie, codzienne. Ale Czarnohorze i tego za mało. Ona łaknie ofiar z ludzi. W lecie napada na nich gwałtownymi burzami, razi piorunami, czyha lawinami usypisk skalnych; w zimie szerzy zęby widmo białej śmierci.

Józef Bieniasz: *Lawina idzie*

Narciarze (...) są to ludzie sprawiedliwi, chociaż manjacy. Kiedy na takiego przyjdzie czas ruji, właściwiej mówiąc sportowy okres, pełen wichrów i śniegów, taki to ci się wtedy wyrzeka i żony i kochanki i dzieciak miłych i ciepłego łóża, śnieg mu uderza na mózg (...).

Narciarstwo jest to zresztą najmoralniejszy ze sportów; w każdym innym to się zawsze jakaś zdarzy awantura, a z narciarstwem to jest tak: na śniegu nijako, bo i zimno i ślad zostaje na śniegu, a potem to człowiek przez pół dnia odmarza, a jak odmarznie, to leży jak kłoda. Nie należy nawet próbować.

Kornel Makuszyński: *Zima, śnieg, narty i.t.d.*

Minęła już epoka romantyczno-zdobywczą w ponownym odkrywaniu przez Polaków Karpat Wschodnich. Grzbietem Czarnohory wędrują niezliczone grupy turystów z Polski, w ostępach Gorganów jeśli spotkasz kogo z plecakiem, to będzie to najpewniej rodowity Polak, a ukraińscy taksówkarze zyskali dodatkowe źródło dochodów, jakim są przybysze ze znowu pańskiej — burżuazyjno-szlacheckiej Polski.¹ Urządzane są wczasy wędrowne, na których zwolennicy tej jakże miłej formy turystyki miast gonić z wierchu na wierch, pędzić od okopu do okopu i od słupka granicznego do kolczastych zasieków, by co chwila przeżywać, mówiąc oględnie, ekstazę, wołą spędzać czas na opalaniu, flirtach i zrywaniu kwiatów.² W kraju zaś zewsząd słychać skrzypienie długopisów i stukot klawiszy — to znawcy gór, którym zdaje się, że od kolebki wychowywali się na dalekiej Ukrainie, piszą przewodniki, po to przede wszystkim, by nie dać się innym wyprzedzić w tym zbożnym trudzie.

¹ G. W. Burnaszow: *Wierchowyna. Putiwnyk*, Użhorod 1986, s. 66.

² Por. *Sprawozdanie z ekskursji botanicznej Towarzystwa Karpackiego w Świdowiec i Czarnohorę — czerwiec 1991* (manuskrypt).

W poniższym wspomnieniu chciałbym opisać ostatni chyba akord, ła-
będzi śpiew tego heroicznego (przynajmniej w mniemaniu jego uczestni-
ków) okresu naszej turystyki. Tym ostatnim akordem było, jak to szumnie
określono,³ pierwsze po wojnie narciarskie przejście Czarnohory przez Po-
laków. W pracy swej sięgnąłem po dostępne mi wzorce (patrz wykaz pi-
śmiennictwa). Od arcydzieł naszych wieszczów po utwory może mniej waż-
kie i udane, żeby nie powiedzieć grafomańskie, ale za to z zaparciem publi-
kowane na łamach wydawnictw studenckich. Wbrew zwyczajom przyjętym
powszechnie przez innych przepisywaczy, podaję w przypisach źródła mo-
ich inspiracji. Siadam więc przeto przed monitorem wysłużonego „Opusa”
i wystukuję na klawiaturze moich wspomnień.⁴

* * *

Ze spływającymi od gór echami nadlatują wspomnienia przeżytych niedawno
chwil, roztaczają się widziane obrazy, niezapomniane czarem baśniowym
i grozą. A tak potężnie wryły się w pamięć, że jeszcze teraz stają w całej
kрасie słońca, śniegu, granatu dalekich gór, ciemnej zieleni lasów, błękitu,
mgieł i nocy księżycowej i gwiazdnej. Śnij się więc, zimowa legendo.⁵

* * *

Po licznych wyjazdach letnich, przedsięwziętych zwłaszcza przez Brata
Adama,⁶ po obejrzeniu przez piszącego te słowa żlebu spadającego z Gutin
Tomnatka, po długich rozmowach w górach, w stolicy i w pruskim Olszty-
nie, podczas których zastanawiano się, kto może pojechać, a kto nie, komu
się należy, kto się zasłużył, kto daje rękojmię, kto wie gdzie narty mają
przody i kto za kim stoi — Brat Adam zebrał grupę dziesięciu śmiaków.
Pakiet kontrolny stanowiła czwórka z Warszawy, prowincję reprezentowały
Lublin i Olsztyn, a dawną naszą stolicę dwaj krakowianie z Bochni. Roze-
słał Brat Adam wici po Polsce i przed ostatnią zimową pełnią stawiliśmy się
wszyscy zbrojnie wczesnym rankiem na peronie trzecim dworca kolejowego
w Przemyślu. Kogóż w naszej ekipie nie było. Partyzant, co go się żadne

³ A. Matuszczyk: XXXVI Tatrzański Rajd Narciarski PTTK. „Gościniec” 1991, nr 7, s. 3.

⁴ E. Przyjemski: *A kiedy pójdę...* Kraków 1954, s. 37.

⁵ M. Sokołowski: Po śnieżnej grani. „Wierchy” 1925, R. 3, s. 43.

⁶ Adam Kulewski — nasz duchowy przywódca, nestor polskiej turystyki akademickiej i po-
stakademickiej, autor niezliczonych, ale cennych publikacji, pracownik Instytutu Turystyki,
obdarzony brodą oraz wieloma talentami i godnościami — wszystko to razem wskazuje, że
jest niewątpliwie kolejnym wcieleniem Mieczysława Orłowicza. Zob. M. Orłowicz: *Moje
wspomnienia turystyczne*. Wrocław – Warszawa – Kraków 1970).

mrozy nie imaly, prezes Komisji Zarządu Głównego we własnej osobie, przewodnicy tatrzańscy, beskidzcy i terenowi, instruktorzy turystyki narciarskiej i PZN, przodownicy narciarscy, członkowie honorowi, Towarzysze Karpaccy, miłośnicy Ukrainy, architekt, redaktor, biznesmen, zubożały szlachcic herbu Wczele, informatyk i archeolog śródziemnomorski. Zebrał się w Przemyśle sam kwiat polskiej turystyki narciarskiej. Zaprawiony w bojach z górami i w zmaganiach z zimnem, wiatrem, mgłą, śniegiem i nartami. Niejednemu śmierć górską w oczy zaglądała, niejeden jeno swojej chyżości zawdzięczał szczęśliwe ocalenie przed lawiną. Zęby zjedli w tatrzańskich żlebach, a twarze mieli śniade od pięciostawiańskiego słońca. Wszyscy w pełnym rynsztunku (patrz aneks 1), z ogromnymi plecakami, z zadziornymi minami i wejrzaniem pełnym determinacji — toż przed nimi do spełnienia misja dziejowa, toż czeka ich posłannictwo, które albo wypełnią, albo zgina. A w górze nad peronem trzecim unosił się duch firmy Salewa.

Z woli Brata Adama w tym doborowym gronie znaleźliśmy się i my: samodzielną podgrupa operacyjna „Alaska”,⁷ którą nasz guru przeznaczył do zadań specjalnych. Przyznam się, że czuliśmy się nieszczególnie. Było nas czworo, wszyscy z prowincji, a na dodatek w połowie byliśmy kobietami. Ścisłe mówiąc w skład naszej podgrupy wchodziły dwie dziewczyny: Ala i Nina. Przy prezentacji na dworcu na posagowych obliczach starych wyjadaczy karpackich pojawiły się kpiące uśmieszki, a oczy ich zdawały się mówić: cóżeś uczynił, Bracie Adamie, powołując do tak zbożnego dzieła te dwie kruche istotki. I rzeczywiście nasza czwórka nijak nie mogła się równać z pozostałymi: kelnerka, referentka, sanitariusz i bezrobotny — w żaden sposób nie przystawaliśmy do przeznaczonej nam historycznej misji, jaką miał być, po pół wieku nieobecności, powrót polskich narciarzy w Czarnohorę.

Pierwszy, nieplanowany biwak, na który wszyscy byli zresztą doskonale przygotowani, założyliśmy na peronie już po przejściu polskiej odprawy paszportowej i kontroli celnej. Przekroczenie wschodniej granicy Polski osobom nie bywałam w szerokim świecie dostarcza mocnych wrażeń i niewątpliwie zasługuje na oddzielne upamiętnienie. Następnym pokoleniom pewnie już nie będzie dane przeżywać tej gehenny. Dla starych wyg karpackich było to jednak niczym. Z zaparciem godnym lepszej sprawy uformowali trójkąt biorąc starców i kobiety do środka i z Bratem Adamem na czele, wydającym komendy w jakimś ukraińsko-polskim narzeczu,⁸ ciężko pracowali pięściami, kolanami, stopami obutymi w buty Dynafit Tour Lite 2, także kijkami (po-

⁷ Nazwana tak od sponsorującej nas sieci barów „Alaska”.

⁸ Niewykluczone, że po łemkowsku.

ręczniejsze są składane) i nartami. Nasza zwarta, silna etc. grupa w niezupelnym milczeniu, przerywanym bowiem, jak to w boju, dosadnym słownictwem, z wolna przedzierala się przez rumuńsko-ukraińsko-polski tłum, który, skłócony między sobą, nie był w stanie nas powstrzymać.

Drzewo zazgrzyta, żelazo zadzwoni: przejście swobodne...

„Giniecie, bracia! ratuj się kto umie!”

Okrzyk przestachu rozlega się w tłumie;

Wstrząsło ścianami, zaskrzypiało dachem.⁹

Po przejściu przejścia granicznego okazało się, że pociąg z Czerniowiec jeszcze nie przyjechał i nie wiadomo, kiedy będziemy mogli wyruszyć dalej. Biwak był przeto nieunikniony. Od świata odgradzała nas siatka druciana, a powrót przez nią był niemożliwy. Z dala od cywilizacji, pośród jakże miłej dla naszych uszu mowy rumuńskiej czuliśmy się jak w Karpatach. Darek wyciągnął płachtę biwakową i zapalił maszynkę gazową, panie przygotowywały posiłek, a starszyzna naradzała się i omawiała szczegóły dalszych poczynąń. Boguś, mój przyjaciel z tatrzańskich wędrowek, zaczął wyciągać smakowite specjały pieczolowicie zapakowane przez żonę w różnej wielkości słoiczki. Dla wszystkich stało się jasne, dlaczego waga jego plecaka przekroczyła ustalone przez Brata Adama czterdzieści kilogramów. Rozłożyliśmy karamaty, wyciągnęliśmy puchowe śpiwory i mogliśmy zasnąć w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Na razie wszystko szło zgodnie z przewidywaniami. Pierwsza przeszkoda była pokonana.

— Noapte bună! Noapte bună!¹⁰

Dwie tylko osoby nie mogły zasnąć: Ala i Zbyszek. Nie dlatego żeby, Boże broń, tak we dwoje na peronie. Skądinąd niczego im nie brak. Zbyszek znany jest z tego, że epatuje narciarki swoim nagim torsem, a Ali na pewno niczego nie brakuje. Nawet wręcz przeciwnie. Zresztą Ala zawsze powtarza, że kocha swojego męża. Lecz wróćmy do naszej opowieści. Jedynie dla Ali przejście granicy było nowym i niezapomnianym przeżyciem. Dotąd, i owszem, często wyjeżdżała z Polski, ale zwykle na zachód i zazwyczaj samochodem. Dlatego też i zasnąć nie mogła. Natomiast Zbyszek, stary partyzant, nie zmrużył oczu, bowiem wziął na siebie zapewnienie nam bezpieczeństwa. Gdy inni słodko spali, on, jak zwykle czujny, mimo siarczystego mrozu przemierzał sprężystym krokiem peron w tę i z powrotem.

Niestety po dwunastogodzinnym biwaku zmuszeni byliśmy na nowo podjąć walkę. Przyjechał pociąg. Dzięki determinacji i pomocy naszej Straży

⁹ S. Goszczyński: *Zamek Kaniowski*. Warszawa 1891, s. 81.

¹⁰ *Noapte bună* – dobranoc (rum.).

Granicznej udało nam się wywalczyć po pół miejsca na osobę. Potem główne emocje (z wiadomego powodu) i mamy radzieckie stemple w paszportach. Jeszcze tylko wypełniamy deklaracje celne (Ala zapomina wpisać obrączkę, ale mówi, że męża kocha) i nareszcie jesteśmy na Ukrainie. Ogarnia nas euforia, jakbyśmy przeszli już całą Czarnohorę.

Po całonocnej jeździe wysiedliśmy w Kołomyi.¹¹ Na zwiesnę się miało.¹² Pogoda piękna, śniegu ani śladu. Po wyjściu przed dworzec i ustaleniu ceny trzy taksówki unoszą nas w dal. Za nami zostaje Kołomyja, która odtąd stała się naszym marzeniem, naszym miastem wyśnionym. W najtrudniejszych chwilach myśli o Kołomyi, o hotelu, o ciepłej wodzie, o szampanie, o restauracji „Czeremszna” pozwalały nam przełamać swoją słabość, niemoc i bóle korzonków. Za sto rubli od taksówki (pół dobrej pensji miesięcznej) docieramy do Ilci. Przed nami zaśnieżone góry. Brat Adam targuje się z taksówkarzami niczym z kulisami i za dalszych piętnaście rubli jedziemy do Bystrca, drogą po której żaden z polskich taksówkarzy na pewno by nie pojechał.

W dole szumiął Czeremosz. Woda w Czeremoszu gnała rwąca i porywista. Pędziła z chlupotem, biła o kamienie spienionymi falami, to znów miejscami gotowała się i kłębiła, rozbijając na hukach w drobne krople, przyskające w twarz wędrowcom. Woda sina, aż czarna. Czysta jak łza dziecka. Widać było na dnie każdy kamyczek.¹³ Skręciliśmy w boczną dolinę i oto dojeżdżamy do Bystrca. Jesteśmy w samym sercu Czarnohory. Uradowani taksówkarze chętnie powieźliby dalej naszą gromadkę, ale nas czeka podejście do chaty znajomych Huculów. Przed wymarszem pierwsze ognisko i pamiątkowe zdjęcia. Jestem odpowiedzialny za dokumentację fotograficzną. Przecież Brat Adam musi po wyprawie jeździć po Polsce i pokazywać przezrocza. Wyjmuję więc aparaty, w tym mój erotyczny Chinon z wysuwanym obiektywem (patrz aneks 1), i fotografuję zawzięcie. Nie wiadomo, czy potem, w skrajnie ciężkich warunkach, będę w stanie robić zdjęcia, nie wiadomo, czy nie zawiedzie przeciążony sprzęt, nie wiadomo, czy wszyscy przeżyjemy. A tutaj tak ładnie i czy nie warto mieć fotki z Prezesem?

Wreszcie wymarsz. Pierwsze podejście. Nurzamy się w błocie i często przystajemy, udając, że podziwiamy panoramę Czarnohory. W drodze sprawdzamy też nasze radiotelefony. Niestety, nic dobrego o nich nie można po-

¹¹ Zob. L. Wajgel: *Rys miasta Kołomyi*. Kołomyja 1877.

¹² W. S. Reymont: *Chłopi*. Warszawa 1970, T. 2, s. 242.

¹³ J. M. Rytard: *Echo Starowiecza*. [W:] tenże: *Na wielkiej grani. Wniebowstąpienie*. Warszawa 1959, s. 131.

wiedzieć. Nareszcie docieramy do chaty¹⁴ poznanego w ubiegłym roku Wasyla Mikołajowicza. U niego wszystko po staremu. Żona ta sama, a w kołchozie roboty jak nie było, tak nie ma. Wasylowe dzieci: mały Wasylko i Łesia, dostają „żuwaczkę”. Tęsknota nas chwyta za serca. Toż i my mamy takie drobinki, a moja młodsza córeczka też nazywa się Łesia. Czy was jeszcze kiedy zobaczymy?

Jednakowoż Brat Adam nie daje nam się roztkliwiać. Jesteśmy na poważnej ekspedycji, wygania więc wszystkich na spacer na Kosaryszcze. Zaopatrzeni w lornetkę marki Tasco ze zmienną ogniskową (patrz aneks 1) idą zlustrować stan zaśnieżenia w kotłach i żlebach.¹⁵ Moja podgrupa „Alaska” pod pretekstem sprawdzenia sprzętu udaje się na półko. Dzięki wiązaniom Silvretta (patrz j.w.) możemy ćwiczyć telemarki.¹⁶ Ala przechodzi samą siebie. Udało jej się wykonać telemark z przykłękami na obu kolanach naraz.

A wieczorem przy symbolicznym kieliszku bratamy się z Hucułami.¹⁷ Brat Adam tęsknie szarpie struny gitary, Paweł nie mniej tęsknie zawodzi kozackie dumki i pieśni z nowszego i bardziej bojowego repertuaru naszych braci w Słowiańszczyźnie, a Wasylina (ach te ogniste Hucułki¹⁸) podaje wieczernę. Lecz dość tych przyjemności. Trzeba iść spać, a jutro w góry!

Nazajutrz, wyjątkowo ze względu na wyczerpujące przeżycia ubiegłych dni, Brat Adam pozwolił nam nieco dłużej pospać. Po szybkim śniadaniu wyszliśmy bez obciążenia i niebawem znaleźliśmy się w dolinie Dzembroni. Można tam było założyć narty i podchodzić na fokach¹⁹ (patrz aneks 1). Wstąpiła w nas cisza boru²⁰ i spokój. Potężne świerki dźwigały na gałęziach śnieg zda się jak puch lekki, a jednak widziałem aż do ziemi ugięte potężne konary. Uderzałem w nie kijem — wtedy sywały się cicho duże płaty i znikwały w podłożu bez śladu. A czasem zrywała się zamieć i szły przez las tumany śniegu, rozbijały się o pnie, pędziły dalej wściekle, otrząpywały

¹⁴ J. Żukowski: Huculszczyzna. Przyczynki do badań nad budownictwem ludowym. *Biuletyn historii sztuki i kultury* 1934–1935, nr 3, z. 3, s. 273–310. — *Huculszczyzna. Istoriko-etnograficzne doslidżennia*. Kyjiv 1987.

¹⁵ Żleb — rozpadlina między wierzchami lub skałami, węższa zowie się rynną, bardziej stroma kominem.

¹⁶ *Telemark* — rodzaj skrętu narciarskiego.

¹⁷ S. Witwicki: *O Huculach. Rys historyczny*. Lwów 1860. — Tenże: Hucuły. „*Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego*” 1876, nr 1, cz. 2, ss. 73–86. — L. Wajgel: *O Huculach*. Zarys etnograficzny. „*Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego*” 1887, nr 11, ss. 49–86. — H. Gąsiorowski: *Przewodnik po Beskidach Wschodnich*. T. 2: Pasma Czarnohorskie, s. 151 i n.

¹⁸ Zob. H. Gąsiorowski: *Uwagi o rozmieszczeniu siedzib huculskich*. „*Wierchy*” 1926, nr 4, s. 89 i n.

¹⁹ *Foki* — pasy ze skóry foczej przyklejane do spodów nart mające ułatwiać podchodzenie.

²⁰ Zob. H. Strzelecki: *Lasy i leśnictwo w Galicji*. Lwów 1900.

drzewa z śniegu i gdzieś w dole ginęły. Znowu cisza kołta chwilowy niepokój, ale rozpięte gałęzie chwiały się jeszcze długo. Przejęci tą ciszą szliśmy unikając głośniejszych słów, aby nie budzić puszczy utulonej snem. Nigdzie nie widać śladu człowieka, tylko lekkie stopy zwierząt zostawiły długie ścieżki wijące się wśród drzew.²¹ Wyżej, po męczącym przedzieraniu się przez gęsty las i tu i ówdzie pojawiającą się kosodrzewinę *Pinus mugo Turra*,²² natrafiamy wreszcie na płaj²³ oraz huculską staję²⁴ i wiemy już, że przyjdziemy tu jutro z całym bagażem. Potem strome podejście na fokach i wchodzimy na grzbiet Stepanca. Idziemy w górę z radością w piersi, narty ślizgają się bez szelestu po nie zmaconych wichrem puchach śnieżnych.²⁵ Przed nami Munczel (1999 m). Wzruszenie ściska nam gardła, gdy przewijamy się między turniczkami²⁶ i zbliżamy do szczytu. Czegóż potrzeba narciarzowi więcej? Wspaniałe, zaśnieżone góry, przyjaciele, na których można polegać, niczego sobie towarzyski, foki Salewa, buty Dynafit, połyskujące w słońcu narty Kästle (patrz aneks 1). Cóż za idealna symbioza natury i dokonani myśli i rąk ludzkich!

Raptem zrywa się wiatr. To szczyt! Nasz pierwszy szczyt czarnohorski zimą.

Czarnohora przytłoczyła nas swym ogromem.²⁷ Ogarnia nas uniesienie. Nie da się tego opisać. Cóż to jest, o góry, ta dziwna potęga przywiązana do was? Owa tajemnica, która was uświęca najświętszymi chwilami życia ludzkości? Skąd to jest? Dlaczego to jest? Tajemnica ta musi kryć się w owej waszej części, której zmysłami dotknąć nie możemy, w jakimś czuciu zapelniającym wasze piersi nie zbadane narzędziami zmysłowymi. W końcu postrzegamy, że stoimy duchem w obliczu nieba. Cóż to jest, o góry, owa władza, którą wprowadzacie w stan podobny?²⁸ Cóż to za rozkosz, patrzeć po raz pierwszy na śnieżnobiałych olbrzymów oblicza. Cóż to za rozkosz, gdy dusza ulata, a poświst wichru gra symfonię szczytów.²⁹ To tu można znaleźć

²¹ S. Dębicki: Na nartach. „Wierchy” 1924, R. 2, s. 87.

²² *Flora Europaea*. Vol. 1, Cambridge 1964, s. 34.

²³ Płaj — droga do konnej jazdy.

²⁴ Staja — szalas pasterski.

²⁵ R. Kordys: Jak „odkryliśmy” Sławsko? „Wierchy” 1923, R. 1, s. 206.

²⁶ Turniczka — mała turnia. Turnia — urwisty szczyt skalny lub skała.

²⁷ A. Wielocha: Sprawozdanie z wycieczki w Gorgany i Czarnohorę odbytej w sierpniu 1989 roku. [W:] *Płaj 3*, Warszawa 1990, s. 71.

²⁸ S. Goszczyński: *Dziennik podróży do Tatrów*. Petersburg 1853.

²⁹ R. Kordys: Przez siedm gór i przez siedm dolin — na nartach. „Wierchy” 1929, R. 7, s. 105.

pociechę przeciw odmienności, przeciw niesprawiedliwości, przeciw urazie, przeciw cierpieniu, przeciw wszystkim niedolom miłowania!...³⁰

Lecz nie możemy tu, na szczycie naszych ziszczonych marzeń, popasać za długo. Już słońce zniża się ku zachodowi,³¹ już doliny jęły się mglić,³² już śnieg pokrywa zdradliwa szreń.³³ Pośpiesznie odklejamy foki, przelękamy czekoladę i kandyzowane figi *Ficus carica* L.³⁴ i prosto z wierzchołka zjeżdżamy w kocioł Dzembroni. Stawkę narciarzy zamyka Darek. Kilkanaście sekund pędzimy na dół z zawrotną chyżością.³⁵ Im niżej, tym gorszy śnieg, tym częściej załamuje się pod nami. Jednak musimy się śpieszyć, by przed nocą zdążyć do ścieżki. Chyżo niosą nas narty, tylko dwie głębokie bruzdy znaczą ślad, kędyśmy przemknęli.³⁶ Mijamy znajomą staję. Jutro wrócimy tu, by stąd wyruszyć na przejście głównego grzbietu Czarnohory. Jeszcze trochę marszu przy księżycu i znowu stajemy w Wasylowej chacie.

Następny dzień był wielce prozaiczny. Wypełniło go podejście, znaną nam już drogą, do szałasu w dolinie Dzembroni. Pot zalewa oczy, a plecak (patrz aneks 1) zdaje się być coraz cięższy. Bór poza nami, bór w prawo i w lewo, przed nami, w górze, w dole, wszędzie. Minuty, kwadranse, godziny, lata, wieki... raz... dwa... Posuwamy się miarowym rytmem w milczeniu głuchem — bez myśli i uczucia, bez woli nawet — instynktem pędzeni naprzód. Automatycznie kurczą się i prężą mdlejące ścięgna nóg. Automatycznie dźwigają się ręce. Automatycznie biją w śnieg krążki kijów. Ani strzępu myśli, ani drgnienia uczucia. Można by chyba wieki tak iść. Szum w uszach, sine kręgi w oczach. Bez końca. Ciągłe. Bezustannie. Godziny. Lata. Wieki. Runąć w zasy. W puchy się zwalić miękkie. W biel przepastną. Śnieg wabi i kusi i nęci. Ciągnie ku sobie siłą nieprzepartą...³⁷

Nasze dwa damskie rodzyнки³⁸ pomagały mi nieść mój bagaż, bo jeszcze niezupełnie wydobrzałem po ataku korzonków, jaki chwycił mnie w naszej wyśnionej Kołomyi podczas ładowania plecaków do taksówek. Żeby sprawa była zupełnie jasna, to dodam, że niezależnie od płci dźwigaliśmy po równo.

³⁰ J. Bédier: *Tristan i Izolda*. Warszawa 1989, s. 135.

³¹ E. Strumpf: *Obrazy Kaukazu*. Warszawa 1900, s. 107.

³² W. Orkan (wł. F. Smreczyński): *Drzewiej*. Kraków 1912, s. 104.

³³ *Szreń* — lodowa, chropawa warstwicą na masach śniegów, powstała wskutek operacji słonecznej w dzień, a mrozu nocą.

³⁴ *Flora Europaea*, op.cit., vol. 1, s. 67.

³⁵ K. Sayssse-Tobiczyk: *W śniegach*. Warszawa 1921, s. 103.

³⁶ M. Karłowicz: Wśród śniegów tatrzańskich. „*Słowo Polskie*” 1908, 7 lutego.

³⁷ Sayssse-Tobiczyk, op.cit., ss. 121–123.

³⁸ A. Montusiewicz et al.: Z wędrówki po Beskidach Wschodnich. [W:] *Plaj 3*, Warszawa 1990, s. 42.

W zamian za to dziewczyny spały między mężczyznami i mogły myć się pierwsze. Ala zadziwiła chłopców w Warszawy tego dnia raz jeszcze. Gdy w szałasie obaj z Darkiem leżeliśmy przy ogniu, a panie krzątały się przy kolacji, na pytanie, dlaczego tak dają się wykorzystywać, odpowiedziała:

— Ależ kochany Adasiu, myśmy tu przyjechały dźwigać i gotować.

— I torować — dodała przytomnie Ninka.

A jak się okazało, na korzonki najlepiej robi narciarskie przejście Czarohory. Jeśli ty przejdiesz, to i ból przejdzie na pewno.

Cisza nakażna wisiała od tarczy księżycy aż do ziemi,³⁹ gdyśmy się układowali na pachnącej cetynie. W nocy miałem sny narciarsko-klerykalne. Śniła mi się jakaś szalona postać na nartach w rozwianej sutannie i z rozwichrzoną brodą. Oblicze jej zmieniało się nieustannie. To przypominało Brata Adama, to legendarnego narciarza, nieustraszonego i szybkiego jak wiatr halny Jasia Cytawę razem z czwórką dzieci.⁴⁰ Osobnik ów zahamował przede mną klasycznym telemarkiem, a następnie nie odpinając długich drewnianych nart z wiązaniami Huitfelda,⁴¹ takich samych, jakie stoją w moim mieszkaniu, rzucił się na mnie, przygwoździł do śniegu i klęcząc na mojej piersi pochylał się nade mną szepcząc chrapliwie: „Sam tego chciałeś, sam tego chciałeś, a od mojej żony wara!”⁴² I nie dziwota, że taki koszmar mnie męczył. Nazajutrz mieliśmy iść na Popa Iwana.

Dzień piąty. Po misternym spakowaniu plecaków — jako że wiktuałów nam jeszcze wiele nie ubyto — wyruszyliśmy w górę doliny. Grupa zasadnicza wybrała się na lekko, by szybko wejść na grzbiet i posuwając się wzdłuż dawnej granicy polsko-czechosłowackiej osiągnąć Popa Iwana i wrócić do szałasów. Następnego dnia mieli przejść przez Brebenieskuł do Gadżyny i podążać dalej w stronę Howerli. My natomiast, to znaczy podgrupa „Alaska”, szliśmy na nocleg w ruinach obserwatorium. Od tej pory praktycznie poruszaliśmy się oddzielnie, jedynie z dala obserwując swoje poczynania. Podział naszej ekipy nie tylko zwiększał szansę odniesienia końcowego sukcesu, ale i umożliwiał komfortowe noclegi w szałasach, które są zazwyczaj za małe dla dziesięciu osób. Początkowo drużyna Adasiowa posuwała się pierwsza, a potem na czoło wysunęła się nasza „Alaska”. Niestety zawiodły radiotelefony i pozbawieni byliśmy możliwości wymiany informacji. Raz tylko udało się Darkowi nawiązać łączność z Bogusem, ale było to jeszcze w Wasylowej

³⁹ Orkan, *op.cit.*, s. 62.

⁴⁰ Justyna, Leszek, Jędrzej i Krzysztof.

⁴¹ L. Leszko: *Ewolucja sprzętu narciarskiego*. [W:] G. Młodzikowski, J. Z. Ziemliński (red.): *Narciarstwo. Zarys encyklopedyczny*. Warszawa 1957, s. 86.

⁴² Zob. (anon.): *Panna Beskidzka*. [W:] *Poloniny. Śpiewnik turystyczny*. Warszawa 1985, s. 4.

chacie, kiedy zmuszony był, jak to się enigmatycznie określa, udać się na stronę. Ale cóż, ani sprawa nie była zbyt istotna, przynajmniej dla pozostałych, ani odległość zbyt wielka.

Wydaje się, że taki model zwiedzania Czarnohory zimą, jaki przyjęliśmy, jest ze wszech miar godny polecenia. Oczywiście warunkiem jest posiadanie sprawnych radiotelefonów, tak by dwa samodzielne zespoły poruszające się niedaleko od siebie i będące w zasięgu łączności radiotelefonicznej, mogły w każdej chwili przyjść sobie z pomocą. To nie czasy międzywojenne, kiedy w Czarnohorze funkcjonowały schroniska, na pomoc tamtejszej kontrolno-spasitelnej służby nie można za bardzo liczyć. Każda, nawet z pozoru niegroźna kontuzja może pociągnąć za sobą konieczność organizacji poważnej i długotrwałej akcji ratunkowej i to tylko własnymi siłami.

Jakkolwiek podział grupy dowiódł po raz kolejny przenikliwości i mądrości Brata Adama, to w dalszym ciągu będę mógł opisywać tylko przeżycia podgrupy „Alaska”. Miejmy nadzieję, że i któryś z Kolegów przeleje na papier swoje wspomnienia i obserwacje.

Ale wróćmy do naszej opowieści. Na Popa Iwana (2022 m) podchodzimy w chmurach. Fale ich poruszane wiatrem, mkną szybko przed nami, to znów się kłębią, wirują i jakby tumanami zimnego rozpylonego kurzu obrzucają nas dookoła, to znów uciszone, spokojne, spowijają w pieluchy grubej, eterycznej przejrzystej mgły,⁴³ która się rozcieńcza, rozpyla, zaledwo gdzieś wśród szarawej bieli migocze, prześwieca pasmami nieco jaśniejszymi, osiada na naszych ubraniach, wciska się i wsiąka w ciało wszystkimi jego porami.⁴⁴

Dla nas najistotniejsze było wszakże to, by nie ześlizgnąć się ani w dolinę Pohorylca, ani w dolinę Balzatula. Na dodatek musiałem przyspieszyć, by uwiecznić na kliszy grupę w ruinach. Już od przełęczy pod Smotrcem wyraźnie zwiększyłem tempo, by dogonić czołówkę, która co prawda posuwała się dłuższą drogą, ale zebrała się wcześniej (no cóż, chłopcy nie musieli robić się na bóstwa) i szła na lekko. Cały czas czułem na plecach, a raczej na mojej Salewie (patrz aneks 1) gorący oddech Ali, która tempem podejścia w pełnym obciążeniu raz jeszcze zadziwiła naszych kolegów. To procentował nasz miesięczny trening na stokach Niskich Tatr i tysiące kilometrów przejechanych przez Alę na rowerach razem z Jurkiem, jej mężem. Ale czego się nie robi, by zaimponować mężczyznom. Nawet jeździ z własnym mężem.

⁴³ Mgła górską, mgławicą, mgławisko, mraka (wyrażenie górali karpackich) stanowi jedno z najzdradliwszych niebezpieczeństw dla turysty wysokogórskiego.

⁴⁴ J. Grzegorzewski: Pierwsza wyprawa zimowa przez Zawrat do Morskiego Oka. *Almanach Tatrzański. Rocznik Tatrzaństwa 1894/1895*, cz. 2, s. 89.

Na Popie Iwanie zapomnieliśmy o wysiłku. Ośnieżone ruiny obserwatorium⁴⁵ wyglądały przepięknie. Czuliśmy się jak w Karkonoszach.⁴⁶ Największe wrażenie robił, jak zwykle, strzaskany orzeł.⁴⁷ Ustawiliśmy się przed wejściem. Nasze brody pokrywały się szronem.⁴⁸ A potem słysząc było tylko trzask migawek i jak zawsze podniecający odgłos pracy silniczka wysuwającego lubieżnie obiektyw aparatu marki Chinon. Zbyszek trzymał flagę PTTK ze stosownym napisem, na której po całej naszej eskapadzie złożyliśmy podpisy, po to by następnie Bogusiowa żona mogła je wyhaftować, a flaga po wsze czasy spocząć w muzeum turystyki. Nad ruinami unosiła się Towarzystwo Karpacka.

Ale nic, co miłe, nie trwa wiecznie. Nastąpiły czule pożegnania i chłopcy jadąc za Zbyskiem zniknęli we mgle. Bystra Ninka dojrzała jeszcze, jak Redaktor skracając sobie drogę grawitował w kierunku dna doliny Pohorylca, i zostaliśmy samoczwart.

Była najwyższa pora, by zająć się przygotowaniami do biwaku. Miejsce wybraliśmy na piętrze obok wieży. Nie było, jak się okazało, najlepiej osłonięte, ale za to przy planowanej poprawie pogody spodziewaliśmy się mieć zeń wspaniałe widoki. Dzięki dużej ilości śniegu wchodziło się bez kłopotu przez okno. Ja z kobietami przygotowywałem platformę do spania,⁴⁹ odgarniając ochoczo śnieg — zawsze interesowały mnie sprawy łóżkowe, a Darek rozpałał ogień, porąbawszy uprzednio niezwykle namokniętą naszą polską, dębową klepkę. No cóż nie czas żałować róż, gdy życie wisi na włosku. Obaj udawaliśmy, że nie widzimy jak trochę z takim trudem pozyskanej wody podbierają nam dziewczęta w sobie tylko znanym celu. Dotąd uważałem, że nocleg w górach, a już szczególnie zimą, jest po to, by móc zregenerować siły i niezależnie od warunków wypocząć. Tym razem jednak noc zapowiadała się upojnie. Czegóż można było chcieć więcej. Dwie prawdziwe, zlaknione ciepła kobiety, puchowe śpiwory, niebotyczne góry, prawdziwe ruiny, zimowa podróż, zimowa mgła⁵⁰ i my zagubieni w czasie i przestrzeni, i żadnych ko-

⁴⁵ Zob. J. M. Kreiner: Dzieje obserwatorium meteorologiczno-astronomicznego na Popie Iwanie, „*Urania*” 1989, nr 60, z. 4, ss. 98–108.

⁴⁶ Por. H. Reunier: Höhe und Andauer der Schneedecke im Reisengebirge. „*Meteorologische Zeitschrift*” 1935, 52, 3.

⁴⁷ „Płaskorzeźbę stylizowanego orła zdobiącą wejście do obserwatorium przecinają głębokie ślady po pociskach. Dziś już nikt nie odgadnie, jakiej armii żołnierz je wystrzelił — radzieckiej, węgierskiej czy niemieckiej, a może podziemnej, ukraińskiej?” (Wielocha, op.cit., s. 73).

⁴⁸ A. Berman: *Wśród żywiołów*. Warszawa 1988, s. 77.

⁴⁹ Por. J. Pavlíček: *Člověk v drsné přírodě*. Praha 1989.

⁵⁰ E. Gaworska: Zimowa podróż. [W:] *Śpiewajmy razem*. Świdnik 1981, s. 23.

szmarów, a nawet wręcz przeciwnie. I żadnego popa Iwana, ani jego żony. Bo i po co. Spałem na Popie Iwanie i wiosną, i latem, i jesienią, lecz takiej nocy nigdy nie dane mi było przeżyć. Ale spuśćmy zasłonę milczenia i posuwajmy się dalej.

Dzień szósty. Nad ranem zerwał się straszny wiatr.

— Dajcie termometr! — krzyknę w szalonym szamotaniu się ducha.⁵¹

Chociaż instrument wskazywał tylko minus dwanaście stopni, to czuliśmy się, jakbyśmy byli na czterdziestostopniowym mrozie.⁵² Hartu ducha wymagało rozpalenie maszynki — wypadło na Darka jako na najmłodszego. Hartu ducha wymagało też wypełnienie ze śpiwora. Wreszcie wychodzimy na pole. Trud rannego wstania opłacił się sownicie. Promienie słońca niby złote groty rażą przywykłe do mroków oczy. Zdaje mi się, że śnię. Na tle najpiękniejszego, najczystszejgo lazuru, widzę wokół siebie niebotyczne a masywne szczyty, przełęcz, łańcuchy całe wirchów i turni.⁵³ We wszystkie strony świata rozpościerała się panorama, jaką rzadko można zobaczyć.

— Nie patrz na mnie, lecz patrzaj, gdzie ja palcem wskażę.⁵⁴

— Tam Alpy Rodniańskie, z których przed kilkunastu laty spoglądałem po raz pierwszy na Czarnohorę i na te ruiny na Popie Iwanie. Bliżej Karpaty Marmaroskie. Ileż wspomnień związanych z nimi. To tam na tym odludziu, Ewa, moja aktualna żona, przeraziwszy się dzikich niedźwiedzi i nie mniej dzikich pasterzy, nie wiedząc co czyni, niebacznie obiecała mi swoją rękę. To tam wędrowałem z prawdziwym synem prawdziwego ministra. Po lewej niepozorny z tej strony Czywczyn (1769 m), spod którego patrzyłem na północ.⁵⁵ A dalej Ineul (2279 m). Tam po raz pierwszy oglądałem ze wzruszeniem żółte maki nazwane przez Zapalowicza Koroną Świętego Stefana (*Papaver corona-sancti-stephani Zapal.*).⁵⁶ Obok Gargalău (2159 m). U jego stóp z tajemniczego jeziora wypływa Złota Bystrzyca, tak bliska wszystkim, co ukochali piękną i gościnną ziemię mołdawską. Za nim chowa się Omul (2134 m), pod którym znalazłem niespodzianie niewielką i niezmiernie rzadką, bo rosnącą tylko w Górach Rodniańskich firletkę śnieżną *Lychnis nivalis* Kit. in *Schultes* (*Polyschemone nivalis* Schott, *Nym. et Kot-*

⁵¹ Grzegorzewski, op.cit., s. 79.

⁵² Zob. tabelę w ewangelii każdego narciarza wysokogórskiego (M. Rebajn: *Narciarstwo wysokogórskie*. b.m. 1990, s. 61.

⁵³ M. Sokołowski: W Abruzzach. „*Narciarstwo Polskie*” 1927, nr 2, s. 132.

⁵⁴ J. Słowacki: Kordian. [W:] tenże: *Dramaty. Wybór*. T. 1, Warszawa 1976, s. 82.

⁵⁵ Zob. (anon.): Panna Beskidzka 2. [W:] *Śpiewajmy razem*, op.cit., s. 17.

⁵⁶ H. Zapalowicz: Krytyczny przegląd roślinności Galicyi. Cz. XXII. *Rozpr. Wýdz. Mat. Przyr.* PAU (Biol.) 1911, ser. 3, 11B, s. 444–446. — *Flora Europaea*, op.cit., vol. 1, s. 250.

chy, *Silene nivalis* (Kit.) Rohrb.).⁵⁷ A jeszcze Toroiaga (1939 m), Pietrosul (2303 m), Mihailecul (1920 m), Farcăul (1961 m)... — dla wielu egzotycznie brzmiące nazwy, dla mnie góry mojej młodości, a z każdą z nich związane są wspomnienia. Na usta cisną się słowa wieszczka:

Gdy luty mnie oduje wiatr
I głowę śnieg okurzy,
Przyciągnę rzemień w kostkach stóp
Świadom — że czas podróży.
Tam na najwyższy wejść szczyt
I pojrzę w okrąg siny,
Na dziki kierdel moich gór,
Na złotą dal dziedziny...
Na błękit nieba — światło nic —
Na białych chmur rozwieje,
Na słońce, co się z jasnych nieb
Cichemu światu śmieje.
I zejmę z siebie ciężki pas,
I legnę w jarkiem słońcu...
A potem pozwę k'sobie śmierć,
Na dnia białego końca.⁵⁸

Ale nam jeszcze nie czas odchodzić na gór tamtą stronę.⁵⁹ Aparaty fotograficzne pracują jak szalone, dziewczyny jak opętane obiegają po dwakroć obserwatorium ciesząc się młodością, mrozem i widokami.

Po śniadaniu, odziani w niemal wszystko co mamy, rozpoczynamy zjazd w linii spadku wierzchołka w dolinę Pohorylca. Na północnym, nie dotkniętym promieniami słońca stoku góry śnieg jest jak wymarzony: zda się wprost, że wystarczy pomyśleć, a narty same słuchają rozkazu narciarza. Łuki, skręty, węże — łączą się z bajeczną łatwością w jedną nieprzerwaną linię zjazdu. Pęd nart upaja nas, zuchwale rzucamy się wprost w dół.⁶⁰ Dusze narciarskie się radują — śnieg, śnieg i jaki pyszny!⁶¹ Z każdą chwilą w miarę obniżania robi się coraz cieplej. Stajemy i ściągamy kolejne warstwy ubrania.

⁵⁷ A. Beldie: *Flora României*. Vol. 1, București 1977, s. 135. — *Flora Europaea*, op.cit., vol. 1, s. 157.

⁵⁸ J.B.K. (wł. J. G. Pawlikowski): *Gdy luty mnie oduje wiatr...* „*Wierchy*” 1923, R. 1, ss. 192–193.

⁵⁹ Przyjemski, op.cit., s. 49.

⁶⁰ Kordys, Jak „odkryliśmy” Sławsko?, op.cit., s. 209.

⁶¹ H. Jabłczyńska: Dwa tygodnie w Gorganach i Czarnohorze. „*Narciarstwo Polskie*” 1927, nr 2, s. 126.

Darek paradyżujący tylko w kalesonach pozuje dziewczętom do zdjęć. Dobrze, że ma wyrozumiałą żonę.

Zjeżdżamy na dno doliny i zatrzymujemy się na dłuższy popas. Dokopujemy się do wody w potoku. Pierwsza to i ostatnia woda bieżąca w Czarnohorze. Przez cały czas pobytu w górach byliśmy zdani jedynie na topienie wody ze śniegu. A Nina i Ala miały nań duże zapotrzebowanie. Palimy ognisko — Darek jak zwykle jest niezawodny i rąbie zaciekle puszcę karpacką. Leżymy, opalamy się, dziewczęta gotują kolejne kociołki kompotu z suszu. Nareszcie mogliśmy pić, ile tylko dusza, a raczej ciało zapragnęło. Było ciepło jak w lecie. Leżąc na wznak w puchu śniegów patrzyliśmy na białe obłoczki, które wypłynęły na niebo. Świat był taki piękny i tak samo jasno i radośnie było w duszach naszych.⁶² Tak to mile mijał nam kolejny dzień naszej eskapady.

Zachrzęścili znów narty — idziemy.⁶³ Rozciągamy się w długi wąż. Każdy posuwa się swoim tempem. Ale niestety nie dane nam było zaznać spokoju tego popołudnia. Najpierw na tle ciemnognatowego nieba dojrzałem dwie sylwetki narciarzy, które oderwały się od ruin obserwatorium i poczęły zjeżdżać granią na północ. Pełen obaw o los naszego niezwykle cennego sprzętu — jeden plecak (patrz aneks I) kosztuje blisko trzysta dolarów, a wiem, co to jest trzysta dolarów dla bezrobotnego — rzuciłem się biegiem pod górę. Niech będą błogosławione wiazania Silvretta, foki Salewa i buty Dynafit (patrz j.w.). To dzięki nim i dzięki treningowi w Niskich Tatrach moje niemłode już przecież ciało zdołało wspiać się na wyżyny i przeciąć drogę dwóm nieznanym. Na szczęście okazali się być sympatycznymi Rosjanami znad Donu, którzy na lekko wybrali się na Popa Iwana. Trzeci, co nie wytrzymał był trudów podejścia, oczekiwał ich nieopodal na Pohanem Miscu. Po krótkiej rozmowie w ogólnostowiańskim języku i wymianie adresów w celu wzajemnego przysyłania zaproszeń, nasze drogi rozeszły się. Bracia Rosjanie bystro podążyli do Bystrca, a dla nas rozpoczęła się prawdziwa gehenna. To działać zaczęła niezwykła mikstura, jaką uprzednio niebacznie spożyliśmy, a w której skład wchodziły między innymi skondensowane mleko i kwas cytrynowy. Nim osiągnęliśmy zbawcze ruiny, gdzie każdy mógł ukryć się przed wiatrem, zmuszeni byliśmy, nie bacząc na lodowate podmuchy, przystawać co chwila. A z każdym przystankiem ubywało w naszym organizmie płynów i nie tylko płynów. Gdy doszliśmy na górę, byliśmy już tak odwodnieni, że nie pozostało nam nic innego, jak zabrać się do topienia kolejnych porcji śniegu.

⁶² Kordys, op.cit., s. 208.

⁶³ M. Zaruski: Przygoda z lawiną pod Polskim Grzebieniem. „Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego” 1909, nr 30, ss. 16–22.

Po drugiej nocy powyżej 2000 m n.p.m. wypoczęci, jakkolwiek mający wciąż przed oczyma wczorajsze zmagania się z własną słabością, zerwaliśmy się o świcie. Nad graniami chichotało, wyło, gwizdało bezustannie. Rozbestwiony żywioł zawodził jakieś dziwaczne melodie, jakby wydmuchiwane na potężnych, rozstrojonych organach. Wszystkie czarnohorskie furie wydały sobie na tym miejscu spotkanie i mknąc z rozwianymi włosami, tłoczyły się, popychały, wyprawiały piekielny zgiełk. Powietrzna powódź huczała, przewalała się poprzez szczyty, a napotkawszy w rozpędzie harde, nieustępliwe skały — szalała z gniewu.⁶⁴

Oczom naszym ukazało się czarowne widowisko.⁶⁵ To nic, że mróz. To nic, że prąd lodowatego powietrza — ten palący oddech wschodu⁶⁶ — nie pozwala nam ustać. Na horyzoncie sponad łańcuchów gór wstawało słońce.

Linia świetlanych krańców ponad nami jęła się staczać w doły coraz szybciej, oplomieniając słoneczną pożogą coraz to niższe warstwy widnokręgu. Błyszczące fale złocistego światła leciały ku nam po ziskrzonych śniegach od szczytów kędyś...

Jeszcze chwila...

I oto sponad dalekich szczytów wyrzucił nagle olbrzymi krąg słońca. Jak rażone gromem pierzchyły w ostępy przepaścistych dolin sine półmroki, seledyny ranne, srebrne refleksy mgławicznych oparów, liliowe cienie wydym. Pustynia śnieżna oszalała orgią miliardów skier słonecznych. Zmrużyliśmy oczy ośleple żarem spłomienionych śniegów i szepcąc w ekstazie najczystszego czucia słowa modlitwy ziemskiej.⁶⁷

*Chwalcie Pana pośród ziemi,
I morskie potwory, i wszystkie głębie.
Ogień i grad, śnieg i mgła,
Wiatr gwałtowny, wykonawca jego rozkazu.
Chwalcie Go, słońce i księżycu.
Chwalcie Go wszystkie gwiazdy jasne.
Góry i wszystkie pagórki.
Albowiem On jest Bogiem naszym,
W którego rękę są głębiny ziemi
A szczyty gór Jego są.*⁶⁸

⁶⁴ J. Bieniasz: *Lawina idzie*, s. 88.

⁶⁵ Por. M. Steczkowska: *Obrazki z podróży do Tatrów i Pienin*. Kraków 1872.

⁶⁶ J. M. Rytard: *Sen czy jawa?* [W:] *tenże*, op.cit., s. 16.

⁶⁷ Sayse-Tobiczyk, op.cit., ss. 88–89.

⁶⁸ Psalm 148,3–9, 95,4–7. C. Miłosz (tłum.): *Księga Psalmów*. Paris 1981.

Pełni pokory i wewnętrznego spokoju ruszamy dalej. Dziś mamy w planie dotarcie pod Turkuł. Nie jest to daleko, ale plecaki są ciągle za bardzo naładowane. Jedzenia ubywa nam zbyt wolno. No cóż, fizjologia ma swoje prawa. Rozpoczynamy emocjonujący zjazd po szklistej grani. Najważniejsze to nie wywrócić się. Mając ciężkie plecaki na grzbiecie nie możemy pozwolić sobie na upadek i pójście w ślady Redaktora.

W dół. Jazda! Arktyczna zawiesina powietrza rozdartą pędem tnie po twarzy, kąsa oczy, usta. Świszczą jadowicie jej gryzące różgi. Wszystko płynie, ucieka. Błyskawice, sekundy, smugi cieniste, iskry, lśnienia. Łuk w prawo, łuk w lewo.⁶⁹ Szczęściem wszystko idzie dobrze i osiągamy Pohane Misce. Teraz następuje trzygodzinny marsz po grzbietach Dzembronii (1880 m), Munczela i Brebenieskuła (2037 m). Częściowo po przewianej i pokrytej kalafiorami grani, częściowo trawersami posuwamy się to w górę, to w dół. Mając się na baczności na nawisach⁷⁰ zawieszonych nad kotłami po dawnej polskiej stronie, docieramy do przełęczy pod Gutin Tomnatkiem. Tu wreszcie możemy zrzucić plecaki. Po wczorajszych śladach naszych kolegów z Adasiowej grupy szybko wchodzimy na Gutin Tomnatek (2016 m).

Tomnatic znaczy po rumuńsku jesienne pastwisko. Ale teraz jest tu zima w całej pełni. Na szczycie ślady się kończą. Naszym celem jest północno-wschodni żleb, a właściwie żlebek, opadający w stronę ukrytego pod śniegiem jeziorka. Staram się zajrzeć w czelusć żlebu, ale konfiguracja terenu na to nie pozwala. W tej chwili istotne jest tylko jedno pytanie: mogę zruszyć lawiny?⁷¹ Z Brebenieskuła widzieliśmy ślady lawinek na stokach Tomnatka, ale żleb już schował się w cieniu. Zakładam narty i powoli zjeżdżam do przewężenia między skałami. Kilka krótkich skrętów i nagle...

Spod nart (patrz aneks 1) wyjeżdża wierzchnia warstwa śniegu. Na szczęście ja stoję. Śnieg przyspiesza i już kotłuje się na dole i nieruchomieje. Dobrze, że ani żleb, ani lawina nie były zbyt duże. Teraz już po twardym i zlodowaciałym torze lawinowym zjeżdżamy swobodnie na dno kotła. Koniec jazdy i koniec emocji. Była to nasza pierwsza lawina czarnohorska. I jak się okazało, nie ostatnia.

Po krótkim podejściu z nartami na ramionach znowu nakładamy plecaki i możemy wędrować dalej. Robi się coraz cieplej, śnieg staje się coraz bardziej grząski. Mijamy Rebra (2001 m) i zwornik Szpicy (1935 m). Pod umówionym słupkiem granicznym o numerze 31 zostawiamy wiadomość i garść cukierków dla Brata Adama. Jedyne prawdziwie graniowy odcinek

⁶⁹ Rytard, op.cit., s. 17.

⁷⁰ *Nawis* — przewiecha śnieżna. Oberwanie się nawisu powoduje nieraz ruszenie lawiny.

⁷¹ Słowacki, op.cit., s. 54.

czarnohorskiego grzbietu nad Jeziorkiem Niesamowitym przebywamy trawersem po północnej stronie. Jutro już będzie niebezpieczniej i nasi koledzy z zasadniczego zespołu będą zmuszeni iść ostrzem grani. Stajemy na Przełęczy Turkulskiej. Teraz następuje krótkie podejście zakosami (cały dzień idziemy bez fok) do górnego trawersu pod Turkulem. Obchodzimy górą zdradliwy kocioł opadający w dolinę Butyńca. Przed nami pozostał tylko zjazd na Połoninę Turkulską do wypatrzonej w zeszłym roku staj. Nietknięty śnieg to wypycha narty na wierzch, to znowu je otula.⁷² Im niżej, tym śnieg coraz bardziej oblepia narty i gdy stajemy nad krawędzią kolejnej doliny, wiemy już, że dotarcie do widocznego jak na dłoni szałas nie będzie takie proste. Obniżamy się lekko długim zakosem, mimo nart na nogach zapadając się nieraz do pół uda. Nie ma co marzyć, by móc dokonać jakiegokolwiek zwrotu. Moje próby wykonania ewolucji zwanej zwrotem przez przełożenie dziobów nart⁷³ kończą się kilkumetrowym obsunięciem zakończonym na szczęście na niewielkim świerczku. Próbuje przybrać postawę mniej więcej horyzontalną, gdy wtem...

Co się dzieje? cóż to? Lawina!...⁷⁴

Spadająca krętym torem lawina zsuwa się razem z Darkiem. Widzę jak błędnymi oczyma szuka miejsca ocalenia.⁷⁵ Nikt nie wiedział, jak długo trwała ta piekielna, niesamowita jazda.⁷⁶ Ale oto lawina zwalnia i zatrzymuje się.

— Halo! Hej! Halo!⁷⁷

Na szczęście widzimy, jak Darek cały i zdrowy wstaje i otrzepuje się ze śniegu. Kiedy próbuję dotrzeć do Darkowego kijka (patrz aneks 1), który został się w górze, kątem oka dostrzegam, jak podążająca za nami Nina osuwa się w dół, goniąc zawzięcie kolejną deskę śnieżną.⁷⁸ Po chwili również Ala w przyspieszonym tempie znajduje się na dnie doliny. Tak to w ten piękny zimowy dzień każdy z nas mógł patrząc za siebie powiedzieć: to moja lawina!

Lekko poturbowani, ale zadowoleni z tak szybkiego przebycia niemiłego stoku, niebawem stanęliśmy przed stają, która miała być nam domem przez

⁷² Berman, op.cit., s. 179.

⁷³ Zob. *Program nauczania narciarstwa zjazdowego*. Kraków 1986, s. 12.

⁷⁴ Zaruski, op.cit.

⁷⁵ S. Vincenz: *Na wysokiej połoninie. Nowe czasy. Listy z nieba*. Warszawa 1982, s. 407.

⁷⁶ Bieniasz, op.cit., s. 129.

⁷⁷ S. Lenkiewicz (wł. W. Lenkiewicz): *Na nartach w Czarnohorze*. Warszawa–Kraków 1990, s. 31.

⁷⁸ *Deska śnieżna* — mniejsza lawina warstwicowa.

dwie najbliższe noce. Chociaż mieliśmy do dyspozycji tylko dwa pomieszczenia, to było tu o wiele bardziej komfortowo niż na Popie Iwanie. W pierwszym pomieszczeniu rozpaliliśmy ogień i urządziliśmy kuchnię i łazienkę, a drugie służyło nam za sypialnię. Tu muszę dodać, iż noclegi w szałasach i możliwość palenia ogniska sprawiły, że mogliśmy codziennie brać kąpiel w gorącej wodzie, co przecież nawet w wielu naszych schroniskach jest nie do pomyślenia. Naczelną zasadą było, że najpierw wszyscy powinni napić się do woli, a dopiero potem grzaliśmy wodę na kąpiel. Łatwo sobie wyobrazić, jakie miny miały nasze towarzyski i jakie przeżywały katusze, gdy wypijaliśmy obaj z Darkiem kolejny z rzędu kociołek herbaty, nie mając wcale zamiaru na tym poprzestać.

Wyszliśmy przed szałas. To, co ujrzeliśmy, było prawdziwą bajką i żaden opis nie odda nieziemskiej piękności obrazu. Blaski zachodzącego słońca pokryły wszystko dokoła najdelikatniejszą różową poświatą. Śnieg stracił swą zimną biel i jaśniał subtelną barwą listka różanego, tak doskonałą, że człowiek dech w piersi zatrzymywał, aby nie spłoszyć wrażenia, w którego rzeczywistość nie chciał wierzyć. Wokół była zupełna cisza, żaden wietrzyk nie muskał gałązek nakrytych ogromną okiścią. Zaprawdę, gdyby istniały jeszcze bóstwa leśne i górskie, nie byłyby znalazły piękniejszej kryjówki na swój sen zimowy.⁷⁹ W oddali górowały nad lasami dwa czarnohorskie olbrzymy: Pietros i Howerla. Poświata różowa zaczęła gasnąć i blednąć. Za chwilę śnieg wokół był znowu biały i zimny.⁸⁰

Wróciliśmy do wnętrza. Watra⁸¹ pali się jasno, pryska snopami iskier. Wirują one, jak rój pszczoł i dogasają na osmolonych bierwionach szałas — to lecą aż pod samo sklepienie z czarnych, uwędzonych dymem łat. Tłuką się pod dachem i gasną nagle.⁸²

Czas spać. Pełni wrażeń, a zarazem niepewni, co nam przyniesie kolejny dzień, ułożyliśmy się w śpiworach. Jutro na Howerle!

Dzień ósmy. Tylko narciarz wie, co to za rozkosz wyjść po takiej nocy na śnieg, oddychać mroźnym powietrzem, mrużyć oczy przed blaskiem słońca. Wstąpiła w nas radosna ochota i zapal, chciałoby się lecieć, byle prędzej wejść na te rozjarzone szczyty i spojrzeć w jaśniejącą dal.⁸³ Po rannej krzątaniu wyruszamy leśną drogą wijącą się stokami Dancerza. Białe postacie drzew zakute w szaty ze śniegu i lodu, stojące nieruchomo jak posągi, błękitne cienie

⁷⁹ Kordys, *Przez siedm gór i przez siedm dolin* — na nartach, op.cit., s. 121.

⁸⁰ Ibidem.

⁸¹ Watra — ognisko.

⁸² J. Kotarbiński: *Wiatr halny*. [W:] tenże: *Nowele tarzańskie*. Zakopane 1923, s. 103.

⁸³ Dębicki, op.cit., s. 89.

wśród złotych plam słońca, miejscami mrok zupełny pod kopułą zasypanych okiścią koron, taki las zimowy budzi zawsze w duszy narciarza uroczysty nastrój świątyni. Słowa milkną i jakiś lęk osiada na duszy i tęsknota za słońcem, które jaśnieje w górze na śniegach szczytu.⁸⁴ Przed nami podrywają się przysiadłe na gałęziach cztery spłoszone guszcze. Iście królewskie to ptaki.

Gdy droga kończy się, wnosimy się w głębokim śniegu coraz wyżej i wyżej. Mijając Pożyżewską i Breskuł, które zostawiamy sobie na popołudnie, dochodzimy do przełęczy pod Howerlą. Tu pod skarłowaciałym świerczkiem zostawiamy depozyt żywnościowy: pumpnikiel, czekolady, puszki, makaron i zabrane naszym dzieciom kaszki mleczne. Szkoda czasu na dłuższy postój. Stoimy przecież u stóp najwyższego szczytu w Czarnohorze (2058 m). Ruszam pierwszy. Foki trzymają świetnie. Można iść w linii spadku. Można nie zatrzymując się przymknąć oczy i zatopić w marzeniach. Ręce mocno pracują, krok długi, oddech głęboki, równym tempem wnosimy się coraz wyżej i wyżej.

I oto szczyt!

W sinej głębi, tysiąc metrów niżej morze zamarłych fal. Odmęty mroczne głuchej, niezbadanej puszczy. Labirynt debrów, jarów i ostępów, urwisk zdradliwych i borów odwiecznych.

Na tle błękitnych przestworzy powietrznych pomiędzy ziemią a sklepem niebieskim wznoszą się arcydumnie zatknięte pionowo w nawis szczytowy cztery pary nart. Wyniosłe, sztywne, tryumfalne.

Szczyt!... szczyt!...

Zwycięstwo! Cel! Pobladłe twarze! Oczy błyszczące! Oddech gorączy. Fale skłębionej pary z ust, białe i ciężkie. Omdlały bezwład w przemęczonych mięśniach.

I cisza...

Nie ta, którą i wy znacie, mieszkańcy dolów, nie ta, która nocą otula głuchym, nieruchomym płaszczem śpiące siedliska ludzkie! Cisza szczytów, nieokreślona, dziwnie tajemnicza, groźna, dysząca krwi łopotem w skroniach, niezmacona cisza pól śniegowych w zawrotnych wyżach podobłocznych wierchów! Niesamowity blask słońca po śniegach. Spylone srebro — migot płomienisty.

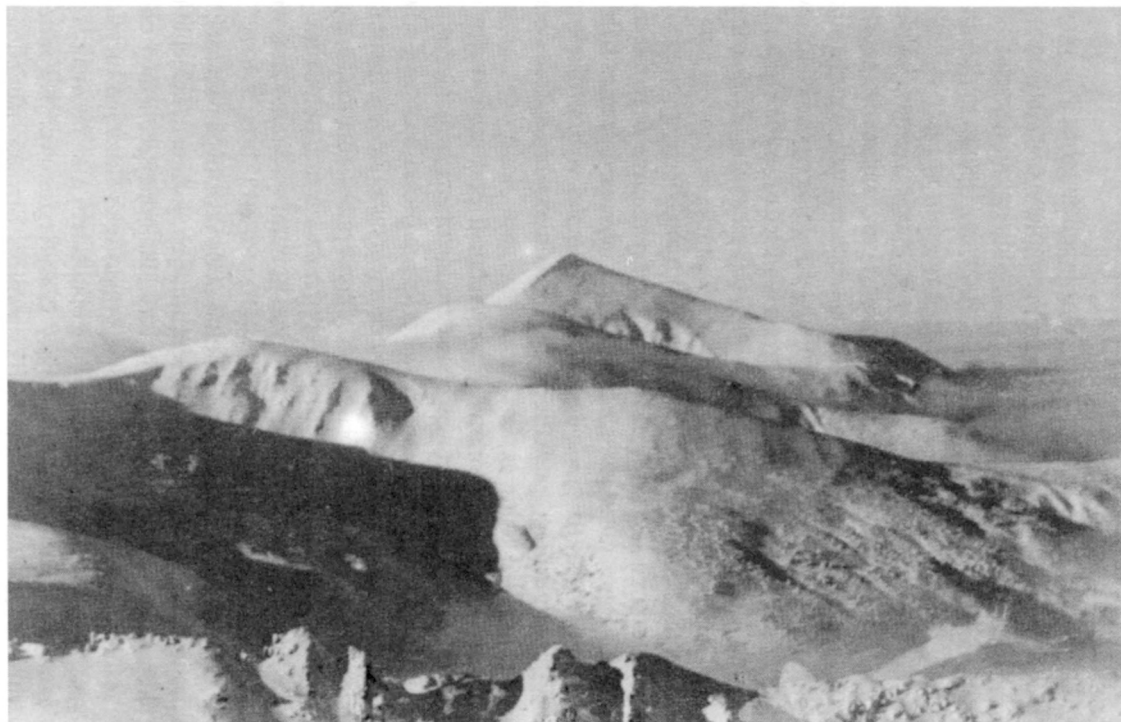
Szczyt — szczyt...

I bezmiar — i cisza — i słońce...

I śniegi... śniegi...

Bezmiar — cisza — śniegi.

⁸⁴ Kordys, Jak „odkryliśmy” Sławsko?, op.cit., s. 207.



Zimowa Howerla fot. W. Tyski



Ogrom wrażenia opętał nam dusze. Oto przed nami iścił się najwyższy, niedościgniony żadnym porównaniem cud niepojęty najczystszy Piękna. Niepokalana czarodziejska zjawa, pochtaniająca do najmniejszych fibrów całą człowieczą jaźń spragnioną pełni. Pełnia wrażenia, ekstaza cudowna, zapamiętanie się na śmierć i życie.

Po to chodzimy w góry. Po to. Nie zrozumiecie wy nas, ludzie nowi! Otośmy przecież bałwochwalcy Ziemi, plemię wczorajsze, szukające Boga i głębin życia w płytkiej zewnętrzności, w zjawach materii, w przyrodzie znikomej! Drwicie z nas, twórcy nieprzemijających, tajemnych światów wiecznego ducha, czciciele Bogów, zrodzonych w obłędzie mrocznych dociekań i przeczuć majaczących. Otośmy ludzie bardziej pierwotni. Nie zrozumiecie nas.⁸⁵

Ale co to! Boże miłosierny! Cóż to przed nami?⁸⁶

Dobiega mnie gwar jakowyś. Otwieram przymknięte oczy. Ręce, krok, oddech etc. — to wszystko jest rzeczywistością, ale reszta, reszta była iluzją! Nie dane nam było tego przeżyć. Brat Adam lepiej wybrał dzień na atak szczytowy i nazajutrz jego grupa mogła do woli napawać się transcendencją na beskidzkiej Górze Gór.

Nam tymczasem zrzedły miny, gdyśmy stanęli pod szczytowym obeliskiem.⁸⁷ Wyekwipowani jak na alpejskie podniebne szlaki, niczym zbrojni rycerze ski-alpinizmu znaleźliśmy się wśród ponad setki osób wyglądających przy nas jak pospolite ruszenie przy kwiecie rycerstwa. Jakimż hartem ducha musieli się odznaczać ci ludzie, jaka moc ukryta przywiodła ich tu, na podobłoczne wyżyny, przez puszcze karpackie, przez wietrzne, oblodzone granie, po zdradliwych nawisach nad przepaścistymi kotłami w to samo zimowe serce Gór.

Odziani i obuci byli rozmaicie: panie na podwyższonych obcasach i w sukienkach, młodzieńcy w kaloszach i brezentowych kurtkach, dzieci w trampkach, zakutane w stare pocerowane swetry. Najmniejsze, ledwo chodzące dziatki nieśli na ramionach rodzice. Nie brakło też i starszych turystów, pamiętających jeszcze pańską Polskę. Pod obeliskiem stał niewielki i mocno dziurawy namiocik, zda się, pamiętający czasy legionowe. Na nasz widok wyskoczyli z niego dziarsko tamtejsi ratownicy. Stojem nie odbiegali od pozostałych turystów. Wyróżniały ich tylko niedbale nasunięte na ramiona

⁸⁵ Sayse-Tobiczyk, op.cit., ss. 88–98.

⁸⁶ Grzegorzewski, op.cit., s. 89.

⁸⁷ Niedługo potem postawiono na szczycie krzyż drewniany, ale nie wiemy, czy ma to jaki związek z naszym wejściem.

opaski z literami KSS.⁸⁸ Zamiast wziąć nas na przesłuchanie i dowiedzieć się jakim prawem znaleźliśmy się tutaj (co było ich świętym obowiązkiem), dzielni ci chłopcy wyciągnęli szampana i poczęli z zainteresowaniem podziwiać nasz sprzęt. Jeden z ratowników wydobył z namiotu kamerę i ją kręcić zawzięcie film z nami i naszymi nartami w roli głównej. A gdy oglądali naszą lornetkę (patrz aneks 1), kręcili tylko głowami mówiąc:

— U nas w armii takich nie ma.

Jak się okazało, jeden z nich był moim dawnym znajomym i pamiętał mnie z Kaukazu. On tak przynajmniej twierdził. Jeszcze tylko pamiątkowe zdjęcia i pełni werwy ratownicy zwinęli w mgnieniu oka namiot, zabrali olbrzymie termosy i asekurując na pierwszym odcinku liną, poczęli systematycznie sprowadzać całą grupę w kierunku Zaroślaka. Patrząc za nimi mówiliśmy:

— Niech góry przyniosą pokój temu ludowi i sprawiedliwość.⁸⁹

I na nas był już czas najwyższy. Założyliśmy narty i po nie tak wąskim, jak się z bliska okazało, nawisie nad Kotłem Zaroślackim zjechałszy śmigiem hamującym⁹⁰ na przełęcz pod Breskułem. Tu napotkaliśmy siedzącego samotnie na skałkach, tajemniczego osobnika zawodzącego smętne mantry.⁹¹ Przeszliśmy cicho obok, nie chcąc przeszkadzać mu w nabożnym skupieniu, snadź duchem był on tu nieobecny. Po tych niespodziewanych przeżyciach dalszy marsz przetykany krótkimi zjazdami przez Breskuł (1911 m), Pożyżewską (1822 m) i Dancercz (1850 m) na Turkuł zdał się nam prozaiczny i nie wart dłuższego opisu.

Wieczór już był, gdyśmy stanęli na Turkule (1932 m). Pod nami widniały Małe i Wielkie Kozły. Te dwa niewielkie, lecz jakże urokliwe grzbiety skalne dostarczyły wielu pokoleniom przyrodników tylu niezapomnianych wzruszeń botanicznych.⁹² Ale teraz wszystko było pokryte białym całunem. Jedynie nisko w dolinach czerniły się mroczne lasy. Czoła nasze owiewał wiatr wolny i wszystko zostawiliśmy za sobą — wszystko małe, nikłe, nikczemne zostało za nami, tam gdzieś w dole siną mgłą oddalenia owianym, my tu stoimy i nic nie jest nam równe, i jesteśmy wielcy, wolni i potężni. Chwilę ową przedziwnie oddał niezrównany nasz piewca Tatr — Tetmajer: „...W taką chwilę na szczycie zapada się w jakąś zadumę nieokreśloną i bezkresną, wszystko u człowieka milknie, pamięć, wiedza, myśl; piękno natury ogarnia go, topi w sobie,

⁸⁸ Kontrolno-spasatielna służba.

⁸⁹ Por. Psalm 72,3. [W:] Miłosz (tłum.), op.cit., s. 176.

⁹⁰ Program nauczania narciarstwa zjazdowego, op.cit., s. 48.

⁹¹ Mantra — mowa, hymn, zaklęcie (sanskryt.).

⁹² Zob. E. G. Nyárády: *Din Domogled pînă la Tatra. Pagini nescrise din istoria botanicii carpatini*. Cluj 1961.

chłonie. Zdaje się, że przestaje istnieć, że dusza wymyka się z ciała, i wolna, lotna, jak słoneczne światło rozsnuwa się, rozściela po przestrzeni”.⁹³

Ruszyłem naprzód. Bez szelestu, aksamitnym dotknięciem suną nasze narty po śniegu: nie ma chrzęstu, dzwonienia spadających płatków lodowych ani skrzypu łyżew. Jak duchy płyniemy po białej toni do naszego szałas. ⁹⁴ Dziś jeszcze przenocujemy tutaj.⁹⁵

Czy było tak, czy inaczej, w każdym razie jedno jest pewne: byliśmy na nartach na Howerli. Spełniło się to, o czym do niedawna mogliśmy tylko marzyć.

Na następny dzień zaplanowaliśmy dojsie pod Pietros i o ile to będzie możliwe, wejście na lekko na jego wierzchołek. Byłem na wielu Pietrosach i Pietrosulach, lecz ten spośród moich imienników wydawał się być szczególnie ponętny dla narciarza. Jego zachodnie stoki przypominały nam tatrzańskie zjazdy. Tymczasem jednak siedzieliśmy przy ogniu w naszym szałasie. Wiedziałem, że wrócę tu na pewno. I kiedy nadeszła czarnohorska wiosna, gdy kwitły krokusy *Crocus heuffelianus* Herb.⁹⁶ i goryczki *Gentiana acaulis* L., *G. laciniata* Kit. ex Kanitz,⁹⁷ znowu mogłem usiąść przed tym samym szałasem i wspominać nasze zimowe boje. Tylko ta długa ławka przed wejściem była wtedy jakaś wyższa. No cóż, Góry trwają, a my z wiekiem malejemy, kurczymy się i zamykamy w sobie.⁹⁸

Dzień dziewiąty. Opuszczamy gościnną staję, zostawiwszy narąbane drewno dla następnych przybyszów, i jak poprzedniego dnia zanurzamy się w ten sam, ale przecie dziś inny już las. Wyszło do nas wschodzące słońce, przekradało się między drzewami, uśmiechało spoza ośnieżonych gałęzi i z wiatrem sypało nam w oczy błyskotliwe gwiazdy. Później coś się stało — jakiś mrukliwy wicher począł spędząć chmury, tumany śniegu, zaćmił słońce i szedł zwycięski przez las. Zrazu okrążał nas z daleka, szumiał w dolinie, łamał drzewa i hukiem chciał nas przerazić, potem przycichł.⁹⁹

Mimo wczorajszych śladów docieramy do depozytu pod Howerlą nieźle umęczeni. Ciężkie, odwilżowe śniegi nie sprzyjają pancernej turystyce. Już

⁹³ T. Radliński: *Wśród wirchów, tumi i przełęczy*. Warszawa 1918, s. 32.

⁹⁴ Zaruski, op.cit.

⁹⁵ P. Jaroš: *Tysiącletnia pszczoła*. Katowice 1988, s. 78.

⁹⁶ *Opriedielitel vysszych rastenij Ukrainy*. Kijew 1987, s. 404.

⁹⁷ Ibidem, s. 258.

⁹⁸ Przyjemski, op.cit., s. 98.

⁹⁹ Dębicki, op.cit., s. 89.

z daleka widzimy nasz depozyt rozwłóczony po okolicy. To kruki,¹⁰⁰ które po wojnie tak się rozpleniły w całych Karpatach, dobrały się do naszych zapasów. Najbardziej smakowała im czekolada i pumpernikiel. Nic to! Jedzenia mamy dosyć. Gdyby nie to, że jesteśmy umówieni z Bratem Adamem i to na dodatek w naszej wyśnionej Kołomyi, moglibyśmy zostać parę dni dłużej i prosto z Czarnohory pojechać jak co roku na Rajd Tatrzański. Z daleka, przez naszą doskonałą lornetkę o zmiennej ogniskowej (patrz aneks 1), obserwujemy pod Turkułem całą Adasiową grupę w komplecie. Odklejamy foki, posilamy się tym, co pozostawiły nam kruki i zaczynamy trawersować Howerlę. Potem długa wędrówka po Połoninie Harmanieskiej i o czternastej zjeżdżamy do skupiska szałasów pod Pietrosulem. Do zmroku zostały tylko trzy godziny. Wybieramy najbardziej okazały budynek na nocleg, z pryczą jak raz na cztery osoby. Ponieważ wszyscy są już dosyć zmęczeni, a przede wszystkim spragnieni i głodni, toteż wykorzystuję tę okazję i nikogo specjalnie nie namawiam na dzisiejszą próbę zdobycia Pietrosa. Jutro i tak tam będziemy. Na poczekaniu zjadam co mogę, do małego plecaka biorę czekoladę, aparaty i nie czekając na herbatę ze śniegu o godzinie trzeciej startuję do góry.

Samotna wędrówka! Mam za sobą długi szereg wędrówek samotnych i wędrówki te oblane są w mej pamięci jakimś szczególnym czystym blaskiem. Są to wspomnienia niezmacone żadnym dysonansem, szereg przedziwnych zespoleń z odwiecznym duchem gór, szereg hymnów w zachwycie odśpiewanych na cześć wszechistnienia. Blask bijący od tych wspomnień topi we mnie wszystkie wątpliwości co do turystyki samotnej. Wiem, co mam do stracenia, wiem co mam do zyskania.¹⁰¹

Pierwszy odcinek podejścia przebywam szybko, potem niestety, gdy robi się stromiej, nie wysuszone po przedpołudniowym podejściu foki odklejają się.

— Niepodobna, dalej już nie pójde!¹⁰²

Jednak zbieram się w sobie i próbuję wspiąć się jeszcze trochę. Śnieg jest tak głęboki, że iść bez nart jest nie sposób. Najstromszy odcinek żlebu zmuszony jestem więc pokonać schodkowaniem i krótkimi zakosami. Co chwila spoglądam na zegarek i staram się oszacować czas dojścia do szczytu. W tym tempie nie mam najmniejszych szans na osiągnięcie wierzchołka przed za-

¹⁰⁰ Kruk (*corvus*) — symbol rozpusty, nieczystości, zatwardziałości serca i braku szacunku. Por. D. Forstner: *Świat symboliki chrześcijańskiej*. Warszawa 1990, s. 237.

¹⁰¹ M. Karłowicz: Z wędrówek samotnych. „*Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego*” 1909, nr 30, s. 8.

¹⁰² Grzegorzewski, op.cit., s. 73.

choodem słońca. Na szczęście za przewężeniem żlebu stok wypłaszcza się nieco i kawałek dalej można iść bez nart jego brzegiem. Odpinam narty i błogosławiąc po raz kolejny firmę Dynafit (patrz aneks 1) staram się nadrobić stracony czas. Przejście z Pietrosula (1855 m) na Pietros to już kwestia niewielu minut i tuż przed piątą staję na szczycie (2020 m).

*Tu szczyt... lękam się spojrzeć w przepaść świata ciemną.
Spojrzę... Ach! pod stopami niebo i nad głową
Niebo... Zamknięty jestem w kulę kryształową;
Gdyby ta igła lodu popłynęła ze mną
Wyżej — aż w niebo... nie czułbym, że płynę.
Stąd czarne skrzydła myśli nad światem rozwinę.
Ciszej! słuchajmy... o te lody się ociera
Modlitwa ludzka, a po tych lodach droga
Myślom płynącym do Boga.¹⁰³*

Siedząc na krańcu szczytowego głazu z nogami wiszącymi nad przepaścią, cały oddaję się dumnej i radosnej rozkoszy. Trudno jest podobne wrażenie zamykać w słowa: jest ono za silne. Nigdy morze podczas najcudniejszej pogody, przy najwspanialszej grze barw na lazurach nie upaja tak niezmiernie, nie rozwiewa tak po prostu duszy, jak wysoki szczyt górski. Wszystko jest tak daleko... zdaje się, że się weszło w jakiś inny świat i że ten jest rzeczywisty, a tamten tam w dole to sen. Budzi się cały nowy świat myśli, nowy świat uczuć innych, odmiennych, jak tam w dole. Myśli zataczają się na niebo jak tęcze, uczucia lśnią, jak obłoki w zorzy słonecznej. Cud upaja nas, oszalałmia, obezwładnia. Lasy i wody w dolinach, hale i upłazy, wszystko to staje się jakąś czarodziejską, magiczną symfonią przyrody, czymś takim, co duszę wyrwa z piersi — dusza wybiec chce oczyma, upojona a nie syta!...¹⁰⁴

Ujrzałem słońce chowające się za Świdowcem. Nie owo piękne, jasne słońce, rozrzucające na pożegnanie świetlne promienie: nie, był to raczej ogniem buchający wulkan, rozlewający dokoła blask krwawej łuny. Nad zapadającą za wierzchołki gór tarczą, przedłużoną w słup płomienisty, zawisała czarna chmura, niby obłok dymu rzucający cień posępny na okolicę. Na przyćmionym błękitie nieba rysowały się ostro szczyty Bliźnicy. Z wolna przysały ogień wulkanu, ciężkie kłęby dymu zaległy jego straszną paszczę.¹⁰⁵ Ro-

¹⁰³ Słowacki, op.cit., s. 53.

¹⁰⁴ Radliński, op.cit., s. 32–33.

¹⁰⁵ Por. Steczkowska, op.cit.

biło się coraz mroczniej. Spojrzałem ze skały szczytu. Nieście mię, chmury! nieście, wiatry! nieście, ptacy!¹⁰⁶ Czas zjeżdżać!

Kieruję się prosto na wschód, na lewo od grani. Gdyby był lepszy śnieg, zjazd byłby wspaniały: długi i odpowiednio nachylony. Trochę niżej szreń staje się coraz bardziej dokuczliwa, łamiąc się w najmniej odpowiednich momentach. Zjeżdżam ostrożnie, choć wiem, że nie mogę mitrężyć czasu. Z każdą chwilą jest ciemniej. W pewnym momencie tuż pode mną daje się słyszeć nagle dziwny odgłos. Niby stękniecie. Potem szum przeciągły, głuchy, złowrogi.

Lawina!¹⁰⁷

Mimo że niezbyt szybka, zsunęła się dosyć daleko. Z powodu zapadających ciemności przekonałem się o tym dopiero następnego dnia. Niżej śnieg jest trochę lepszy i pozwala na jako taką jazdę. Staram trzymać się lewej strony zbocza, a potem skręcam na północ. Z daleka widzę ogień w naszym szaleście. Poprzez zarośla olchy kosej *Alnus viridis* (Chaix) DC. in Lam. & DC.¹⁰⁸ zbliżam się do staj, z dala wykrzykując mało cenzuralne zamówienia na napoje. Teraz dopiero bowiem poczułem ogromne pragnienie. Moi towarzysze nie zawiedli i przygotowali dla mnie ogromne ilości płynów. Wypijam więcej niż mogę, potem jem, znowu piję, znowu jem. Jeszcze tylko gorąca kąpiel i można ułożyć się na pryczy.

Leżymy tak, zapatrzeni w fantastyczne kształty płomienia i całe nasze jestestwo pod czarem tej czarnohorskiej nocy rozpyla się i rozprasza na atomy. Leżymy tak, zasluchani, zapatrzeni, a w rozbudzonej fantazji nieskończonym korowodem kłębi się rój cały nieuchwytnych mar i widziadeł. O nocy pełna uroku! O czarowna czarnohorska nocy!¹⁰⁹ A jutro? Jutro naszym celem — Burkut w dolinie Cisy. Jestem pewien, że w takim gronie na pewno przejdziemy Czarnohorę.

Dzień dziesiąty. Ostatni to dzień naszej czarnohorskiej wędrówki, a przed nami jeszcze szmat drogi. Tym razem obchodzimy Pietrosa i łagodnie się wznosząc dostajemy się nań od południa. Jest czas na podziwianie dookólnej panoramy na Czarnohorę, Gorgany, Świdowiec i Karpaty Marmaroskie. Na szczycie zostawiamy kolejną wiadomość dla grupy Brata Adama i połogimi grzbietami zjeżdżamy na przełęcz pod Szesulem. Choć kuszą nas wygodne płaje zbiegające w doliny, nic to! Zaczynamy, ostatnie już na naszej wypra-

¹⁰⁶ Słowacki, op.cit., s. 55.

¹⁰⁷ Sayse-Tobiczyk, op.cit., s. 100.

¹⁰⁸ *Flora Europaea*, op.cit., t. vol. 1, s. 59.

¹⁰⁹ Por. Radliński, op.cit., s. 7–9.

wie, podejście na Szesul. Daje się ono nam we znaki, bo śnieg jest bardzo grząski, a trawersy ze względu na bezpieczeństwo nie wchodzi w rachubę.

Wreszcie stajemy na wierzchołku (1726 m). Zwracamy oczy w stronę, skądemy przyszli. Linia grani zarysowuje się przepyszną smugą na widokręgu, niby wąż olbrzymi, skrzący pożogą spłomienionych w słońcu kryształów śnieżnych.¹¹⁰ Widzimy ją po raz ostatni. Nie jest to już owa bliska, białośnieżna grań, co była nam domem i świątynią. Przed nami sunie teraz w oddali korowód majestatycznych jakichś mar, widziadeł odzianych w blaski wieczornego słońca z olbrzymim Piotrosem niby kniazem czy atamanem na czele.¹¹¹ Jeszcze raz obejmujemy wzrokiem ten osobliwy świat wysokogórskich szczytów. Zapomnieliśmy już o trudach. W dole, pod ręką wiatru, morze chmur niby pieszczony kot łagodnie wygina swój grzbiet. Już późno, trzeba opuścić szczyt.¹¹² Czas odejść z gór.¹¹³

Zwracamy się teraz na zachód, w stronę Bliźnicy. Tysiąc dwieście metrów pod nami Kwasy zwane inaczej Burkutom. Ostatni zjazd! Początkowo jedziemy nawisem, a potem po tych krótkich emocjach, rozległymi polanami, gdzie napotykałyśmy dziwnie szerokie ślady nart, najpewniej domowego wyrobu. Na koniec puszcza się stromo przez las.

Prędej! Byle prędzej! Byle przed nocą dopaść dna doliny, byle wydobyć się z pancernych lodem, podniebnych wyżyn, byle przebyć bory zawiane śniegiem, strome i zdradliwe, puszcze odwieczne o jarach bezdennych, ostępach mrocznych, debrach nieprzebytych! Byle ująć kleszczom złowrogich żywiołów, zasadzkom nocy, mrozu i znużenia... Byleby prędzej!... Chyli się zwolna, lecz nieubłagane złoty krąg słońca ku dalekim pasmom gór na zachodzie. Dolina Cisy coraz to głębiej zapada w omrocz. Prędej! Byle prędzej! Gdzieś w górze między konarami prześwieca jeszcze od czasu do czasu sinoniebieskie widmo zmierzchłych gór. Po śniegach gęstnieją cienie czarne i błękitne. Mroczy się puszcza wieczorowym zmierzchem. Zjeżdżam tedy naprzód, wyszukuję przejścia w dżunglach pomierzchłych, pruję ślad ku dołom. A bór się dłuży w nieskończoność.¹¹⁴

Do pierwszych zabudowań, położonych jeszcze stosunkowo wysoko, dojeżdżamy o zachodzie słońca. Z samotnej chaty pod lasem, słysząc zgrzyt nart po szreni, wybiega przerażona kobiecina i żegna się na nasz widok. Ale

¹¹⁰ Sayse-Tobiczyk, op.cit., s. 104.

¹¹¹ Por. M. Sokołowski: *Po śnieżnej grani*, op.cit., s. 51.

¹¹² G. Rebuffat: *Gwiazdy i burze*. Warszawa 1962, s. 99.

¹¹³ Por. A. Szaleńcowa: *Czas odejść z gór*. [W:] *Hej góry, góry. XIV Beskid Niski. Śpiewnik*. Warszawa 1978, s. 52.

¹¹⁴ Sayse-Tobiczyk, op.cit., s. 107–116.

my nie zatrzymując się mkniemy dalej. Jeszcze trochę jazdy i kończy się śnieg. Szkoda, bo dalszy zjazd otwartymi stokami szybko zawiódłby nas do stacji kolejowej. Zdejmujemy więc narty, przytwierdzamy do plecaków, luzujemy klamry w butach i w drogę. Łagodne błotniste serpentyny sprowadzają nas w dół, w stronę rozświetlonego o tej porze sanatorium. Na niebie zapalają się pierwsze gwiazdy. Wysoko nad nami jaśnieją białe szczyty Świdowca. Nieprawdopodobna cisza wokół. Z doliny wychodzi ku nam noc — ale na wyżynach zalega jeszcze jasność.

Jasność i cisza na górach. I tak samo jasno i cicho było w duszach naszych.¹¹⁵

Już po ciemku przekraczamy kilka razy druty kolczaste, które od pierwszej wojny światowej z powodzeniem wypierają dawniej stosowane powszechnie worynia¹¹⁶ i trafiamy prosto na most kolejowy na Czarnej Cisie. Mijamy jeszcze marudzącego żołnierza, który sam przed sobą udaje, że musi interweniować, bo most to przecież obiekt strategiczny, i docieramy do stacji kolejowej.

Czarnohora wzięta!

Do pociągu odjeżdżającego o północy mamy kilka godzin. Bardzo miła pani samotnie nadzorująca ruch kolejowy prowadzi nas do mineralnego źródła, częstuje mlekiem, grzeje nam wodę na herbatę, a wreszcie pozwala się umyć w swojej pakamerze.¹¹⁷ Sama nigdy w Czarnohorze nie była. Potem trochę narzeka, że jest coraz gorzej, bo dawniej to były przydziały i wszystko, co do życia potrzebne, mogła dostać, a teraz ani przydziałów, ani towarów. Oczywiście, za nic nie chce pieniędzy. Dajemy więc jej parę drobniaków dla dzieci.

Wyszliśmy przed dworzec. Ukryci w cieniu słuchaliśmy pieśni wichru wpatrzeni w gwiaździste niebo nad nami. Słuchaliśmy tej odwiecznej pieśni, z wolna w serca nasze sączyć się jeła rzewność jakaś i żal za temi czarownicami chwilami, któreśmy przeżyli, a które już minęły¹¹⁸ i nigdy się nie powtórzą. Nie powraca bowiem nigdy urok pierwszej wyprawy w nieznane przedtem świąty...¹¹⁹

Przejmujące zimno ocknęło nas z zadumy. Wiatr ciął ostreimi podmuchami.¹²⁰ Wróciliśmy tedy do budynku stacyjnego. Niedługo potem

¹¹⁵ Kordys, *Przez siedm gór...*, op.cit., s. 124.

¹¹⁶ *Worynia* — huculskie płoty.

¹¹⁷ *Pakamera* — skład, magazyn, zwł. podręczny.

¹¹⁸ Sokołowski, op.cit., s. 49.

¹¹⁹ Kordys, *Jak „odkryliśmy” Sławsko?*, op.cit., s. 209.

¹²⁰ Sokołowski, op.cit.

serdecznie żegnani przez naszą panią wsiadamy do pociągu, który uwozi nas na drugą stronę Karpat. Potem nocna jazda taksówką (za trzydzieści rubli) ze Stanisławowa i nad ranem stajemy w naszej wynajmionej Kołomyi. I tu krąg się zamyka.¹²¹

Jest hotel, jest ciepła woda, są restauracje. Śpimy do południa, a potem w miasto! Zwiedzamy wszystkie kołomyjskie knajpy. Obchodzimy puste sklepy. Ninie, mimo że nie miała talonów, których posiadanie było warunkiem nabycia czegokolwiek, udaje się nawet kupić popielniczkę. Zabrakło tylko szampana, którego nie można było zdobyć nawet za dolary. Po zaspokojeniu potrzeb cielesnych idziemy na polski cmentarz. W drodze powrotnej zatrzymujemy się nad miejscem, gdzie do niedawna stał pomnik Włodzimierza Iljicza. Chwila zadumy nad losem ludzkim.¹²² A wieczorem spotykamy na dworcu Brata Adama i resztę kolegów, podążających naszymi śladami. Wszyscy są zdrowi i cali, tylko nieco bardziej zarośnięci niż tydzień temu, a Redaktor nie ma nart. Zostawił je wysoko w górach, by móc powrócić tam jeszcze. Porywamy, oczywiście jakżeby inaczej — taksówkami, naszych towarzyszy do restauracji „Czeremszna”. Co za piękny kraj! Co za piękny wieczór! Zubożałego szlachcica herbu Wczele stać na postawienie całej dziesiątce wystawnej kolacji (sto dwadzieścia karbowanów). Toastom nie ma końca. Do Michała przytula się czule namiętna kelnerka, na nasze dziewczęta nikt już nie patrzy z wyższością, a każdy chce koło nich usiąść. Ninka jeszcze nie wie, że za kilka dni zakończy sezon narciarski kilkusetmetrowym lotem, po którym wyląduje w zakopiańskim szpitalu, Ala nie przypuszcza, że za tydzień w imię wyższych celów zrezygnuje ze wspańskiego zjazdu Czerwonym Żlebem i ratować będzie naszego wspólnego przyjaciela, biznesmen nie wie, że jego firma splajtowała, zubożałemu szlachcicowi na myśl nie przyjdzie, iż teraz, kiedy otwierają się perspektywy odzyskiwania rodowych majątków, zostanie wydziedziczony, Darek nie spodziewa się, że spodziewa się następnego potomka, a ja nawet nie pomyślę, że będę zmuszony napisać to wspomnienie.

Tymczasem Brat Adam wygłasza podniosłe przemówienie, dziękując nam wszystkim wylewnie i wiemy już: dla tego jednego wieczoru w Kołomyi, dla tych chwil wspańnych warto było męczyć się przez dziesięć dni w Czarnohorze.

I cóż takiego zrobiliśmy? Wypełniliśmy tylko nasz obowiązek, wypełniliśmy zadanie, któregośmy się podjęli.¹²³

¹²¹ M. Wisłocka: *Sztuka kochania*. Warszawa 1984, s. 278.

¹²² Montusiewicz et al., op.cit., s. 45.

¹²³ F. Nansen: *Wśród nocy i lodów*. T. 2, Warszawa 1898, s. 365–366.

Vivat Adam!
Vivat Societas Carpathiensis!
Vivant nartae!

Piśmiennictwo

1. Bédier J.: *Tristan i Izolda*. Warszawa 1989.
2. Beldie A.: *Flora României*. Vol. 1, București 1977.
3. Berman A.: *Wśród żywiołów*. Warszawa 1988.
4. Burnaszow G. W.: *Werchowyna. Putiwnyk*. Užhorod 1986.
5. Dębicki S.: Na nartach. „*Wierchy*” 1924, R. 2, s. 87–91.
6. *Flora Europaea*. Vol. 1, Cambridge 1964.
7. Gaworska E.: Zimowa podróż. [W:] *Śpiewajmy razem*. Świdnik 1981, s. 23.
8. Gąsiorowski H.: *Przewodnik po Beskidach Wschodnich. T. 2: Pasma Czarnohorskie*.
9. Gąsiorowski H.: Uwagi o rozmieszczeniu siedzib huculskich. „*Wierchy*” 1926, R. 4, s. 78–118.
10. Goszczyński S.: *Dziennik podróży do Tatrów*. Petersburg 1853.
11. Goszczyński S.: *Zamek Kaniowski*. Warszawa 1891.
12. Grzegorzewski J.: Pierwsza wyprawa zimowa przez Zawrat do Moraskiego Oka. *Almanach Tatrzański. Rocznik Tatrzaństwa* 1894/1895, cz. 2, s. 63–110.
13. *Huculszczyzna. Istoriko-etnograficzne doslidzennia*. Kyjiw 1987.
14. Jablczyńska H.: Dwa tygodnie w Gorganach i Czarnohorze. „*Narciarstwo Polskie*” 1927, nr 2, s. 123–129.
15. Jaroš P.: *Tysiącletnia pszczoła*. Katowice 1988.
16. J.B.K. (wł. Pawlikowski J.G.): Gdy luty mnie oduje wiatr... „*Wierchy*” 1923, R. 1, s. 192–193.
17. Karłowicz M.: Wśród śniegów tatrzańskich. „*Słowo Polskie*”, 7 lutego 1908.
18. Karłowicz M.: Z wędrówek samotnych. „*Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego*” 1909, nr 30, s. 8–15.
19. Kordys R.: Jak „odkryliśmy” Sławsko? „*Wierchy*” 1923, R. 1, s. 203–209.

20. Kordys R.: Przez siedm gór i przez siedm dolin — na nartach. „*Wierchy*” 1929, R. 7, s. 95–124.
21. Kotarbiński J.: Wiatr halny. [W:] tenże: *Nowele tatrzańskie*. Zakopane 1923, s. 71–133.
22. Kreiner J. M.: Dzieje obserwatorium meteorologiczno-astronomicznego na Popie Iwanie. „*Urania*” 1989, nr 60, z. 4, s. 98–108.
23. *Księga Psalmów*. (tłum. C. Miłosz), Paris 1981.
24. Lenkiewicz S. (wł. Lenkiewicz W.): *Na nartach w Czarnohorze*. Warszawa–Kraków 1990.
25. Leszko L.: Ewolucja sprzętu narciarskiego. [W:] Młodzikowski G., Ziemilski J. A. (red.): *Narciarstwo. Zarys encyklopedyczny*. Warszawa 1957, s. 83–89.
26. Makuszyński K.: Zima, śnieg, narty i.t.d. „*Narciarstwo Polskie*” 1927, nr 2, s. 101–104.
27. Matuszczyk A.: XXXVI Tatrzański Rajd Narciarski PTTK. „*Gości-niec*” 1991, nr 7, s. 3.
28. Montusiewicz A. et al.: Z wędrówki po Beskidach Wschodnich. [W:] *Płaj 3*. Warszawa 1990, s. 40–53.
29. Nansen F.: *Wśród nocy i lodów*. T. 2, Warszawa 1898.
30. Nyárády E. G.: *Din Domogled pînă la Tatra. Pagini nescrise din istoria botanicii carpatini*. Cluj 1961.
31. *Opriedielitel vysszych rastienij Ukrainy*. Kijew 1987.
32. Orkan W. (wł. Smreczyński F.): *Drzewiej*. Kraków 1912.
33. Orłowicz M.: *Moje wspomnienia turystyczne*. Wrocław–Warszawa–Kraków 1970.
34. Panna Beskidzka. [W:] *Połoniny. Śpiewnik turystyczny*. Warszawa 1985, s. 4–5.
35. Panna Beskidzka 2. [W:] *Śpiewajmy razem*. Świdnik 1981, s. 17.
36. Pavlíček J.: *Člověk v drsné přírodě*. Praha 1989.
37. *Program nauczania narciarstwa zjazdowego*. Kraków 1986.
38. Przyjemski E.: *A kiedy pójdę...* Kraków 1954.
39. Radliński T.: *Wśród wirchów, turni i przełęczy*. Warszawa 1918.
40. Rebajn M.: *Narciarstwo wysokogórskie*. b.m. 1990.
41. Rebuffat G.: *Gwiazdy i burze*. Warszawa 1962.

42. Reunier H.: Höhe und Andauer der Schneedecke im Reisingebirge. *Meteorologische Zeitschrift* 1935, 52, 3.
43. Reymont W. S.: *Chłopi*. T. 2, Warszawa 1970.
44. Rymkiewicz A.: Polarna ballada. [W:] tenże: *Śnieżne i błękitne stacje*. Warszawa 1979, s. 25–28.
45. Rytard J. M.: Echo Starowiecza. [W:] tenże: *Na wielkiej grani. Wniebowstąpienie*. Warszawa 1959, s. 123–157.
46. Rytard J. M.: Sen czy jawa? [W:] tenże: *Na wielkiej grani. Wniebowstąpienie*. Warszawa 1959, s. 13–18.
47. Sayssé-Tobczyk K.: *W śniegach*. Warszawa 1921.
48. Słowacki J.: Kordian. [W:] tenże: *Dramaty. Wybór*. T. 1, Warszawa 1976.
49. Sokołowski M.: Po śnieżnej grani. „*Wierchy*” 1925, R. 3, s. 43–52.
50. Sokołowski M.: W Abruzzach. „*Narciarstwo Polskie*” 1927, nr 2, s. 132–136.
51. *Sprawozdanie z ekskursji botanicznej Towarzystwa Karpackiego w Świdowiec i Czarnohorę — czerwiec 1991* (manuskrypt).
52. Steczkowska M.: *Obrazki z podróży do Tatrów i Pienin*. Kraków 1872.
53. Strumpf E.: *Obrazy Kaukazu*. Warszawa 1900.
54. Strzelecki H.: *Lasy i leśnictwo w Galicji*. Lwów 1900.
55. Szaleńcowa A.: Czas odejść z gór. [W:] *Hej góry, góry. XIV Beskid Niski. Śpiewnik*. Warszawa 1978, s. 52.
56. Vincenz S.: *Na wysokiej połoninie. Nowe czasy. Listy z nieba*. Warszawa 1982.
57. Wajgel L.: O Huculach. Zarys etnograficzny. „*Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego*” 1887, nr 11, s. 49–86.
58. Wajgel L.: *Rys miasta Kołomyi*. Kołomyja 1877.
59. Wielocha A.: Sprawozdanie z wycieczki w Gorgany i Czarnohorę odbytej w sierpniu 1989 roku. [W:] *Płaj* 3. Warszawa 1990, s. 54–80.
60. Wisłocka M.: *Sztuka kochania*. Warszawa 1984.
61. Witwicki S.: Hucuły. „*Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego*” 1876, nr 1, cz. 2, s. 73–86.
62. Witwicki S.: *O Huculach. Rys historyczny*. Lwów 1860.

63. Zapałowicz H.: Krytyczny przegląd roślinności Galicyi. Cz. XXII. *Rozpr. Wydz. Mat. Przyr. PAU (Biol.)* 1911, ser. 3, 11B, s. 443–456.
64. Zaruski M.: Przygoda z lawiną pod Polskim Grzebieniem. „*Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego*” 1909, nr 30, s. 16–22.
65. Żukowski J.: Huculszczyzna. Przyczynki do badań nad budownictwem ludowym. *Biuletyn historii sztuki i kultury* 1934-1935, nr 3, z. 3, s. 273–310.

Aneks 1

A. Standardowe wyposażenie osobiste

narty	Kästle Tour Special
wiązania	Silvretta Tour 404
buty	Dynafit Tourlite 2
kijki	Leki Makalu Antischock
foki	Salewa Super-Clip
plecak	Salewa Canyon SH 60/75
śpiwór	Elite Mt. Rosa
karimat	Evamat
kurtka puchowa	Salewa (model wedle uznania)
polarka	Salewa Polar-Fleece Jacke-Husky
okulary	Cebe Gletscher-Brille
nasadka na okulary	vauDe Brillenvorsatz Additiv
latarka	Petzl Lampe Zoom
nóż	Eka Swede 60 Wood de Luxe
kubek	W.P. wz. 3217
busola	W.P. Z. Jeznacki, Warszawa wz. K.M. 32
mapnik (z mapami)	Salewa Kartentasche

spodnie, koszula, bielizna, skarpety, czapki, kominarka, rękawice, łyżka, szczoteczka do zębów, paszport, pieniądze (wedle uznania)

B. Wyposażenie grupowe

plachta biwakowa	M. Zdarsky mod. III
folia ratunkowa	Rettungsdecke Solid
łopatka	Salewa Skinotschlitten
siekiera	S. Gronikowski, Kościelisko (rękodzieło)
lina 20 m/8 mm	Edelweiss Ultralight

palnik gazowy	Camping Gaz Bleuet
kociołki	Mintur SSSR
menażki	Trangia Sturmkocher
termosy	Hot Stuff
aparaty fotogr.	Chinon Handyzoom 5001, Ricoh XF-30
lornetka	Tasco 7-15 x 35mm Zip Focus Zoom Binocular
radiotelefony	Thommen RT 500 (nie zdały egzaminu)
termometr	LR Łódź
aneroid	Wilkie Touring
klucz do ozn. roślin	<i>Opriedielitel vysszhich rastienij Ukrainy</i> Kijew 1987
mydło	Fa
pasta do zębów	Elmex au fluor d'amines
ręcznik	
apteczka	
reperaturka	

Czytelniku!

Jeśli podoba Ci się pomysł „Płaju”, jeśli chciałbyś się przyczynić do jego rozwoju, proponujemy Ci Prenumeratę Przyjaciół. Polega ona na opłaceniu subskrypcji „Płaju” w wysokości podwójnej, potrójnej lub większej, w zależności od chęci i możliwości finansowych.

Osoby, które wpłacą Prenumeratę Przyjaciół, otrzymają po jednym egzemplarzu czasopisma, tak jak zwykli subskrybenci, zostaną natomiast wpisane na publikowaną w kolejnych numerach listę Wielkiego Kręgu Przyjaciół Karpackiego Płaju oraz otrzymają honorowe patenty podpisane przez Prezesa Towarzystwa Karpackiego.

Warunki subskrypcji „Płaju” zamieszczamy na odwrocie strony tytułowej. Prosimy na blankiecie wpłaty dopisać dodatkowo: „Prenumerata Przyjaciół”.

Joanna Tyska-Kobylińska

MOJE POWROTY W CZARNOHORĘ

*Pode mną jary strumieni — dumanie czarnej hory —
ziemio ze mchu zielona, światy goreją jak wianki,
mienią się w pianie kamienie.
Ziemio gorzkiego plonu i ziemio natchnień —
wiatrem pachnie.*

Z wiersza *Świat bez granic* nieznanego autora

O krainie mego dzieciństwa, o Huculszczyźnie i Czarnohorze myślałam często, ale myślałam i wspominałam ją jako coś nierealnego, nawet przez chwilę nie robiąc sobie nadziei, że tę krainę jeszcze zobaczę, przecież przez tyle dziesięcioleci, przez blisko pięćdziesiąt lat była niedostępna dla przybyśców z zewnątrz.

Nieliczne wypadły w tamte strony rozpoczęły się około 1988 roku. Ja o możliwości zorganizowanego wyjazdu dowiedziałam się w 1990 roku, ale realnego kształtu nabrała dla mnie wyprawa w Czarnohorę w 1991 roku, kiedy to w te strony wyjeżdżała grupa turystów z mojego zakładu pracy, to jest Głównego Instytutu Górnictwa w Katowicach. Trasa wycieczki wiodła główną granią Czarnohory, zaczynając od Pietrosa, który to szczyt przed II wojną światową był po stronie węgierskiej, a kończąc na Pop Iwanie i przejściu przez wioskę Dzembronia do Żabiego (obecnie Werchowyna).

Wybierali się na tę wycieczkę prawie sami mężczyźni, młodzi lub w sile wieku, sprawni i na ogół doświadczeni turyści. Nic więc dziwnego, że przyjęto mój udział niezbyt chętnie. Pięćdziesięciodziewięcioletnia kobieta mogła sprawić kłopot w tych trudnych górskich warunkach. Jednak moje pragnienie ujrzenia Czarnohory, a szczególnie połoniny Maryszeskiej pod Wielką Maryszeską, gdzie stało niegdyś schronisko Karpackiego Towarzystwa Narciarzy prowadzone przez moich Rodziców, Zofię i Witolda Tyskich, było tak silne, że nie przyznawałam się, można powiedzieć, nawet sama przed

sobą, do niedobrego stanu zdrowia i niedawno przebitego stanu zapalnego stanu kolanowego. Brałam oczywiście pod uwagę, że w razie pogorszenia stanu zdrowia w porę wycofam się z trasy, nie robiąc swoją osobą kłopotu reszcie grupy. I tak się właśnie stało. Już po pierwszym etapie, to jest po przemarszu z Lazeszczyzny do bazy „Howerla” u podnóża Pietrosa z ciężkim plecakiem, w którym trzeba było mieć zapas żywności na tydzień, wrócił silny ból w kolanie i jednocześnie dopadła mnie grypa. Dalsza wędrówka byłaby niewybaczalną lekkomyślnością.

Tu pragnę podkreślić nadzwyczaj koleżeńską postawę moich towarzyszy. Choć mieli wątpliwości zabierając mnie na tę wyprawę, później bardzo mi współczując i rozumiejąc moje ogromne pragnienie powrotu do ukochanych miejsc, starali się mi pomóc. Podawali mi swoje schowane na „złą godzinę” najlepsze leki, okrywali własnymi śpiworami, nawet zachęcali, bym mimo wszystko szła z nimi dalej, a ukraiński przewodnik Stepan ze Stryja wystąpił z największego poświęcenia wymagającą propozycją, że poniesie mój bagaż, a miał biedak już ogromny ponad głowę plecak, w którym niósł m.in. zapas cukru i chleba. Dobrze, że zwyciężył u mnie rozsądek i z wielkim żalem pożegnałam się z grupą, która po osiągnięciu Pietrosa następnego dnia wyruszyła na Howerlę i dalej na Pożyżewską, gdzie był przewidziany nocleg. Ja pociągami pojechałam do Worochty, gdzie miałam się z grupą spotkać w dniu odjazdu do Lwowa.

Kiedy po pięciu dniach spotkałam w Worochcie moich ubłoconych, utrudzonych i niewyspanych towarzyszy, podbiegł do mnie kolega Michał Szot, mówiąc: „Pani Joanno, co za szczęście, że pani nie poszła, umarłaby pani, i może jeszcze ktoś, kto chciałby panią ratować”. Może w tym powiedzeniu było nieco przesady, lecz nie tak dużo. I tu nasuwa się uwaga, która dla ludzi silnie związanych z górami nie będzie wcale nowa, mianowicie, że góry nie należy nigdy lekceważyć. Koledzy moi i koleżanki, gdyż były też trzy kobiety, młode i wysportowane, powtarzali wielokrotnie, że pasmo Czarnohory to góry niewielkie i zupełnie łagodne. Tymczasem zdarzyła im się przykra przygoda. Już po całym dniu marszu z Pożyżewskiej, a mieli ciężkie plecaki, pod Pop Iwanem zabłądzili w deszczu, mgle i prószącym śniegu. Okazało się, że dwaj ukraińscy przewodnicy nie znali dobrze Czarnohory, liczyli raczej na szczęście i dobrą pogodę. Objuczona mocno grupa w deszczu przedzierała się przez kosówkę przez pół nocy i niektórzy bliscy już byli pełnego wyczerpania sił. Nad ranem dotarli do Dzembroni, niektórzy pogubili część bagaży, niektórzy byli skrajnie wyczerpani. Na szczęście obeszło się bez poważniejszych skutków, a pogubione rzeczy odnalazł przewodnik Jura ze Stryja, który był bardzo zawstydzony tą przewodnicką wpadką.

Widząc, że ten sposób dotarcia „do samego jądra gór” jest już dla mnie zbyt ciężki i ryzykowny, postanowiłam w następnym roku spróbować dotrzeć w Czarnohorę innym sposobem, korzystając z pomocy miejscowego przewodnika. Doszłam też do wniosku, że najlepszą bazą wypadową w Czarnohorę jest, tak jak to było przed wojną, Worochta, a następnie dom sportowca na Zaroślaku pod Howerlą. Obecnie dom sportowca jest dostępny dla turystów. W 1992 r. jeszcze trzeba tam było załatwiać nocleg po znajomości.

I przyszedł wreszcie ten wymarzony czas wyjazdu przez Lwów do Worochty — lipiec 1992 roku. Tym razem mój powrót w Czarnohorę przebiegał pomyślnie i można rzec, na ogół planowo. Już podczas poprzedniego pobytu zawarłam znajomości z miejscowymi ludźmi i to ułatwiło mi wejście w tę krainę górską, tajemniczą i dziką, która była scenerią mego dzieciństwa, krótkiego, bo przerwała je wojna, ale bardzo szczęśliwego. Był to też, wiem to na pewno, szczęśliwy czas, te lata 1936–39, dla moich Rodziców, którzy byli górami tak zauroczeni, tak zakochani w tych stronach, że odwrót, że powrót do miasta był decyzją bardzo trudną i decyzję tę podjęli zbyt późno, co przypłacili życiem.

Ale wracając do lipca 1992 roku. Po krótkim pobycie we Lwowie, mieście, z którym jestem również serdecznymi więzami wspomnień związana, gdyż jest to miasto rodzinne Rodziców, moje i prawie całej mojej rodziny, pojechałam do Worochty, już z worochciańskim przewodnikiem Wasylem, który pomagał mi nieść bagaż, ciężką torbę, w której był zapas żywności na dwa tygodnie. Jak wiadomo, zaopatrzenie sklepów na Ukrainie jest obecnie znikome. Codziennie jest w sklepie tylko ciemny chleb i zwykła wódka „mohoricz”, inne produkty tylko bywają, raczej rzadko.

W ciągu pierwszych dni pobytu w Worochcie chodziłam na niewysokie góry (ok. 1200–1300 m) otaczające miejscowość. Góry te nie należą jeszcze do pasm Czarnohory i Gorganów. Oglądane z dołu, z Worochty, wydają się niezbyt ciekawe, zupełnie pokryte lasem świerkowym, jednak gdy zacznie się po nich wędrować, odkrywa się ich duży urok. Na przykład Kiczera, Magura, Rebrowacz, Bukowiec (nazwa Bukowca niepewna, słyszałam różne wersje) mają w swoich górnych partiach niewidoczne z dołu połoniny, z których otwiera się wspaniały widok na Czarnohorę, Gorgany, Świdowiec z potężną Bliźnicą i oczywiście Beskid Huculski. Tu pragnę wspomnieć, że podczas moich trzech współczesnych pobytów w Worochcie, bo w 1993 roku nastąpił trzeci, najdłuższy pobyt, polubiłam bardzo tę miejscowość, tak rozległą, tak całą na wzgórzach i wśród gór położoną, przeciętą serpentynami Prutu, chłodnym klimatem przypominającą Zakopane i tak jak Zakopane piękną. Polubiłam też gościnnych i bardzo towarzyskich ludzi z Worochty.

O ich odmiennym nieco od naszego stylu życia i zwyczajach można by napisać bardzo wiele, lecz wykraczałoby to poza ramy tych wspomnień z dzieciństwa i powrotu po wielu latach.

W lipcu 1992 roku wyruszyłam w Czarnohorę w towarzystwie przewodnika z miejscowego biura turystycznego w Worochcie, Wasyla Ł. Bazą naszą miał być dom sportowca na Zaroślaku. Dojechaliśmy tam autobusem dowożącym pracowników. W pierwszym dniu tego wypadu w Czarnohorę przy pięknej pogodzie weszliśmy na Howerłę, najwyższy szczyt pasma. Wejście na Howerłę przy dobrej pogodzie od strony Zaroślaka nie nastręcza żadnych trudności prócz tego, że trzeba pokonać sporą różnicę wzniesień. Widok z Howerli przeogromny na wszystkie okoliczne szczyty i pasma, droga przyjemna, „połoninna”, a nie kamienista, dzień był słoneczny i ciepły, nic więc dziwnego, że z wycieczki tej byłam bardzo zadowolona. Następnego dnia wyruszyłam z przewodnikiem w kierunku połoniny Maryszeska pod Wielką Maryszeską, na poszukiwanie ruin schroniska. Wkrótce okazało się, z czego sobie wcześniej nie zdawałam sprawy, że przewodnik mój Czarnohory właściwie nie zna, tak jak nie znał jej żaden ze znanych mi worochcian. Znają oni jedynie Howerłę, Zaroślak i niektóre połoniny położone bliżej Worochty, np. połoninę na Kukulu. Po prostu góry są dla nich taką codziennością, że nie czują potrzeby zwiedzania ich szczytów. Podejrzewam, że znają je dość dobrze tylko niektórzy kłusownicy. Poznałam w Worochcie jednego starego, wytrawnego kłusownika, ale nie miałam ochoty z nim wędrować. Przewodnik Wasyl zaprowadził mnie na szczyt Maryszeskiej. Na szczyt ten dochodzi się zarosłą miejscami ścieżką, częściowo potokiem z Foreszczenki, to jest z „czternastego kilometra”. „Foreszczenka” jest obecnie, zdaje mi się, nazwą zapomnianą, a miejscowi posługują się właśnie oznaczeniami w kilometrach drogi z Worochty na Zaroślak i na Zawojelę. Oznaczenia w kilometrach pozostały jeszcze z czasów istnienia kolejki wąskotorowej, wybudowanej w okresie międzywojennym, a rozebranej w latach sześćdziesiątych.

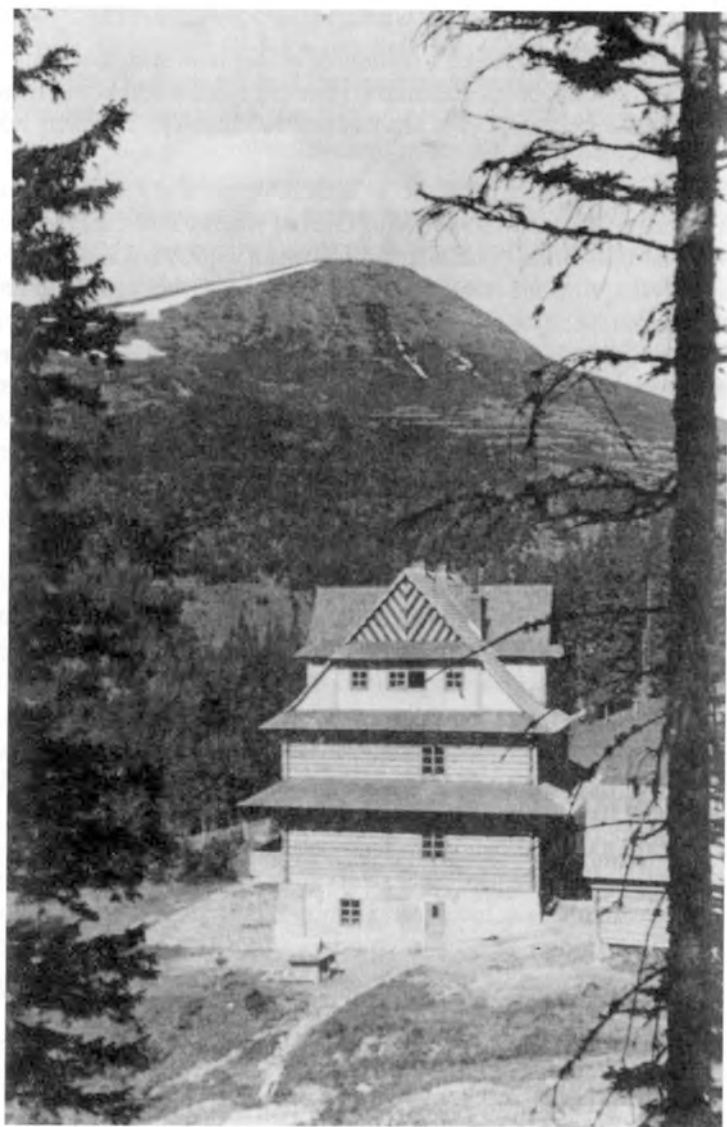
Szczyt Maryszeskiej Wielkiej jest tylko w niewielkiej części zalesiony, a w przeważającej pokryty gęstymi krzakami jałowca i kosówki, pod szczytem pasie się często stado koni, nie są to koniki huculskie, lecz zwykłe nizinne. Widok stada koni na wysokich połoninach jest bardzo malowniczy. Konie te są dogłądane przez gajowego i jego pomocnika tylko sporadycznie.

Słusznie pisał Rafał Malczewski we wstępie do książki *Góry wołają*, którego cytują autorzy przewodnika *Powroty w Czarnohorę*, o wyjątkowej urodzie i specyfice widoków z pasma Czarnohory i sąsiednich pasm Karpat Wschodnich, mianowicie bezkresności łańcuchów górskich aż po horyzont, gdzie wzrok nie napotyka żadnych siedzib ludzkich, jedynie góry, połoniny,

doliny i z rzadka jedynie ślad cywilizacji w postaci staj pasterskiej lub stada koni czy owiec.

Szukaliśmy ruin schroniska na podstawie tego, co zapamiętałam sprzed 53 lat, to jest dnia, kiedy razem z rodzicami opuściłam to miejsce na zawsze, a także na podstawie zdjęć, które robił mój ojciec, a które posiadam do tej pory. Byłam oczywiście wzruszona wracając w ten mój świat dziecięcych wspomnień, tak na zawsze utracony świat, mityczny, jak mała górską Atlantyda. Wprawdzie proza życia i różne drobne przygody nie pozwalały mi się zbyt często wzruszać. Na szczycie Maryszeskiej dopadła nas burza, letnia burza z krótkotrwałą, gwałtowną ulewą. Po ulewie tej, mając przemokniętą odzież, chciałam wrócić na Zaroślak i kontynuować poszukiwania następnego dnia. Doszło do kontrowersji z moim przewodnikiem Wasylem, który nie miał ochoty przedłużać pobytu na Zaroślaku ani jeszcze raz iść na Maryszeską. Musiałam ustąpić, co zresztą wobec faktu, że znów ukazało się słońce, nie było trudne. Ze szczytu Maryszeskiej nie znaleźliśmy żadnej ścieżki i trzeba było przedzierać się przez zbitą gęszcz jałowca i kosówki. Niżej, gdzie był świerkowy las, nie było już tych trudności. I tu niespodziewanie, bo w tych okolicach rzadko spotyka się człowieka, spotkaliśmy gajowego. Zezłoszczona tym wszystkim, burzą, przemokniętymi do cna spodniami, moim przewodnikiem, który nie miał miłego ani łatwego usposobienia, widząc dobrodusznego gajowego mówię do przewodnika: „*Win nam zarazki skaże, szczo takoj turbazy w zahali ne buło*”. Gajowy spokojnie oświadczył, że zaraz zaprowadzi nas do ruin schroniska. Wydawało mi się to wprost nieprawdopodobne, bo pytani przedtem worochcianie nie wiedzieli nic o tym, że takie schronisko kiedyś istniało. Jednak idąc za owym gajowym po kilku minutach doszliśmy do ruin schroniska. Tu ktoś „oblatany” w Czarnohorze może wzruszy ramionami: „Też mi sztuka znaleźć ruiny, które są przy ścieżce wiodącej od Bystrzca”. Pewnie że nie sztuka, jak się o tym wie, ale ja miałam tylko te przedwojenne zdjęcia i własną pamięć. Ruiny są nawet bardziej malownicze niż się mogłam spodziewać. Pozostały resztki kamiennego parteru, które, solidna robota, trzymają się dobrze, a w nich, jak w ogromnej ikebanie, cały bukiet: małe drzewka świerkowe i moc różnych kwiatów, a kwiatów na łąkach Pokucia i Czarnohory nie brakuje, tak ukwieconych łąk nie widziałam nigdzie w Polsce. Połonina wokół ruin schroniska zarasta lasem, źródółko poniżej schroniska, nie ujęte w żadne formy, zawilgociło otoczenie, tak że w czas deszczowy teren jest bardzo podmokły.

Mój Boże, cóż to za kontrast, kiedy przypominę sobie tętniące gwarem licznych gości schronisko. Teren wokół budynku był starannie zagospodarowany, a przed frontem było coś w rodzaju małego alpinarium, czy też klombu



Schronisko KTN pod Maryszeską fot. W. Tyski



obsadzonego góorskimi kwiatami i roślinnością. Teraz pustka, cisza, nieokreślona górską przyrodą, bujna roślinność i czasem tylko stado koni przemknęło koło ruin, bardzo rzadko pojawi się pastuch lub gajowy, a jeszcze rzadziej turysta.

Rodzice moi przejęli schronisko w dzierżawę od Karpackiego Towarzystwa Narciarzy ze Lwowa w 1936 roku. Ojciec, Witold Tyski, inżynier leśnik, był lwowianinem, ukończył Politechnikę Lwowską w 1929 roku. Matka, Zofia z Popielów Tyska, również lwowianka rodowita, ukończyła geografię na Uniwersytecie Poznańskim, a także Akademię Wychowania Fizycznego. Przed podjęciem decyzji o wzięciu w dzierżawę schroniska Ojciec był adiunktem w nadleśnictwie w Jaremczu. Tu wspomnę, że takie wydzierżawienie schroniska nie było sprawą łatwą ani taną. Kaucja wraz z opłatą dzierżawną za rok wynosiła kilka tysięcy złotych, a co można było wtedy kupić za 5 tys. zł, to jeszcze starzy ludzie pamiętają. Poza tym kandydaci byli dokładnie „prześwietlani” przez prezesa Towarzystwa, prof. Zygmunta Klemensiewicza i jego doradców.

Wszystkie cztery schroniska w Czarnohorze (pomijam tu małe schronisko pana Gaudina na Gadżynie i schronisko na Kukulu, które wybudowano tuż przed wojną) prowadzili ludzie nietuzinkowi, w silny i można powiedzieć profesjonalny sposób związani z górami. O Ludwiku Ziemblicu pseudonim „Dobosz” prowadzącym schronisko warszawskiego AZS pod Pop Iwanem można by napisać powieść z wątkiem sensacyjno-awanturkowym, lecz był to człowiek gór z krwi i kości, czego dowiódł całym swym życiem. Na starość osiadł w Zakopanem i żałuję bardzo, że nie starałam się z nim skontaktować. Pamiętam z dzieciństwa jego wysoką postać i bardzo niebieskie oczy. Krążyły pogłoski, że postrzelił swoją żonę i miał z tego powodu sprawę sądową. W każdym razie był postacią intrygującą środowisko turystyczne. Zainteresowanych odsyłam do bardzo interesującego wywiadu z L. Ziemblicem w ITM z lutego 1983 r. pt. *Spojrzyć z góry na ten cały świat*. Literatury na temat L. Ziemblica jest więcej. Pisał o nim przed laty „Przekrój”, pisze w swoich wspomnieniach z Czarnohory W. Midowicz. Pan Ziemblic bardzo troszczył się o turystów docierających do jego schroniska pod Pop Iwanem. W czasie mgły wychodził gdzieś w okolicę Pohanego Misca z psem i z rogami myśliwskim, nawet nie wiedząc, czy ktoś idzie, tak na wszelki wypadek, o czym opowiadał mi niedawno mój wuj, Tadeusz Szumski, który tak właśnie wraz z kolegą został przez Ludwika Ziemblica odnaleziony, ku wielkiemu swemu zaskoczeniu i radości.

Na Zaroślaku gospodarzyli bardzo przez turystów dobrze wspominani państwo Czuczewiczowie. Oczywiście też nie byli to przypadkowi ludzie.

Stanisław Czuczewicz, współautor *Przewodnika górskiego* z 1930 roku, był znawcą tych terenów i wielkim miłośnikiem gór, z pewnością dotyczy to też jego żony. Pamiętam, że Czuczewiczowie mieli dwoje dzieci. Znałam je tylko z opowiadań moich Rodziców, bo niestety do Zaroślaka było tych kilka godzin drogi góorskimi ścieżkami przez lasy. Rodzice nieraz ze śmiechem opowiadali o łobuzerskich wyczynach tych dzieci, chłopca i dziewczynki, z pewną dumą uważając, że ja jestem grzeczniejsza. Przeceniali chyba swą jedynaczkę, gdyż ja, będąc na ogół spokojnym i nieśmiałym dzieckiem, miałam od czasu do czasu szalone pomysły, przez które raz omal nie spłonął cały las na Maryszeskiej, innym razem szczęśliwie zaopiekowała się mną i koleżanką straż graniczna, gdyż nie mówiąc nic nikomu namówiłam ją, abyśmy poszły do Worochty na spotkanie mojej Babci, która miała przyjechać, i tak wyruszyliśmy sobie w las, hen w świat... Przygody i zabawy dziecinne na Maryszeskiej to byłby temat na osobną książeczkę.

W schronisku harcerskim pod Kostrzycą, na wysokości ok. 1350 m gospodarzyła harcerka ze Starego Sącza, Janina Zięba. Była to wówczas młoda dziewczyna. Pamiętam, jak moi Rodzice często z podziwem wyrażali się o niej. Mówili mniej więcej tak: „Co za dzielna dziewczyna, sama radzi sobie ze wszystkim w tym schronisku. Taka młoda i tak energiczna i zaradna”. Janina Zięba, później po mężu Sałukowa, dożyła starości w swym rodzinnym Starym Sączu i tam zmarła niedawno. Ostatnio chciałam się z Nią skontaktować. Adres dostałam od p. Tadeusza Petrowicza. List wrócił z adnotacją „adresat zmarł”. Wszyscy gospodarze schronisk w Czarnohorze, oprócz schroniska na Kukulu, o którym nic nie wiem, byli dobrymi znajomymi moich Rodziców i wszyscy Oni byli przez Nich lubiani i cenieni.

Wracając do moich Rodziców i ich ukochanego schroniska na Maryszeskiej, z głębokim przekonaniem uważam, że wybór prof. Klemensiewicza był trafny. Rodziców moich jeszcze w czasach studenckich, może i wcześniej, porwała pasja narciarstwa. Mama zaczęła się uczyć jazdy na nartach we Lwowie na uroczej uliczce Franciszkańskiej (bocznej od Łyczakowskiej), która jest dość stroma. Przy tej ulicy pod nr. 10 wychowała się moja Mama, jej trzech braci, a także w pewnych okresach ja.

W czasach studenckich Rodzice, wówczas jako para narzeczeńska, jeździli często wraz z kolegami na narty w Gorgany, które są nieco bliżej Lwowa niż Czarnohora i były w latach dwudziestych bardziej uczęszczane przez turystów. Bazą wypadową było Sławsko. Później zaczęły się wypadki w Tatry i w Czarnohorę. Oboje lubili sport i z zapałem pływali, grali w tenisa i wiosłowali kajakami po Dniestrze. Praca w leśnictwie uziemiła nieco te pasje

sportowe i turystyczne, choć niezupełnie oczywiście. Była to przecież praca w górach i z górami, a przede wszystkim z lasami związana.

Kolejne miejsca leśnej pracy Ojca to Zawoja koło Babiej Góry, następnie Słoboda Rungurska pod Kołomyją, Peczeniżyn i wreszcie Jaremcze. Jednak Ojciec nie lubił nadmiaru biurokratycznej roboty związanej z pełnioną funkcją, a także silnego uzależnienia od zwierzchników. Wojskowy dryl obowiązujący wówczas w służbie leśnej był sprzeczny z naturą mojego Ojca. Był on indywidualistą, a także idealistą i marzycielem rozczytującym się w poezjach Słowackiego, Kasprowicza, Leopolda Staffa i innych. Oczywiście nie tylko poezję czytywał, również szalenie lubił sensacyjno-przygodową literaturę autorów amerykańskich i angielskich. Jako sympatyk filozofii i religii Dalekiego Wschodu, szczególnie buddyzmu, był przeciwnikiem zabijania zwierząt, jedzenia mięsa. Był wegetarianinem, choć oczywiście w schronisku podawano dania mięsne. Mama pod wpływem Ojca wyrzekła się jedzenia mięsa prawie w ogóle, jak również i ja. Uwielbiał długie, bezszlakowe wędrówki po górach z aparatem fotograficznym, bywało, że sypiał sam i bez namiotu pod drzewami, popijając wodę z górskich potoków. Kiedy już osiadł z rodziną na stałe w Czarnohorze, do miasta wyjeżdżał tylko w razie absolutnej konieczności. Ojciec propagował wśród znajomych różne zdrowotne systemy i diety. Zresztą często takie właśnie, jak obecnie są modne. Pamiętam, jak zachęcał wszystkich do jedzenia na śniadanie zupy z grubo mielonej żytniej mąki bez mleka, a jedynie z odrobiną masła.

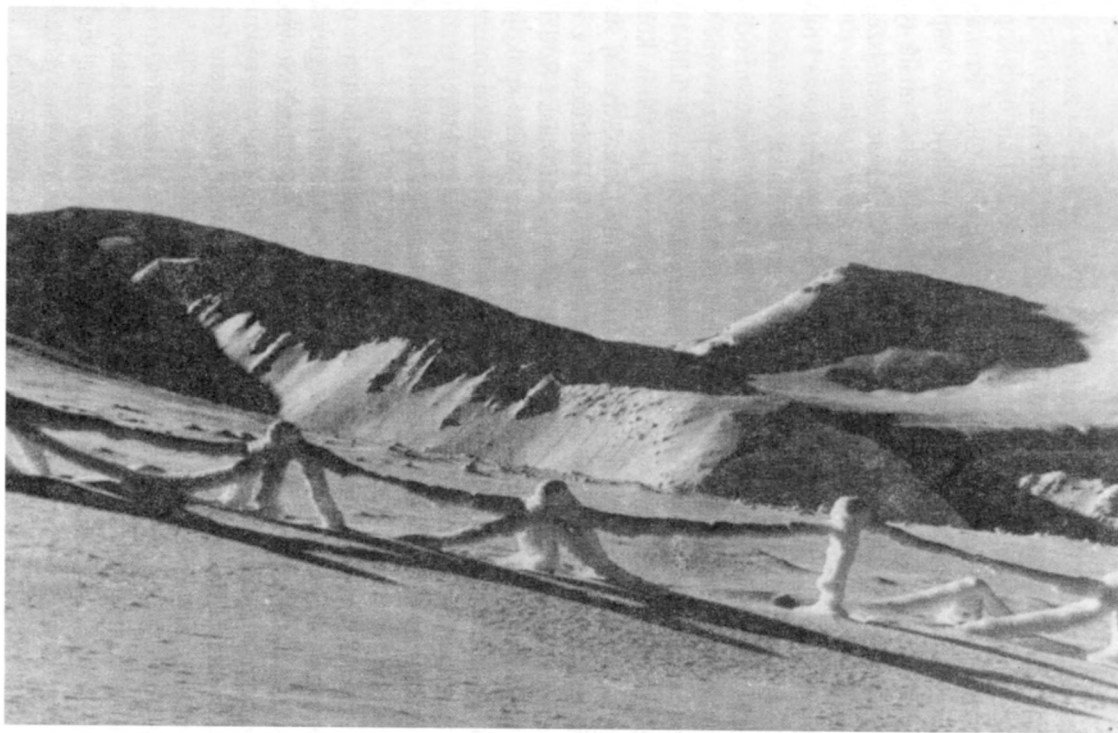
Wielkim zamiłowaniem Ojca w tych latach na Maryszeskiej było fotografowanie. Fotografował góry, szczególnie w śniegu, także kwiaty, drzewa, roślinność górską i oczko w głowie Rodziców — schronisko na Maryszeskiej. W dziedzinie fotografii artystycznej miał zauważalne osiągnięcia. Wiem, że wysyłał zdjęcia na konkursy fotograficzne, niektóre zdjęcia były reprodukowane jako pocztówki i sprzedawane w schronisku. W wydawanej przez Książnicę „Atlas” serii widokówek z Czarnohory były widokówki autorstwa Ojca. U mnie zachował się jeden egzemplarz z tej serii, z pewnością było ich więcej. Zdjęciami Ojca była ilustrowana książka Józefa Bieniasza pt. *Lawina idzie*, wydana w 1947 r. Wydawca nie podał jednak nazwiska autora zdjęć. Sporo takich przedwojennych zdjęć z Czarnohory zostało mi po Ojcu. Z żalem stwierdzam, że autorzy świetnego „nie tylko przewodnika” pt. *Powroty w Czarnohorę* nie wymienili nazwiska mego Ojca ani Romana Puchalskiego obok wielu wówczas fotografów-amatorów fotografujących te góry. O niektórych z nich, jak Klemensiewicz, Kupiec, Lenkiewicz, wiem, że byli znajomymi lub przyjaciółmi Rodziców. Pozostali wymienieni prawdopodobnie też nie byli im obcy. Przypuszczam, że to przemilczenie

fotograficznego dorobku Ojca ma dwie przyczyny. Po pierwsze — zaczął zajmować się fotografowaniem gór dopiero jako gospodarz schroniska, a więc około 1937 roku, po drugie — zginął młodo w czasie wojny i nie było komu przypomnieć o jego dorobku; dotyczy to również przyjaciela Ojca, Romana Puchalskiego, który zginął w Katyniu. Większość wymienionych we wspomnianym przewodniku przeżyła wojnę i kontynuując twórczość miała tym samym możliwość utrwalenia w pamięci i w źródłach również wcześniejszego swego dorobku.

Kiedy Rodzice zaczęli gospodarzyć, schronisko było całkiem nowe i brak było jeszcze wielu podstawowych rzeczy wewnątrz i na zewnątrz. Początkowo z Foreszczenki od stacji kolejki wąskotorowej nie było drogi. Transport odbywał się na grzbietach koni. Na koniu wierzchem musieli też przybywać do schroniska ci goście lub członkowie rodziny, którzy nie mieli siły odbyć tej drogi pieszo. I tak też odbyłam tę drogę po raz pierwszy ja. Obok konia szedł parobek Jura z Bystrca i powtarzał do znudzenia „Jasia, trzymaj się”, aż zaczęłam się niecierpliwić, co ogromnie ubawiło moich Rodziców i z ich opowiadań tę historyjkę pamiętam. Wkrótce po objęciu schroniska Rodzice kupili dwa konie, ale nie jakieś rasowe, zwyczajne, za to bardzo spokojne. Konie te nie były całkiem młode i przyniosły ze sobą swoje ruskie imiona: Łyśko i Maruszka. Szczególnie spokojna była Maruszka, na której grzbiecie często jeździłam, jednak i ona poniosła mnie kiedyś galopem do niskiej stajni, bo tam był jej żrebak. Mogło się to źle skończyć.

We wrześniu 1939 roku Maruszkę wypożyczyli moi Rodzice rannemu oficerowi polskiemu, który wraz z innymi oficerami przechodził na węgierską stronę. Maruszka już nigdy do nas nie wróciła. Łyśka zaś zabrali Sowieci, również we wrześniu, żrebaka wzięli sobie chłopci z Bystrca, oni również zabrali psa, owczarka Baszę. Był to piękny owczarek rumuński, często fotografowany przez mego Ojca.

Już w 1937 lub 1938 roku pod nadzorem Ojca zrobiono przejezdną drogę z Foreszczenki do schroniska. Samochody jednak tam nie dojeżdżały. Na szczęście. Transport żywności od kolejki do schroniska bywał zimą ciężki i niebezpieczny. Trzeba pamiętać, że schronisko położone było na wysokości ok. 1400 m, wokół były szczyty ok. 2000 m, a śnieg jest tam ogromny i leży długo. Kiedy byłam w tym roku w lipcu, w kotłach i pod szczytami było wiele śnieżnych łąk. Przed wojną w Czarnohorze było dużo wilków (tu nie zgadzam się z autorami *Powrotów w Czarnohorę*). Teraz jakoś nie słyszy się o wilkach. Widocznie zostały wytepione. Natomiast teraz jest w tych stronach sporo niedźwiedzi. Nie słyszy się jednak, by napadały na ludzi. Natomiast na owce i krowy — tak.



Zasieki z I wojny światowej na Szpyciach *fol. W. Tyski*



Pamiętam opowiadanie Rodziców o tym, jak zimą saniami zaprzężonymi w konie wieźli żywność z Foreszczenki lub Worochty. Była śnieżycą i wichura, konie ugrzęzły na dobre, wycia wilków były coraz bliżej, było już późno. Rodzice czuli zagrożenie życia. Wyrzucili cały prowiant w śnieg i jakoś z największym trudem wrócili do schroniska.

W schronisku było jednak dużo więcej chwil pogodnych i wesołych. Zimą zjeżdżało moc narciarzy i turystów. Przeważnie ze Lwowa, Krakowa i Warszawy, choć oczywiście bywali ludzie z całej Polski. Przeważała lwowska, warszawska, krakowska inteligencja, ludzie ze świata sztuki, nauki, z wolnych zawodów, czasem też bywali oficerowie, wówczas grupa zawodowa bardzo zamężna. Oficerowie nie zawsze zachowywali się wzorowo. I z nimi tylko jako gośćmi Rodzice czasem mieli kłopot, gdyż lubili wesoło się bawić, zakrapiając libacje obficie alkoholem. Opowiadało się o tym, jak raz jeden z oficerów zjechał małą windą kuchenną do pomieszczenia kuchennego. Rodzice mogli im zwrócić uwagę jedynie w bardzo taktowny i spokojny sposób, gdyż wojskowi byli bardzo pewni siebie i drażliwi. Oczywiście przyjeżdżały też duże grupy młodzieży szkolnej i studenckiej, korzystając z przysługujących im zniżek. W zimie zdarzało się nieraz, że przyjechało kilka grup jednocześnie i wówczas z trudem mieścili się nawet na podłodze. Turyści spali wówczas nawet na schodach. W rodzinie opowiadało się ze śmiechem o tym, jak wybrał się do swego syna i synowej mój Dziadek. Dziadek przed wyjazdem ze Lwowa ponoć chwalił się, że jedzie pierwszy raz na Maryszeską do syna i spodziewa się, że będzie tam nadzwyczaj pieczołowicie goszczony. Tymczasem trafił na taki dzień, kiedy każde łóżko i każde miejsce na podłodze było zajęte. Moi Rodzice już uprzednio własny tapczan odstąpili jakiejś czcigodnej osobie i Dziadek niestety musiał spać na podłodze. Gdy minęło pierwsze zaskoczenie, Dziadek przyjął to na wesoło, gdyż Józef Tyski był człowiekiem o dużym poczuciu humoru, wesołym, silnym i dodam, że w młodości jako marynarz opłynął wszystkie oceany świata, zanim jako handlowiec we Lwowie dorobił się znacznego majątku.

Schronisko na Maryszeskiej odwiedzało wiele osób wybitnych, które już wówczas były w Polsce znane lub zasłynęły później. Niestety, ja niewiele z nich pamiętam. Byłam jeszcze zbyt mała, by się tym interesować. Zaglądał oczywiście prof. Zygmunt Klemensiewicz, który był dla Rodziców kimś w rodzaju szefa i wielkim autorytetem. Wiem z rozmów Rodziców, że bywał bardzo wówczas sławny Stanisław Marusarz, bywał (a może był raz) hrabia Potocki, to wiem na pewno, bo flirtował z Ciocią Haneczką, kuzynką Mamy, później żoną Zdzisława Kielanowskiego, wybitnego scenografa filmowego, zmarłego w 1980 roku. Nie pamiętam, jak miał na imię ów hrabia. Bywał

malarz Karol Kossak. Mieszkał w Tatarowie i jeszcze w czasie wojny Rodzice podtrzymywali tę znajomość. Karol Kossak namalował dla mnie na imieniny akwarelę o tematyce bajkowej. Obrazek zaginął w czasie wojny. Bywali też w schronisku bracia Puchalscy, Włodzimierz i Roman. Włodzimierz zasłynął po wojnie jako znakomity fotografik i podróżnik, natomiast starszy Roman był najserdeczniejszym przyjacielem moich Rodziców, oboje lubili go i cenili ogromnie. Był inżynierem i utalentowanym fotografem amatorem. Razem z Ojcem chodził w Czarnohorę, by utrwać jej piękno na zdjęciach. Roman Puchalski zginął w Katyniu, schwytany przez władze sowieckie podczas przekraczania granicy rumuńskiej. Był oficerem rezerwy. O tym, że zginął, Rodzice dowiedzieli się z ogłoszonych przez Niemców list katyńskich i bardzo to przeżyli.

Ostatnimi laty dość często stykam się ze wspomnieniami osób, które były na Maryszeskiej i z sentymentem i sympatią wyrażają się o schronisku i jego gospodarzach. Pani Anna Nikliborcowa w 53 roczniku „Wierchów” z 1984 roku w swoim *Wspomnieniu turystycznym* pisze: „W bocznej grani, na Szpyciach, było nowsze i bardziej komfortowe schronisko, zarządzane przez inż. Witolda Tyskiego, który wraz z żoną potrafił stworzyć tam przemiły klimat, ściągający coraz to większe grupy stałych gości”. I dalej: „Nie przeżyli tylko czasu zagłady państwo Tyscy, którzy licząc na opiekę zaprzyjaźnionych Hucułów, zginęli z rąk obcej bandy”. Ja potwierdzam, że to, co pisze pani Nikliborcowa, to prawda. Od moich krewnych z Krakowa dowiedziałam się, że reżyser teatralny z Krakowa, pani Irena Babel, miło wspomina swoje pobyty w „naszym” schronisku. Pani Jadwiga Podleska, lwowianka, odnalazła mnie za pośrednictwem autora książki *Od Czarnohory do Białowieży*, pana Tadeusza Petrowicza, i napisała pełen ciepłych słów list, tak wspaniale wspomina swój krótki pobyt w schronisku w 1938 roku i gościnność moich rodziców. Jeśli był jakiś głos nieprzychylny na temat schroniska na Maryszeskiej i gospodarzy, a przecież mógł być przy takiej masie gości, jaka się przez nie przewinęła, to do mnie nie dotarł. Słyszałam tylko wiele miłych, ciepłych słów o gościnności gospodarzy z Maryszeskiej.

Sąsiedzkie wizyty składał w drodze na Pop Iwana śp. Władysław Midowicz. Obserwatorium astronomiczne na Popie i bogata, wspaniała i twórcza osobowość W. Midowicza to już w kręgach turystyczno-górskich sprawy tak znane, że nie będę się nad nimi rozwodzić. Odsyłam do licznych publikacji i książek autorstwa Midowicza.

Z panem Midowiczem prowadziłam korespondencję w ostatnich latach jego życia. W jednym z listów odtworzył swoją ostatnią rozmowę z moim Ojcem we wrześniu 1939 roku, z której wynika, że Rodzice nie mogli się

zdecydować na porzucenie schroniska. Mój Ojciec mówił, że dobrze zaopatrzył schronisko na zimę i będzie jeszcze czekał na dalszy rozwój wypadków. Moi kochani Rodzice, a zwłaszcza mój marzycielski i nieco oderwany od realiów życia Ojciec, łudzili się, że wojna z Niemcami szybko się skończy, gdyż na pomoc Polsce natychmiast ruszą Anglia i Francja. Nie oni jedni tak się łudzili w owym czasie. Ja i bez relacji pana Midowicza dobrze pamiętam, jakie były wahania i nastroje Rodziców. Pod wpływem rozmów ze znajomymi z sąsiednich schronisk już prawie zdecydowali się uciekać na Węgry. Przyszedł do nas bardzo zdenerwowany Stanisław Czuczewicz z Zaroślaka. Nie mógł się zdecydować, czy uciekać na Węgry, czy do Rumunii. Przyszedł się poradzić z moim Ojcem. Obaj z wielkim zdenerwowaniem chodzili tam i z powrotem po pomieszczeniu kuchennym i dyskutowali. Po jego odejściu Rodzice spakowali trochę rzeczy na dwa konie. Konie przygotowane do drogi stały przed schroniskiem, a przy nich parobek Jura z Bystrzca, który miał pomagać. I wtedy moja Mama rozmyśliła się. Powiedziała, że tak boi się tułaczki po obcych krajach, że nie może się zdecydować. Zdaje się, że to było po myśli Ojca, gdyż zaraz ustąpił z decyzji. Natychmiast zdjęto worki i plecaki z koni. Zostaliśmy. Około 18 września schronisko otoczyło sowieckie wojsko. Krzyczeli z dala, żeby wyjść, w przeciwnym razie będą strzelać. Wyszliśmy ze schroniska: Mama, ja i chłopak podrostek piętnastoletni, którego uciekający za granicę pozostawili pod opieką moich Rodziców, nie wiem już dlaczego. Nikogo więcej w schronisku nie było. Ojca był chwilowo nieobecny, gdyż poszedł pożyczyć książki do czytania, bodajże do p. Gaudina z Gadżyny. Typowe dla Niego, tu wojna, tu niepewność losu, a On poszedł po lekturę. Ale ja go rozumiem, On tym czytaniem starał się uspokoić wielkie zdenerwowanie, lęk przed niepewną przyszłością, bo walił się cały Jego świat.

Kiedy nasza tak niegroźna trójka wyszła ze schroniska, podbiegli do nas żołnierze rosyjscy z bronią gotową do strzału i ciągle w nas skierowaną. Oni też byli przejęci i zdenerwowani. To były przecież ich pierwsze działania wojenne tuż za granicą. Mama zachowywała się spokojnie, ja zaczęłam głośno płakać. Wtedy żołnierz uspokoił mnie mówiąc po rosyjsku; „Nie bój się, nic ci się nie stanie”. Zrozumiałam go i z miejsca się uspokoiłam. Wkrótce za wojskiem przyszli chłopci z pobliskiego Bystrzca, których żołnierze wezwali, aby zabrali sobie cały dobytek schroniska, zostawiając nam tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Mówili im: „Teraz nastał komunizm, bierzcie, to wszystko wasze, teraz będzie wam dobrze”. I chłopci zaczęli ochoczo wynosić nasze i schroniskowe rzeczy i sprzęty. Moja Mama nie bacząc, że obok stał wojak z karabinem pilnujący, aby wszystko było zabierane akuratanie, wyrwała jeden

piękny kilim z rąk chłopca, mówiąc, że to należy do rzeczy osobistych i potrzebnych. Tak uratowała kilim, który zaraz pierwszej wojennej zimy został wymieniony na kartofle. Ojciec najbardziej ubolewał nad tym, że odebrano mu obydwa aparaty fotograficzne i narty.

W tym czasie, gdy w schronisku „nastał komunizm”, mój Ojciec spokojnie sobie wracający z Gadżyny został zatrzymany przez wojsko i aresztowany. Po jednym dniu wypuszczono go i nakazano Rodzicom natychmiastowe opuszczenie schroniska. Na jeden mały wóz włożyli Rodzice spakowane na-prędce osobiste rzeczy i wyjechaliśmy do Worochty, gdzie na krótki czas zamieszkaliśmy.

I tak skończył się ciekawy, ważny i piękny etap życia moich Rodziców i mojego związany ze schroniskiem na Maryszeskiej. Skończyła się też na zawsze działalność schroniska, która trwała tylko trzy lata. Rodzice byli jego gospodarzami od powstania do końca. Schronisko stało zdewastowane i opuszczone przez lata wojny i zostało spalone, prawdopodobnie przez Rosjan pod koniec wojny lub wkrótce po jej zakończeniu. Być może powodem spalenia było to, aby nie stało się schronieniem dla oddziałów UPA, które grasowały jeszcze długo po wojnie.

Lecz powrócę jeszcze na chwilę do tych lat, kiedy narciarstwo i turystyka kwitły, a wyjazdy w nieco egzotyczną Czarnohorę były w modzie. Oczywiście oprócz mody góry te miały też swoich zagorzałych amatorów, którzy tam wracali, a niektórzy osiadali na stałe. Życie „schroniskowe” było ogólnie biorąc podobne do obecnego, ale zauważam też pewne różnice. Dotyczy to Maryszeskiej, ale też z pewnością innych schronisk, zwłaszcza tych położonych dość wysoko. Obecnie w schroniskach widzi się głównie grupy ludzi bardzo młodych i młodych i trochę ludzi w średnim wieku „zaawansowanym”. Ci ostatni w schronisku tylko prześpią się, zjedzą posiłek i idą dalej, a młodzi, jak to młodzi, pohałasują, pośpiewają przygrywając na gitarze, co jest zresztą bardzo sympatyczne, jeśli nie jest zbyt hałaśliwe. Przed wojną do schroniska na Maryszeskiej, nie mogę pisać o innych, bo znałam tylko to, jeśli przyjeżdżała młodzież, to były to grupy zorganizowane pod opieką nauczycieli lub instruktorów. Grupy takie były zdyscyplinowane i Rodzice nie mieli z nimi żadnych kłopotów. Natomiast zdarzało się, że wesołość stawiała się wesołością wprost szaleńczą, tak jak to było w pewien Oblewany Poniedziałek, kiedy goście wyciągnęli sprzęt strażacki i polewali siebie i pokoje, nie było osoby suchej w schronisku, a siwowłose panie musiały pozawijać się w koce. Robiono różne kawały, które czasem przechodziły w tzw. wygłupy, ale robili to ludzie dorośli, a nawet starsi. Moi Rodzice nieraz przyłączali się do zabawy i wszyscy bawili się jak dzieci. Jakaś beztroska i radość były wprost zaraźliwe.

Potem długo opowiadało się anegdoty o różnych wyczynach. Pewien dobry narciarz, niestety nie pamiętam nazwiska, założył się, że zjedzie na nartach żlebem Szpyci szusując w dół bez zatrzymania, i zrobił to. Wyczyn ten nie został nigdy powtórzony. Chodzi o żleb Szpyci na wprost schroniska.

Pamiętam taki typowy wieczór w jadalni schroniska. Na ścianach powieszane lampy naftowe (schroniska w Czarnohorze nie były zelektryfikowane), ktoś nakręca patefon, płyną melodie tanga, walca lub fokstrota, panie i panowie w spodniach „pumpach” i wełnianych swetrach tańczą, inni w kątach przy stolikach z wielkim przejęciem i zacięciem grają w ogromnie popularnego wówczas brydża, jeszcze inni opowiadają o narciarskich wyprawach i omawiają warunki jazdy. Żadnych wyciągów nie było, a narciarstwo polegało głównie na długich wycieczkach turystycznych. Moi Rodzice, mimo wielu funkcji i poważnych obowiązków związanych z prowadzeniem schroniska, też grywali w brydża z gośćmi. Bardzo to lubili, choć Mama nieraz denerwowała się na Ojca z powodu jego ponoć niefortunnnych rozgrywek. No, a już wycieczki w góry letnie i zimowe, szlakami lub bezszlakowe, z gośćmi lub samotnie, to była największa dla nich przyjemność. Rodzice Czarnohorę znali świetnie. Mogli po niej wędrować w dzień i w nocy we wszystkich kierunkach, nie błędząc. Mama moja w 1938 roku została mianowana instruktorem narciarstwa. Oboje dobrze jeździli na nartach. Na moją bardzo dzielną, pracowitą i energiczną Matkę spadała większość schroniskowej pracy, gdyż do Jej obowiązków należało w zasadzie zarządzanie wszystkim tym, co funkcjonowało wewnątrz schroniska, a więc kuchnia, dbanie o czystość i ciepło. Do tych czynności był personel zwany wówczas służbą, to jest kucharka, dwie podkuchenne i pokojówka. Goście płacili dobrze i mieli prawo wymagać. Mimo trudnych górskich warunków i ciężkiego transportu, tylko za pomocą koni, w schronisku były zawsze smaczne obiady, różne desery i słodczyce, szczególnie nugaty i przekładane andrutami torty, które Mama robiła sama, używając dużo bakalii. Stopniowo Mama skompletowała tak zaufany i sprawny personel, w zasadzie zatrudniając polskie kobiety z Jaremcza, Worochty, a nawet Kołomyi, że dzięki temu miała więcej czasu na turystykę, sport i jakąś towarzyską rozrywkę. Hucułem z Bystrzca był parobek zajmujący się końmi i pomagający przy transporcie. Z rodziną tych Huculów z Bystrzca Rodzice byli nawet zaprzyjaźnieni. Szczególnie Ojciec bardzo lubił i chętnie przebywał z miejscowymi ludźmi — Huculami. Byłam raz razem z Rodzicami na huculskim weselu w Jaremczu. Ojciec oprócz różnych spraw transportowych i organizacyjnych zajmował się wytyczaniem i znakowaniem szlaków turystycznych, bardzo dużo fotografował, zwłaszcza góry i przyrodę, sam zdjęcia wywoływał mając w schronisku specjalną pracownię.



Zofia Tyska (pierwsza od lewej) i Witold Tyski (pierwszy od prawej) z przyjaciółmi

Takie to były prace i zabawy, także chwile ciężkie spowodowane surowymi górskimi warunkami, ale przeważnie dobre, radosne i piękne przeżycia związane z górami i pracą dla ludzi gór spragnionych. Był to okres stosunkowo krótki, lecz dla mnie wciąż żywy w pamięci, choć opuszczając schronisko na Maryszeskiej miałam zaledwie siedem lat. Wspomnienia moje utrwaliły się przez to, że Rodzice moi w czasie okupacji aż do śmierci, która nastąpiła w październiku 1943 roku, wciąż w rozmowach do tego najlepszego w swoim życiu okresu powracali. A ja rozmowom ich przysłuchiwałam się.

W ciągu kilku ciężkich wojennych lat, w których ciągle towarzyszył nam głód i niepewność losu, Rodzice w poszukiwaniu jakiejś pracy aby przeżyć przenosili się kilkakrotnie. Worochta, Jaremcze, wreszcie Krzywopole były tymi kolejnymi miejscami naszego pobytu. Ostatnim miejscem zamieszkania Rodziców było Krzywopole nad Ilcią, przysiółek Żabiego położony przy drodze łączącej Worochtę z Żabiem. Ojciec objął tam posadę leśniczego, co miało ten ogromny plus, że leśniczemu przysługiwał służbowy dom i co ważniejsze, kawałek pola, który dawał szansę przeżycia bez przymierania głodem. W czasie wojny na Huculszczynie tym, którzy nie byli samowystarczalni, nie mieli własnego pola uprawnego i krowy, wciąż groził głód. Klęska głodu w pewnych okresach, zwłaszcza pod okupacją sowiecką, nasilała się i wówczas trafiały się nawet przypadki śmierci głodowej.

W Krzywopolu nad malowniczym zakolem Ilci, w miejscu, gdzie jedną chatę chłopską od sąsiedniej oddzielał mniej więcej kilometr drogi, przeżyliśmy około półtora roku, od wiosny 1942 do jesieni 1943. W połowie 1943 roku w okolicy zaczęły chodzić słuchy, że jakieś bandy, najpewniej ukraińskie, mordują Polaków, szczególnie tych ze służby leśnej, zamieszkających w odludnych miejscach. Były też podejrzenia, że wypadki te mają związek z partyzantką radziecką na tyłach frontu niemieckiego. Gdy Rodzice pod koniec września zdecydowali się wyjechać z zagrożonych terenów, było już za późno. Ciężarówka, która miała zabrać rzeczy, była już zamówiona. Z pewnością zawiadomiony o tym przez swoich ludzi, kilkusobowy oddział UPA był szybszy. Przyszli w dzień do leśniczówki i zastrzelili Rodziców. Mną zaopiekowali się nielicznie jeszcze przebywający w Żabim Polacy. Prawie wszyscy oni na wiadomość o zabiciu moich Rodziców wyjechali z Żabiego do Kołomyi, gdzie było duże skupisko Polaków i gdzie Ukraińcy, ci z UPA i ci, którzy w sposób niezorganizowany mordowali wszystkich Polaków, ogarnięci jakimś szalem nienawiści i żądzą mordu, nie mieli odwagi napadać.

Do Kołomyi przyjechał po mnie Dziadek Tyski i brat Matki Karol Popiel. Zabrali mnie do Lwowa. Potem pozostawałam pod opieką Dziadków aż do pełnoletniości.

Tu dodam jeszcze, że przed wojną i w czasie wojny, mniej więcej do 1943 roku, nie odczuwało się wśród Huculów żadnej antypatii względem Polaków, a nawet przeciwnie, byli bardzo przyjacielsko nastawieni i gościnni. Ja chodziłam przez dwa lata do szkoły ukraińskiej w Jaremczu, w której Polek było niewiele, prawie same ukraińskie dzieci i trochę żydowskich, i nigdy nie doznałam z powodu mojej narodowości żadnej przykrości. Dopiero pod koniec wojny ta szowinistyczna nienawiść, jak rozprzestrzeniający się pożar, dotarła z Wołynia i Podola na Huculszczyznę. Jest to ponury i nie do końca wyświetlony temat. Mogłabym na ten temat napisać więcej, gdyż jeżdżąc ostatnimi laty na Huculszczyznę i rozmawiając ze starszymi ludźmi dowiedziałam się trochę faktów o tych ostatnich latach wojny, wiele spraw tego tematu dotyczących opisał Tadeusz Petrowicz w książce *Od Czarnohory do Białowieży*. Niniejszą opowieść poświęcam głównie okresowi mego życia, który nazwę umownie „Maryszeska” i który dla mnie pozostał świetlany i piękny jak słoneczny dzień na czarnohorskiej połoninie. Na koniec jeszcze krótki fragment z wiersza *Świat bez granic*:

*Noc ugaszona jak pożar dymi żywica —
jodły się modlą, a od Żabiego — cisza.
Hen w Kutach pusto.
Nie ma granic.*



Góry zawsze były natchnieniem twórców. Nie tylko tych największych. Dziś oddajemy głos pomniejszemu, przedstawiając dwa teksty piosenek turystycznych (jeden z nich praktycznie nieznany) oraz wiersz nadesłany przed kilku laty do „Magur”.

Redakcja

Krzysztof Kleszcz

W BIELICZNEJ

*Nad Bieliczną trawa aż po pas,
Nad Bieliczną Lackowa stoi w chmurach,
Nad Bieliczną rosną lasy pełne malin i borówek,
Nad Bieliczną płacze dobry Bóg.*

*A w Bielicznej tylko cerkiew ukryta
W kępie drzew jak w zielonym kozuchu,
W środku krzyczą świętokradcze napisy na ścianach,
Poprzez sufit nieba sięga wzrok.*

*Tuż przy drodze czerwona poziomka
Śpi głęboko spokojna o życie,
Bo niczyja nie zerwie jej ręką,
Tu w Bielicznej już nie mieszka przecież nikt.*

Marian Sonelski

OCZEKIWANIE

*Zegar roku w karpackich buczynach
jesień czerwienią oddzwania.
Na wicherze wstrząsa się bukowina
w szumie oczekiwania.*

*Wciąż krwiściej jarzą się znicze odświętne
na leśnych głogów ołtarzach.
U wzgórza cerkwi zapadłej w miętę
szelestem coś echo powtarza.*

*O co rzecz idzie? — pytam się chmur
i szemrzą mi deszczem jesiennym:
co rok przybywamy wypłakać się tu
ale dlaczego — nie wiemy.*

Joanna Więckowska

BANICA

*cerkwi nikt
nie ciągnął
za rogi
zawałiła się sama*

*rozpierzchły się gonty po łące
garść buczynowych liści*

*i o co
tyle krzyku*

*studenci dyskutowali
teraz śpiewają
ojcze atamanie*

*drewno zdrowe
będzie z niego
kładka przez strumień
i ogrodzenie
dla byków*

Tadeusz M. Trajdos

WYPRAWA NA SPISZ

MAJ 1989 R.

Od autora

Czytelnikom winien jestem krótkie wyjaśnienie. Pisałem ten artykuł przeszło cztery lata temu. Był przeznaczony pierwotnie do druku w „Wierchach”. Stanowi w moim przekonaniu ważny dokument. Zorganizowałem wiosną 1989 r. wyprawę na cały historyczny Spisz w celu uświadomienia szerszym kręgom krajoznawców, jakie bogactwo politycznej, kulturowej i etnicznej obecności polskiej na tej ziemi można dostrzec, choćby w trakcie parodniowej, pracowitej wędrówki.

Nie było jeszcze wtedy Towarzystwa Karpackiego (zał. 1990). Ale od tej wyprawy zaczęły się prowadzone przeze mnie „rejzy” po historycznych krainach karpackich. Nie było także Związku Polskiego Spisza (zał. 1990). Ale plany wszechstronnej pracy wychowawczej, społecznej, oświatowej na polskich ziemiach Spisza mieliśmy już przygotowane.

Po czterech latach jest okazja bilansu. Uważam, że uczyniliśmy dużo, i to w warunkach mało korzystnych. Kształcimy polską młodzież Spisza, wydajemy pisma ZPS i publikacje monograficzne, uczestniczymy we wszystkich wydarzeniach natury społecznej i kulturalnej na tej ziemi. Nasze stanowisko znają polskie władze państwowe.

Zacząło się wszystko od czynów pionierskich. Jednym z nich, małowalnym i owocnym poznawczo, była owa wyprawa spiska z 1989 roku.

Wydaje mi się pomyślnym symptomem, że relacja, której „Wierchom” nie udało się wydrukować przez taki szmat czasu, ukazuje się w pierwszym tomie nowej serii „Płaju”, almanachu Towarzystwa Karpackiego.

Warszawa, wrzesień 1993

Tadeusz Mikołaj Trajdos

W dniach 25–28 maja 1989 r. odbył się autokarowy objazd Spisza zorganizowany przez warszawski oddział „Almaturu” dla badaczy i miłośników tej ziemi — przewodników górskich z Warszawy (SKPB), Krakowa (SKPG) i Gliwic, etnografów i historyków, a także członków Ogniska Akademickiego

Związku Podhalań na Uniwersytecie Jagiellońskim. Należy odnotować udział w tej wyprawie dr. Janusza Kamockiego, etnografa z Krakowa, i rodowitych Spiszaków — Jadwigi Plucińskiej-Piksy mieszkającej w Krakowie oraz Juliana i Ryszarda Kowalczyków z Łapsz Niżnych, działaczy tamtejszego oddziału Związku Podhalań. Piszący te słowa podjął się opracowania merytorycznego programu wycieczki, w związku z czym pilotował 4-dniową, wyczerpującą, ale pasjonującą turę. Dysponowaliśmy znacznym ułatwieniem w postaci własnego autokaru, ponadto wygodną i miłą bazą noclegową (w kwaterach prywatnych) w Słowiańskiej Wsi. Wiele słów uznania należy się przeto organizatorom „technicznego” i finansowego aspektu wyprawy — Andrzejowi Wielosze i Janowi Swianiewiczowi z warszawskiego „Almaturu”.

Program został pomyślany w ten sposób, aby w każdy kolejny dzień zwiedzania poznawać odrębną krainę historyczną Spisza, za wyjątkiem Ziemi Górników (doliny Gnilca) na południowo-wschodnim skraju Spisza, od której dzieliła nas zbyt duża odległość w stosunku do naszego punktu noclegowego.

Na początku każdego dnia przedstawiałem współtowarzyszom wyprawy zarys dziejów osadniczych, politycznych i kościelnych oglądanej ziemi, przedwojenne i wcześniejsze statystyki narodowościowe i wyznaniowe. W każdym zwiedzonym miejscu zwracaliśmy uwagę na kształt przestrzenny osiedli, ich architekturę i położenie, nie zaniedbując wszakże obserwacji pejzażu naturalnego, w czym pomagała nam wręcz olśniewająca pogoda. Na długo w pamięci zostaną niesamowite, gdyż tak wyraziste i dotykalnie bliskie widoki Tatr Wysokich i Bielskich, podobnie jak przepyszna zieleń Braniska, Pogórza Lewockiego czy Magury.

W kilkudziesięciu obejrzanych miejscowościach odkrywaliśmy tak charakterystyczne dla Spisza bogactwo skarbów sztuki, w szczególności gotyku, renesansu i baroku, uderzające nawet w niewielkich wiejskich kościółkach.

Pierwszego dnia zajęliśmy się Spiszem Środkowym, ziemią podzieloną w latach 1412–1769 między enklawy polskiego starostwa a komitat węgierski, o przewadze ludności ongiś niemieckiej, ale z północnym pasmem terenu zasiedlonym dość gęsto przez wsie etnicznie polskie. Zaczęliśmy od Kieżmarku, gdzie obejrzelśmy Zamek i jego muzeum, katolicką parafię św. Krzyża, kościół pauliński i nowy kościół ewangelicki. Znalazł się też czas na uważną przechadzkę po starym centrum miasta. Z żalem przystanęliśmy przed starym zbrojem ewangelickim, który cierpi tzw. remont już chyba ósmy rok z rzędu. Po Kieżmarku nadszedł czas na dawne miasteczko starostwa spiskiego: Lubicę, z jej zabudową i katolicką parafią, następnie na Twarożną z kościołem farnym i Białą Spiską, gdzie mogliśmy przeżyć nie tylko piękno starej fary, ale i uczestniczyć w mszy i procesji Bożego Ciała. Wcześniej musnęliśmy

okiem na głucho zamknięty kasztel w Stażkach i tamtejszy kościółek parafialny. Wieczór pozwolił nam poznać Słowiańską Wieś, której gotycki kościół katolicki należy do cenniejszych w tej części Spisza.

Drugiego dnia droga wiodła przez Spisz Środkowy i Dolny, w dorzecze Hornadu, ku sercu dawnego komitatu węgierskiego. Zobaczyliśmy dawne miasteczka polskiego starostwa: Maciejowce i Spiską Sobotę, ze wspaniałymi farami gotyckimi o równie obfitym gotyckim wystroju, Spiski Szczawnik z pałacem biskupów spiskich, a niegdyś sławnym opactwem cystersów, Betlanowce z najstarszym kasztelem renesansowym na Spiszu, gniazdo rodzin Thurzonów i Bethlenów, Spiski Czwartek, dawne węgierskie miasteczko z prześlicznym gotyckim kościołem farnym (z kaplicą Zapolyów), wreszcie Markuszowce, gniazdo węgierskiego rodu Mariassy, w których uchował się obok ruin starego zamku rokokowy pałac-muzeum otoczony parkiem. Niestety, lata zaniedbań i dewastacji i tu dały znać o sobie. Muzeum jest zamknięte, trwa generalny remont pałacu, który znajduje się w stanie krytycznym. Wreszcie zjawiliśmy się w „stolicy” Sasów Spiskich i rzeczywistej stolicy węgierskiego Spisza — w Lewoczy. Tu spędziliśmy czas na oglądaniu fary św. Jakuba, muzeum w Ratuszu, kościoła Franciszkanów (później Jezuitów) i zabudowy miasta. Trzeba napomknąć, że z biegiem ostatnich lat stan zabytkowej architektury Lewoczy pogarsza się bez ustanku; wymaga ona pilnej, wszechstronnej konserwacji.

Dalej droga nasza prowadziła do politycznego i kościelnego centrum komitatu Spisza — najpierw do Spiskiej Kapituły, gdzie podziwialiśmy katedrę św. Marcina, a następnie do Spiskiego Podgrodzia, polskiego dawniej miasteczka z ładnymi kościołami (fara, Bonifratrzy), skąd roztacza się imponujący widok na Zamki Spiskie, rezydencję węgierskich żupanów. Niestety, nie było już czasu na wspinaczkę do zamku. Dzień zakończyła pełna zachwyty wizyta w mieniącym się starymi freskami romańsko-gotyckim kościele we wsi Żehra oraz w dawnym mieście polskiego starostwa Spiskie Włochy (gotycki ratusz, fara z rokokowym wystrojem), gdzie na przełomie XII i XIII w. pierwsi walloncy osadnicy kładli zręby organizacji miast na Spiszu. Oglądając tego dnia Dolny Spisz, ziemię zawsze z przewagą ludności słowackiej, mogliśmy obserwować powikłany spłot dziejów tego terytorium, gdzie granice Polski i Węgier, a także sąsiedztwo wspólnot słowackich, niemieckich i węgierskich tworzyły mozaikę wymagającą bacznej analizy.

Dzień trzeci niemal w całości upłynął nam na ziemi niegdyś politycznie, ale i etnicznie polskiej — w dominium lubowelskim (północno-wschodni Spisz). Ziemia ta, należąca do Polski od jej zarania do pocz. XIV w., w latach 1412–1769 stanowiła gospodarcze centrum polskiego starostwa. Obej-

rzeliśmy Podoliniec z gotycką farą, kościołem kolegium Pijarów i cmentarnią kaplicę św. Anny przy źródle Krudyhopa. Mogliśmy z pewnym zadowoleniem stwierdzić, że po latach ordynarnych, celowych zniszczeń i zaniedbań kościół pijarski pozostaje obecnie (po restauracji na przełomie lat 60. i 70.) pod dobrą opieką. Nie można tego jednak powiedzieć o samym konwikcie. Z kolei w Starej Lubowli mogliśmy przebywać we wnętrzu barokowej fary św. Mikołaja i na Zamku naszych starostów, gdzie do sal muzealnych znów wróciły eksponaty dokumentujące epokę „polskiego zastawu”, m.in. portrety Lubomirskich, odpowiednie dokumenty i pamiątki rozwoju miasta. Cieszyła nas też możliwość zwiedzania nowego muzeum-skansenu pod Zamkiem, ze świetną ekspozycją zarówno gospodarstw i cerkiewek rusnackich, jak z wiosek polskich (oczywiście bez takiej desygnaacji oficjalnej) i niemieckich tego regionu.

Po południu zdołaliśmy wrócić doliną Popradu jeszcze raz na Spisz Środkowy, by uzupełnić obraz średniowiecza spiskiego przepyszny gotykiem far w Wielkiej Łomnicy, wsi Berzewicznych, oraz niegdyś polskim miasteczku Wierzbów, tu w melanzu z barokiem.

Godziny wieczorne wykorzystaliśmy w sposób zindywidualizowany. Część grupy oglądała występy zespołów rusnackich (*de nomine* — ukraińskich) na lokalnym festiwalu w Gniadzach, niektórzy uczestniczyli w góralskim weselu w Lendaku, zaś autor tego sprawozdania przy pucharze węgierskiego wina dyskutował w Lewoczy przeszłość i teraźniejszość ziemi spiskiej z wybornym jej znawcą, a swoim przyjacielem — historykiem dr. Ivanem Chalupeckym, który go zechciał przyjąć z prastarą serdeczną gościnnością.

Dzień ostatni poświęciliśmy polskiej góralskiej ziemi — Zamagurzu (północno-zachodni Spisz). Żegnając Słowiańską Wieś, ruszyliśmy przez wał Magury starym traktem na Maciaszowce i Spiską Starą Wieś, oglądając kościoły farne w ciżbie wiernych (niedziela). Zajechaliliśmy nad Dunajec, by odwiedzić Czerwony Klasztor. W jego muzeum szokująca niespodzianka: jedyna dotąd znaleziona „po tamtej stronie” mapa stwierdzająca pas polskiego osadnictwa na Zamagurzu. W drodze powrotnej odwiedziliśmy świetnie utrzymaną rusnacko-polską wieś Osturnia („rezerwat kultury”) z piękną drewnianą zabudową i pospolitą cerkwią unicką, oraz polskie Hanuszowce (barokowa fara).

Po opuszczeniu granic Zamagurza zawód sprawiły nam twardo zamknięte wierzaje kościoła w Wybornej, jednego z najpiękniejszych zabytków gotyku i renesansu, a ponadto pomnika pierwszych kroków reformacji na Spiszu.

Rekompensata przyszła w Lendaku, góralskiej wsi polskiej, sławnej siedzibie naszego klasztoru Bożogrobców-Miechowitów (od r. 1313). Niedzielne

popołudnie powitało nas wspaniałym nabożeństwem w gotyckiej farze, tęczą migotań na góralskich ubraniach i radością licznych rozmów. Najważniejsze było przed nami. Na miejscowym cmentarzu troje z nas: Jadzia Plucińska, Janusz Kamocki i sprawozdawca złożyli wieniec z szarfą o barwach narodowych z napisem „Zawsze wiernemu Polsce — Rodacy” na grobie Wojciecha Halczyzna. Po chwili skupienia Janusz Kamocki przypominał historię starań i pragnień górala, który miał odwagę w Wersalu upomnieć się o polskość swych ziomków. Naszych słów uważnie słuchały zgromadzone na cmentarzu gospodynie z Lendaku. Może ziarno naszych rozmów naówczas przeprowadzonych znów kiedyś wszędzie w promieniach innych czasów? Opuszczaliśmy Lendak szczęśliwi, świadomi spełnienia istotnego obowiązku. Nie mogliśmy się już zatrzymać w Żdziarze i Jaworzynie.

Na koniec spostrzeżenie bardziej generalne, ale potwierdzone w kompetentnych rozmowach. Dwa żywioły na dzisiejszym Spiszu wykazują ogromną żywotność: cygański i rusnacki. Cyganie wykupują i zajmują posesje w wielu mniejszych miasteczkach poniemieckich środkowego i dolnego Spisza. Z kolei Rusnacy przesuwać się stale na południe ze swoich siedzib wiejskich na północno-wschodnim Spiszu na tereny niegdyś czysto polskie lub niemieckie (np. w Starej Lubowli), budując wciąż nowe wille, osiedla, nawet całe dzielnice. Polscy górale spisy, szukając zatrudnienia, osiedlają się często na środkowym Spiszu, wraz ze swoimi księżmi, dobrze mówiącymi po polsku. Ludność ta rzadko ma świadomość narodową, ale niezwykle mocno trzyma się polskiej gwary, której powszechną obecność nadal stwierdziliśmy aż po okolice Białej Spiskiej i Kieżmarku. To krzepiące, ale niedostateczne. Wymaga nie tylko zauważenia, wymaga starań o legalizację praw ludzkich i narodowych.

FESTIWAL KULTURY KARPACKIEJ

W ostatnim dniu lipca i pierwszym sierpnia 1993 roku w Sanoku, Ustrzykach Dolnych i Bystrem trwał I Festiwal Kultury Karpackiej. Jednym z jego pomysłodawców był Mariusz Martyniak z Towarzystwa Karpackiego. Podobna idea — zorganizowania festiwalu o dość szerokiej formule dającej możliwości prezentacji kultury wielu narodów i grup etnicznych — powstała w Ustrzyckim Domu Kultury, którego dyrektorem jest Bogdan Augustyn. Do współpracy zostali zaproszeni dr Jerzy Czajkowski, dyrektor MBL w Sanoku oraz Orkiestra św. Mikołaja, reprezentowana przez niżej podpisaną. Komitet Organizacyjny składał się więc z ludzi, którym Karpaty, ten swoisty „tygiel narodów”, są szczególnie bliskie. Zauroczyły nas nie tylko samym krajobrazem, lecz przede wszystkim barwnością kulturową, ścieraniem i przenikaniem się wpływów ruskich, ukraińskich, rumuńskich, polskich, węgierskich, a także cygańskich czy żydowskich. Jednocześnie mimo tej różnorodności stanowią one pewną całość, nie tylko pod względem geograficznym, ale także kulturowym, społecznym i historycznym. Toteż przygotowując festiwal nie tylko realizowaliśmy swoją pasję, ale jednocześnie chcieliśmy przekazać nasze fascynacje jak najszerszemu gronu odbiorców oraz możliwie szeroko spopularyzować folklor Karpat. Organizowaliśmy go w myśl starej, dobrej zasady mówiącej, że kultura jest najlepszym ambasadorem narodów, i że na tej właśnie płaszczyźnie najłatwiej przełamać bariery i uprzedzenia narodowościowe.

Ciekawym, ale i ryzykownym eksperymentem było rozlokowanie koncertów festiwalowych aż w trzech miejscach. Dało to niewątpliwie możliwość szerszego rozpropagowania festiwalu i zdobycia większej publiczności, ale też spiętrzało trudności organizacyjne.

W Ustrzykach Dolnych występy odbywały się w sobotę na otwartej scenie w parku, wieczorem tego samego dnia wszystkie zespoły zaprezentowały się w Bystrem, a w niedzielę w sanockim skansenie. Każdy z tych koncertów miał odmienny klimat. O ile występy estradowe utrzymane były w stylu konwencjonalnego przeglądu, to spotkanie w pobliżu cerkwi w Bystrem przyciągało nastrojem festynu ludowego, wesołej zabawy. Muzyka i śpiew rozbrzmiewały w całej dolinie. Tancerze, mimo nierównej murawy, popisywali się akrobaticznymi figurami. Wszystko wtapiało się w krajobraz gór i wspaniale z nim harmonizowało. Nasze obawy o to, czy w tak odległym i bezludnym zakątku Bieszczadów dopisze publiczność, okazały się płonne. Wokół sceny — udeptanego kawałka łąki — zgromadzili się okoliczni mieszkańcy i wędrujący po górach turyści. Połną drogę tarasowały samochody sympatyków góralskiego folkloru.

Nie da się ukryć, że rozmach imprezy został w dużej mierze ograniczony możliwościami finansowymi. Dotacje Fundacji im. Stefana Batorego oraz wojewodów przemyskiego i krośnieńskiego pokryły zaledwie połowę planowanych początkowo wydatków. Z tego powodu byliśmy zmuszeni zrezygnować z zaproszonego wcześniej zespołu ze Słowacji. Mieliśmy nadzieję, że ten uszczuplony z konieczności program będzie nadal interesujący. I tak było w rzeczywistości.

W festiwalu udział wzięły cztery zespoły z terenu Polski: „Kyczera”, „Dolina Dunajca”, „Watra” i „Oslawianie”, prezentujące jednak folklor różnych części Karpat, od Beskidu Sądeckiego aż po Bukowinę, oraz dwie grupy węgierskie: kapela „Csürdöngölő” z Debreczyna i zespół „Tarisznyás” z Cluj (Koloszwar) w Rumunii. Wraz z tymi ostatnimi przybyli Zoltán Kallós, znany węgierski etnograf, oraz Istvan Krasztel, dyrektor Instytutu Kultury Węgierskiej w Warszawie, dzięki staraniom którego obydwie zespoły mogliśmy gościć na festiwalu.

W programie muzyków z Debreczyna można było odnaleźć wszelakie brzmienia muzyczne historycznych Węgier oraz folklor narodów niewęgierskich zamieszkujących Basen Karpacki. Zespół z Rumunii zadziwił popisami mężczyzn rywalizujących ze sobą w tanecznym kunście, gardłowymi głosami śpiewaczek, a przede wszystkim spontanicznością młodych ludzi sięgających w swej twórczości do korzeni kultury ludowej.

Echa węgierskich czardaszy słyszało się też w muzyce górali czadeckich z zespołu „Watra”, w której mieszały się one z wątkami rumuńskimi i huculskimi, nałożonymi na rodzime korzenie z Beskidu Żywieckiego. Ci górale z Żywiecczyny, których tułacz losy zagnały z początkiem XIX wieku aż na Bukowinę, dopiero po II wojnie światowej wrócili do kraju, tym razem

w zielonogórskie. Ich występ festiwalowy był widowym przykładem wielokulturowości Karpat. Zespół nie epatował tanią widowiskowością, jego atutem była autentyczność i pietyzm, z jakim odtworzono starodawne zwyczaje. Stanowił nie lada gratkę dla amatorów folkloru karpackiego i chyba najlepiej oddawał ideę festiwalu.



Występ zespołu „Tarisznyás” w Bystrem (fot. A. Matecka)

Rozmachu scenicznego nie brakowało natomiast „Dolinie Dunajca” z Biegonic koło Nowego Sącza. Zespół zaprezentował z wielką perfekcją, a jednocześnie swobodą tańce charakterystyczne dla Górali Białych i Lachów Sądeckich. Goniony, obertany czy zbójnicki, wymagający ogromnej sprawności fizycznej, zdumiewały lekkością, a prawie akrobatyczne figury tańczących par były nagradzane rześzystymi brawami.

Oczywiście nie mogło na festiwalu zabraknąć miejscowego folkloru bieszczadzkiego. Z niedalekiej wsi Mokre przyjechali „Oslawianie” prezentujący w swym repertuarze pieśni i tańce bojkowskie, a także innych ukraińskich grup etnograficznych. Folklor łemkowski na naszym festiwalu przedstawił zespół „Kyczer” z Legnicy. Jego ozdobą była z pewnością wspaniała kapela, której członkowie mimo sędziwego wieku prezentowali wigor i kondycję, jakiej mogło im pozazdrościć wielu młodych.

W czasie trwania imprezy znalazł się czas i na chwilę zadumy. W pięknej cerkwi w Bystrem, jednej z nielicznych ocalałych na terenie Bieszczadów, zbudowanej w tzw. narodowym stylu ukraińskim, można było obejrzeć wystawę fotogramów Tadeusza Andrzeja Olszańskiego, ilustrującą smutny los opuszczonych bieszczadzkich świątyń. Prezentowane zdjęcia były plonem kilkunastoletnich wędrówek autora po bieszczadzkich szlakach. Bieszczady są też inspiracją i jednocześnie jednym z głównych bohaterów jego poezji, której publiczność festiwalowa mogła wysłuchać w autorskiej interpretacji w sobotni wieczór w cerkwi.

Trudno mi ocenić całość przedsięwzięcia, gdyż jako współorganizatorka nie mam możliwości wydania obiektywnego sądu. Z pewnością festiwal nie pokazał pełnego przekroju kulturowego Karpat — brakowało Huculów, Słowaków, Rumunów. Myślę jednak, że program, choć z konieczności skromny, był jednak godny uwagi i w jakimś stopniu przybliżył publiczności kulturę Karpat. Uwypuklił jej różnorodność, a także podkreślił cechy wspólne dla folkloru zamieszkujących je ludów. Przed imprezą miałam obawy, czy będzie on na tyle atrakcyjny, by przyciągnąć licznych widzów. Nie można wprowadzić mówić o tłumach, ale biorąc pod uwagę, że nasza impreza nie ma takich tradycji ani środków jak podobne festiwale w Zakopanem czy Wiśle, można powiedzieć, że cieszyła się całkiem dużym zainteresowaniem. Mam nadzieję, że w przyszłych latach i ona wyrobi sobie zarówno markę, jak i stałych widzów. Intencją moją, a myślę, że również wszystkich organizatorów, jest wprowadzenie Festiwalu na stałe do kalendarza karpackich wydarzeń kulturalnych. Chcielibyśmy, aby odbywał się on co roku. Czy starczy energii? Czy znajdą się fundusze? Za jedno mogę ręczyć, nie zabraknie chęci.

Agnieszka Matecka

ORKIESTRA POD WEZWANIEM ŚW. MIKOŁAJA

*Święty Mikołaju, opowiedz, jak tu było,
jakie pieśni śpiewano, gdzie się pasły konie...*

A. Wierzbicki: *Ballada o świętym Mikołaju*

Orkiestrę pod wezwaniem Św. Mikołaja tworzą studenci i absolwenci lubelskich uczelni. Powstała ona w 1988 roku z inicjatywy grupy przyjaciół przemierzających wspólnie szlaki Bieszczadów i Beskidu Niskiego. Początkowo w jej repertuarze znajdowały się wyłącznie pieśni Łemków i Bojków. Z czasem poszerzono go o muzykę słowacką, a w efekcie wypraw w Czarnohorę także o folklor huculski. W ten sposób zainteresowania muzyczne Orkiestry obejmują powoli całe Karpaty. Członkowie zespołu pod wodzą Bogdana Brachy, który jest nie tylko kierownikiem, ale przede wszystkim ojcem duchowym, swoistym *guru* zespołu, proponują zupełnie nową formę uprawiania folkloru. Nie odtwarzają go, lecz tworzą na nowo. Starają się odnaleźć jego duszę, atmosferę radości i spontaniczności towarzyszącą narodzinom muzyki gór. Taki właśnie tytuł — *Muzyka gór* — nadali swojej pierwszej kasecie. Orkiestra stała się już instytucją: zgromadziła wokół siebie krąg ludzi zakochanych w górskim folklorze, organizuje festiwal „Mikołajki Folkowe”, warsztaty i wyprawy muzyczne, powołała Oficynę Wydawniczą p.w. Św. Mikołaja, która wydała już pierwszą książkę — *Mitologię huculską*. Z Bogdanem Brachą rozmawia redaktor „Płaju”.

Jak się zaczęła wasza przygoda z folklorem?

Właściwie to jesteśmy w pewnym sensie dorobkiem Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich w Lublinie. Jeszcze w szkole średniej znalazłem się w środowisku związanym z tym Kołem, chociaż członkiem jego nigdy nie

zostałem. Właśnie od fascynacji górami wszystko się zaczęło, od zachłyśnięcia się powietrzem bieszczadzskich dolin, od smaku zdziczałych jabłek i czereśni w osieroconych sadach Beskidu Niskiego. Oczywiście górskiej włóczędze towarzyszyły niezbędne nocne ogniska i piosenka turystyczna. Jednak w sumie o zainteresowaniu folklorem zdecydował chyba przypadek. Już od dłuższego czasu w gronie przyjaciół śpiewaliśmy piosenki turystyczne, gdy przypadkiem wpadł nam w ręce *Śpiewnik z kożuchem*.¹ Było to dla nas odkrycie zupełnie czegoś nowego. Wertowaliśmy go długo, aż w końcu w oparciu o ten śpiewnik przygotowaliśmy kilka piosenek, z którymi pojechaliśmy na festiwal piosenki studenckiej do Szklarskiej Poręby. Tam po koncercie podszedł do nas pewien facet, powiedział, że bardzo mu się podoba to, co robimy, i że nam pomoże. Nazywał się Lech Konopczyński. Potem było wspólne śpiewanie przy ognisku na Łemkowskich Watrach, wchodzenie w świat łemkowskiego folkloru, poznawanie tej specyficznej atmosfery. Ale nie tylko, bo była także nauka. Nie mieliśmy wówczas żadnego przygotowania językowego. Gdy dziś sobie przypominam ówczesne rady „Konopy”, wydają mi się rzeczą oczywistą, ale wtedy były to rzeczy zupełnie nowe.

Właściwie to my nadal chcieliśmy grać piosenkę turystyczną. Wiesz, to był ten krąg co „Bakcynalia” i śpiewanie piosenek łemkowskich traktowaliśmy z początku jako pracę nad warszatem, ćwiczenie śpiewania na głosy itp. Jednak tak się nam to podobało, że niepostrzeżenie dla nas samych staliśmy się wykonawcami piosenek łemkowskich w nurcie piosenki turystycznej. Był to rok 1988, a więc nie tak dawno. Na początku nazywaliśmy się inaczej, ale ktoś nam podrzucił pomysł nawiązania do piosenki Wierzbickiego i tak już zostało. Jeździliśmy na festiwalu piosenki turystycznej — „Bakcynalia”, „Yapa” itd. Zdobywaliśmy z reguły wyróżnienia. Byliśmy dobrzy, więc nie wypadało nas pominąć, ale nie bardzo mieściliśmy się w profilu, więc jury dawało nam wyróżnienie i miało nas z głowy. Im dłużej jednak śpiewaliśmy te piosenki, tym bardziej nam się to podobało, aż stwierdziliśmy, że właściwie to interesuje nas folklor, a nie piosenka turystyczna.

Dobrze, pomówmy zatem o folklorze. Dla przeciętnego śmiertelnika folklor to „Cepeliada”, „Mazowsze”, ewentualnie muzeum etnograficzne. Czy więc na pewno to, co Wy robicie, jest folklorem?

Nie obrażę się, jeżeli ktoś nazwie nas zespołem folklorystycznym. Jednak problem leży w rozumieniu słowa „folklor”. Dla mnie folklor to coś jak

¹ *Śpiewnik z kożuchem* opracowany przez Zofię Szanter, a wydany w 1982 r. staraniem warszawskiego Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich, był pierwszym chyba w naszym świecie turystycznym śpiewnikiem piosenek łemkowskich i ukraińskich reprezentującym dobry poziom muzyczny i językowy (przyj. red.).

podziemna żyła wodna, jeżeli ktoś ją odkopie i wyprowadzi na powierzchnię, to przestaje być ona podziemną żyłą, tak też jest z folklorem. Opisany i zarejestrowany przez uczonego obserwatora, ujęty w definicję, przestaje po prostu być folklorem, a staje się jego martwym obrazem, który można już tylko mechanicznie naśladować. Broń Boże nie chcę ujmować wartości artystycznej temu, co robi „Mazowsze”, jest to niewątpliwie sztuka wysokiej próby, ale dla mnie jest to folklorizm, a nie folklor. Folkloru moim zdaniem należy szukać gdzie indziej. Mnie interesuje sam moment rodzenia się sztuki ludowej. Nie efekt, czy produkt, który możemy obejrzeć niejako z zewnątrz, ale ta wewnętrzna potrzeba, która go rodzi. Skąd się ona bierze i czy przypadkiem nie ma jej także w nas. Tak więc to, co robimy, jest, a przynajmniej chciałbym, żeby było, folklorem twórczym, naszym własnym folklorem tworzoną tu i teraz. Zaspokajaniem naszej własnej potrzeby tworzenia.

Ale czy twoim zdaniem jest w ogóle możliwe dotarcie do najgłębszych pokładów ludzkiej duszy, w których ta potrzeba drzemie, i czy ona nie została skutecznie w nas zagłuszona?

Ja głęboko wierzę, że ta potrzeba w dalszym ciągu jeszcze tkwi w człowieku, w każdym z nas. Oczywiście nie zniszczyli jej etnografowie, zagłuszyła ją cywilizacja, technika, środki masowego przekazu. Zagłuszyły skutecznie, zastępując różnymi protezami do tego stopnia, że przestaliśmy zdawać sobie sprawę z jej istnienia. Dlatego pytam, czy rzeczywiście jest nam to zupełnie niepotrzebne?

Czy widzisz szansę na to, żeby autentyczna sztuka ludowa przetrwała poza formami skansenowymi, żeby oparła się zalewowi wszechobecnej papki wciskanej nam zewsząd przez środki przekazu?

Oczywiście o przetrwaniu w niezmienionej formie i treści nie ma mowy. Po prostu nie da się zatrzymać w sposób naturalny rozwoju człowieka na żadnym jego etapie, czy to będzie epoka kamienia łupanego, czy wioska łemkowska z początku naszego wieku, tak jak nie da się zatrzymać czasu. Świat się przekształca i zamiast kapeli ludowych na wiejskich weselach pojawiają się coraz częściej elektroniczne instrumenty klawiszowe. Znamy jako taką kulturę ludową z ostatnich stu czy dwustu lat, ale niewiele wiemy o tym, jaka ona była pięćset czy tysiąc lat temu. Toteż być może dzisiejsze piosenki z wiejskich wesel śpiewane do mikrofonu przy akompaniamencie elektrycznych gitar staną się za sto lat przedmiotem badań etnografów. Gorzej, jeżeli kapelę zastąpią magnetofony kasetowe, bo wtedy nie będzie już co badać.

Byłem w ubiegłym roku na święcie „Kupały” na Howerli. Jest tam odwieczna tradycja, że całe rodziny wychodzą na Howerlę i tam sobie robią



„Orkiestra pod wezwaniem św. Mikołaja" fot. Janusz Filipczak



piknik. Teraz to wyglądało w ten sposób, że owszem, było dwóch muzykantów z fłojerami, ale zdecydowanie dominowały grupy młodzieży z magnetofonami kasetowymi. Młodzi ludzie puszczali muzykę, bynajmniej nie ludową, na zasadzie kto głośniejszy i wcale nie czuli się nie na miejscu. Nie wiem, czy istnieje siła, zdolna powstrzymać ten proces.

Ale przecież, powiedzmy sobie szczerze, Ameryki to Wy nie odkryliście. Na długo przed Wami śpiewało się przy turystycznych ogniskach piosenki łemkowskie czy słowackie i nikt nie dorabiał do tego ideologii. Na czym więc polega Wasz fenomen?

Może na tym właśnie, że każdy z nas wkłada w śpiewane pieśni część siebie, duszę człowieka żyjącego tu i teraz, przez co nasza twórczość jest autentyczna i bardzo współczesna, a więc łatwiej dociera do współczesnego słuchacza. My nie staramy się przystosować starych, ludowych melodii do ucha współczesnego słuchacza, lecz tworząc je na nowo dajemy im nową duszę. Jednocześnie robiąc to spontanicznie wierniejsi jesteśmy oryginałowi, niż gdybyśmy silili się na stylistyczną i regionalną czystość, oraz na wierność kopistów. To jest naszą siłą.

O skuteczności Waszej recepty świadczą tłumy młodych, a nawet bardzo młodych ludzi na Waszych koncertach. Pomówmy jednak trochę o Waszym warsztacie. Skąd bierzecie repertuar? Czy to owoc wypraw w teren, czy też kwerendy w archiwach?

Najważniejszym autorytetem jest dla nas zapis fonograficzny. Archiwalne zapisy fonograficzne są też głównym źródłem naszego repertuaru, zaś wyprawy w teren służą raczej poszukiwaniom klimatu i zbliżeniom z ludźmi, nie zaś drenażowi ich pamięci. Chociaż mamy też wśród naszych piosenek takie, które sami odnaleźliśmy w górach. Najważniejsze dla nas jest jednak poznanie ludzi, ich domów, kościołów, krajobrazu, w którym żyją. Wtedy odnalezione w archiwach nagrania nabierają innego wymiaru, innej treści. Liczy się świadomość ludzi. Dla nas większą atrakcją stanowi autentyczny góral świadomy swojej odrębności i tradycji, nawet jeżeli jest ubrany w ortalionową kurtkę, niż wystrojony w perfekcyjnie odtworzony strój człowiek, u którego świadomość jego góralskości jest taka sama jak u manekina na cepeliowskiej wystawie.

Czy — nawiązując do ballady Wierzbickiego — to, co robicie, jest opowiadaniem, jak tu było, czy może jak jest, a może raczej, jak byście chcieli, żeby było?

Jest raczej naszą wizją. Piosenka bojkowska w naszym wykonaniu nie jest faktycznie piosenką bojkowską, jest jedynie inspirowana piosenką boj-

kowską. Kiedyś w Krakowie na plakacie zapraszającym na nasz koncert ktoś napisał, że śpiewamy pieśni Łemków, Hucułów i... Bojnów. Pomyślałem sobie, że ktoś popełniając ten błąd, zupełnie nieświadomie dotknął sedna sprawy. Może właśnie gdzieś w nas istnieje taka wyśniona kraina „Bojnow”, z której pochodzą nasze wszystkie piosenki. Tak też jest z naszymi strojami. One nie są żadnym konkretnym strojem ludowym lecz pewną ich syntezą, kwintesencją. Pozwalam moim muzykantom grać tak, jak oni to czują, zupełnie swobodnie, nie zmuszam ich do trzymania się ściśle tradycji. Staram się raczej, abyśmy wspólnie poznali ducha miejsc, w których melodie przez nas śpiewane powstawały.

Powiedz jeszcze coś o planach na przyszłość.

Planujemy coś, co nazwalibyśmy sobie roboczo „wyprawami skomorochów”⁸ czyli średniowiecznych ruskich wędrownych muzykantów. Chcielibyśmy, aby były to górskie wędrowki kapeli wyposażonej w ludowe instrumenty i ubranej w odpowiednie, utrzymane w tym samym klimacie stroje. Muzykanci wędrowaliby razem z innymi uczestnikami rajdu, wspólnie z nimi nocowali w schroniskach i proponowali wspólną zabawę. Pracujemy też nad spektaklem parateatralnym opartym na pieśni dziadowskiej. Organizujemy Mikołajki Folkowe, wydajemy śpiewnik. Pomysłów mamy wiele, żeby tylko czasu starczyło.

Życzę Wam spełnienia wszystkich planów, dziękuję za wywiad i do zobaczenia gdzieś w Karpatach.

rozmawiał A. Wielocha

ABSTRACTS

Tadeusz Chrzanowski

THE ART OF THE HIGHLANDS

The author, an outstanding Polish historian of arts, presents his reflections on the history and culture of the Carpathian Highlands (see below), pointing to their specificities. Moreover he presents a number of distinguished people connected with the region, especially artists.

Note: "Highlands" is given here in a specific meaning — highlands being a foresteps of the northern part of the Carpathian Range.

Zdzisław Skrok

ON THE NATURE OF THE CULTURAL BORDERLANDS ON THE EXAMPLE OF THE CONTEMPORARY TRANS-VISTULA POLAND

The author presents generalisations about cultural differences and specific features of the ethnic and religious borderlands and about their importance for the national cultures. He cites examples from archaeology, history and history of arts of Eastern Poland.

"ON THIS DAY IN BORYNIA..."

The 17th century document, of the court of justice, comprising the depositions of the Bieszczadian robbers (*zbójnicy*), perpetrators of the bloodshed and robbery of the manor in Borynia village near Turka.

A commentary by Anna Kamińska sketches a broader socio-political and historical background of the event.

Tadeusz M. Trajdos

ST. MARY MAGDALENE PENANCING

The author discusses in detail the Oravian folk sculptures representing the Saint, of common chronology and iconography. He also broadly presents the Saint herself, as well as the hypothesis about founders of some sculptures and their purposes.

Tadeusz Studziński

THE BLIZZARD IN THE CARPATHIANS

The literary relation from author's solitary ski-roaming in the Thirties in Czarnohora, Czywczyń and Hryniawy Mts. which were at the time the wildest parts of those days Polish Carpathians.

Piotr Szucki

VIVANT NARTAE! OR MY CZARNOHORIAN MEMOIRS

In this humoristic text the author autoironically relates the first (probably) post-war Polish ski passage over the whole Czarnohora Range. Profusely using literary quotations he mimies the exalted style of similar relations from the beginnings of our century.

Note: "Narty" in Polish for "ski", here given in pseudo-Latin characteristic of the Old-Polish literary style.

Joanna Tyska-Kobylińska

MY RETURNS TO CZARNOHORA

The childhood recollections of the daughter of pre-war managers of the mountain hospice at the foot of Mt. Maryszeska, included into the relation from her contemporary meeting with Czarnohora.

Tadeusz M. Trajdos

THE EXCURSION TO SPISZ, MAY 1989

Brief relation from the tour in Spisz (Sepes) County in Northern Slovakia. The author, its guide, enumerates the most important monuments of the region, pointing to their contemporary condition. Much place is given also to the complicated ethnic relations in the region.

CARPATHIAN CULTURE FESTIVAL

The relation from the folklor festival in summer 1993, of which the Carpathian Society was one of the organizers.

THE ORCHESTER DEDICATED TO ST. NICOLAS

An interview with the chief of the Orchester, presenting its unconventional approach to the Carpathian folk music.

W dniu 27 listopada 1993 r. w Warszawie odbyło się sprawozdawczo-wyborcze Walne Zgromadzenie Towarzystwa Karpackiego. Powołano władze Towarzystwa na kolejną trzyletnią kadencję.

- Rada:** Andrzej Wielocha, prezes
Rafał Długaszek
Stanisław Kryciński
Paweł Luboński, wiceprezes
Juliusz Marszałek, skarbnik
Tadeusz A. Olszański, sekretarz
Tadeusz M. Trajdos, wiceprezes
- Komisja Rewizyjna:** Wojciech Juszczyk, przewodniczący
Stanisław Iwaniszewski
Zenon Staniszewski

Adres: Towarzystwo Karpackie, ul. Śmiała 47/2
01-526 Warszawa

Towarzystwo Karpackie

DEKLARACJA

Towarzystwo Karpackie skupia osoby, dla których Karpaty są przedmiotem szeroko rozumianej aktywności poznawczej, badawczej, artystycznej, kulturalnej i społecznej.

Karpaty są rdzeniem Europy Środkowej, swoistym fenomenem kulturowo-histerycznym, pewną całością geograficzną, historyczną i społeczną wznoszącą się ponad przecinającą je granice państwowe. Są nierozdzielalnym spłotem kultur, miejscem ścierania się i nakładania wpływów polskich, ruskich, ukraińskich, rumuńskich, słowackich i węgierskich, a także niemieckich, żydowskich i wielu innych. Tak postrzegane Karpaty chcemy poznawać, badać i ochraniać. Będziemy upowszechniać i popularyzować wiedzę o nich oraz starać się o zachowanie ich kulturowej złożoności i bogactwa. Zamierzamy działać na rzecz wzajemnego poznawania współzamieszkujących je narodów i grup etnicznych, a także zachowania ich tożsamości.

Szczególną wagę przywiązujemy do przełamywania narosłych uprzedzeń narodowościowych. Mogą tego dokonać tylko rzetelne badania i popularyzowanie wkładu poszczególnych grup etnograficznych i narodowościowych w kształtowanie obrazu kulturowego Karpat.

Chcemy, aby Towarzystwo było miejscem rzeczowej wymiany poglądów i upowszechniania wyników badań. Miejscem spotkań i wspólnych działań ludzi o różnych poglądach, przedstawicieli różnych narodowości, obywateli różnych państw; wszystkich, dla których Karpaty są obiektem zainteresowań.

Będziemy dokumentować przeszłość i propagować ochronę zabytków, wspierać folklor i poczynania kulturowe karpackie tradycje artystyczne. Zamierzamy rejestrować stan środowiska przyrodniczego i zachodzące w nim zmiany, wspomagać działalność naukową, popularnonaukową, publicystyczną i literacką krzewiącą wiedzę o Karpatach. Chcemy także wspomagać organizowanie i popularyzowanie muzeów, skansenów, izb regionalnych, festiwali folklorystycznych, a także rezerwatów przyrodniczych i parków narodowych.

Członkowie Towarzystwa mają w ramach tematyki karpackiej pełną swobodę wyboru obszarów swojej aktywności. Program Towarzystwa będzie więc mozaiką ułożoną z indywidualnych programów każdego z nas. Zasadą statutową Towarzystwa jest społeczny charakter wszystkich działań. Jednakże na realizację programów wymagających nakładów finansowych (działalność inwentaryzacyjna, konserwatorska, wydawnicza itp.) będziemy gromadzić środki finansowe, między innymi poprzez poszukiwanie sponsorów.

Zapraszamy do współpracy wszystkich, którzy w gronie życzliwych osób chcą uprawiać swoje karpackie pasje i zainteresowania, wszystkich — bez względu na narodowość i miejsce zamieszkania. Pragniemy nawiązać stałe kontakty i współpracę z zainteresowanymi problematyką karpacką towarzystwami regionalnymi i turystyczno-krajoznawczymi oraz ośrodkami naukowymi i muzealnymi w kraju i za granicą.

Nasza wspólna praca zadecyduje o tym, czym Towarzystwo będzie. Jest ona bowiem jego największym kapitałem. Im większy będzie jej wkład, tym silniejsze i skuteczniejsze w działaniu będzie Towarzystwo.

Rada Towarzystwa Karpackiego



OFICyna WYDAWNICZA „REWASZ” POLECA

MAŁA ENCYKLOPEDIA BABIOGÓRSKA

Kompendium wiedzy o „królowej Beskidów”. Blisko 600 haseł omawiających najciekawsze zagadnienia Babiej Góry i jej otoczenia.

Historia, etnografia, przyroda, turystyka, biogramy ludzi

Babiogórzczyzny, atrakcyjne zdjęcia barwne.

Encyklopedię opracował zespół znawców i miłośników Babiej Góry, a zredagował ś.p. Władysław Midowicz, zasłużony działacz Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, autor licznych przewodników górskich, kierownik schroniska na Markowych Szczawinach pod Babią Górą w latach trzydziestych.

112 stron formatu A5 (druk dwuszpaltowy), wklejka z 32 barwnymi zdjęciami, liczne ilustracje i zdjęcia czarno-białe w tekście. Cena zbytu 35.000 zł.

Marek Olszański, Leszek Rymarowicz POWROTY W CZARNOHORĘ

Pierwszy po wojnie pełnowartościowy przewodnik po Czarnohorze. Zawartość: część ogólna (podstawowe wiadomości o regionie), część turystyczna (opisy szlaków pieszych, opisy miejscowości oraz informacja o warunkach uprawiania turystyki — komunikacja, noclegi itp.), część historyczna (cykl artykułów omawiających ciekawsze epizody z historii Czarnohory i Huculszczyzny, ze szczególnym uwzględnieniem polskiej obecności w tamtych stronach). Na szczególną uwagę zasługują liczne zdjęcia archiwalne, po części dotychczas nie publikowane.

254 str. formatu B6, w tym 56 str. zdjęć czarno-białych, barwna mapa załącznikowa. Cena zbytu 32.000 zł.

Nasz adres: Oficyna Wydawnicza „Rewasz”, ul. Dobra 5/36,
skrytka pocztowa 174, 05-800 Pruszków
Konto: PKO XIV Oddział w Warszawie, nr 1645-61942-136
Kontakt telefoniczny: (0-22) 46-58-42



*Wielki Krąg Przyjaciół
Karpackiego Plaży*

Waldemar Gońka
Władysław Gułycz
Dariusz Oleszek
Witold Henryk Paryski
Jan i Zofia Pacześniak
Jerzy Tur

„Wielkie rzeczy dzieją się, gdy się spotykają
ludzie z górami”



W następnym zeszycie znajdą się między innymi:

Tadeusz A. Olszański
 Stosunki narodowościowe Pogórza
 Robert Olszewski
 Dolina Prutu
 Stanisław Orlowski
 Szkolnictwo Ziemi Sanockiej
 Anna Ostrowińska
 Żabie
 Józef Bubak
 Bojkowskie nazewnictwo terenowe



ISBN 83-85258-06-X
 ISSN 1230-5898